

Agnieszka Krawczyk

napisz na priv



Momile swoje
poleca!



Agnieszka Krawczyk

Napisz na priv

Dziękuję dziewczynom z forum MINW: Ewie, Marcie, Iwonie, Kaśce, Paulinie, Oli, Ani, Olimpii i całej reszcie...

Kobiety mają czas i warunki, żeby pisać. Są w domu, mają stół, papier i ołówek. To się robi tak: kiedy dzieci idą do szkoły, zostajesz w domu otoczona pudełkami po płatkach śniadaniowych i śmieciami, zrzucasz je ze stołu i zaczynasz pisać. Potrafimy to zrobić!

Caroline Graham

DZIEŃ ŚWISTAKA

Dzień jak co dzień rozpoczął się od nakazującego wrzasku Niemowlęcia Płci Męskiej. Laura, wyrwana z cudownego snu, w którym przebywała na gorącej plaży Barbadosu, Barbudy, Bahamów lub jakiegokolwiek innego miejsca na „B” (w tym kontekście sytuacyjnym nawet Bułgaria wydawała się atrakcyjna, zwłaszcza że koniak Słońce Briag znowu stawał się modny), w każdym razie odległego od Niemowlęcia i jego potrzeb, nakryła głowę poduszką. — Nie ma mnie, nie ma mnie — powtarzała sobie, ale już przebudzona, wiedziała, że nic z tego. Miała jednak nadzieję, że Krzysiek wstanie i zajmie się wrzeszczącym Potomkiem. Tak się też stało. Z ulgą usłyszała szelest pościeli, głębokie i pełne smutku westchnienie, którego nie powstydziliby się żaden młodopolski neurotyk—mąż wstawał zrobić dziecięciu kaszkę. „Dzidzi” — poprawiła się w myślach Laura. — „Poszedł zrobić kaszkę naszej dzidzi”. Tymczasem „dzidzia” — w tym wypadku przyjmująca formę dobrze wypasionego chłopczyka w wieku około jedenastu miesięcy, zadowolona z efektów swego działania — leżała spokojnie, bawiąc się rączkami i wypowiadając co chwila świeżo przyswojone słowo. Laura nie miała pojęcia, skąd Niemowlę je znało, albowiem, jak raz, było to „maupa”.

Słowo objawiło się po raz pierwszy poprzedniego dnia w parku. Z mozołem pchała właśnie wózek po kamienistej ścieżce, kiedy z naprzeciwka nadeszła Starsza Pani, wyglądająca jak wzór z Sevres wszystkich upiornych staruszek: koścista i haczykowata (praktycznie wszędzie — na twarzy, nogach, rękach i innych członkach). Oczywiście, musiała zatrzymać się przy wózku, by dać Laurze jakąś głęboką i z serca płynącą poradę (dlaczego niektórzy ludzie uważają za swój moralny obowiązek pouczać matki?), że dziecko jest ubrane za lekko/za ciepło, mimo zaawansowanego wieku jeszcze ciągle obraca w paszczy smoczek, je krakersa brydżowego/nie je pożywnego krakersa brydżowego. Laura z westchnieniem próbowała ominąć natrętkę, ale ta była nieugięta — przytrzymała wózek jedną ręką, a kościsty palec drugiej wyciągnęła w kierunku Młodzieniaiszka. Dziecię odwróciło swoją promienną twarzyczkę w jej stronę i po chwili namysłu radośnie obwieściło:

— Maupa!!!

Starsza Pani zamilkła zdetonowana, zaprzestając udzielania rad, i po sekundzie wybuchnęła pretensjami w kierunku Laury, która — jej zdaniem — „tak wyuczyła nieszczęsne dziecko, żeby obrażało kombatantkę i weterankę walk”. Laura nie miała cienia wątpliwości, że spotkała na swojej drodze bojowniczkę ZBoWiDu, zahartowaną w walkach z reakcyjnym podziemiem. Nie chcąc oberwać parasolką, która złowieszczo wyglądała z bagażu dźwiganego na plecach przez właścicielkę Orderu Odrodzenia Polski, złapała wózek i oddaliła się pospiesznie, to znaczy podała tyły, żeby pozostać przy wojskowej terminologii.

Wspominając wczorajsze zajście, doszła do wniosku, że należy zachować czujność rewolucyjną i nie dopuszczać Dziecięcia do bliższych kontaktów z obcymi. Licho bowiem nie śpi i kiedyś naprawdę można oberwać...

Krzysiek tymczasem próbował nakarmić Dziecinkę kaszą z wiórkami czekoladowymi. Zgodnie z przewidywaniami i codziennym scenariuszem Niemol nie chciał jeść. Laurę, która ponownie owinęła się w kołdrę i próbowała wrócić na łono Morfeusza, dobiegły dzikie wrzaski, przypominające dźwięki towarzyszące natarciu grupy kibiców na oddział policji. Słodki dzieciaczek nie chciał konsumować owoców zgodnego trudu polskiego rolnika i krajowej fabryki cukierniczej.

— Co robić? — zapytał Krzysiek, gdy zataczając się jak zombie w filmie Noc żywych trupów, weszła do kuchni.

— Parówkę mu ugotuj — zaproponowała słabym głosem, a Niemowlę na dźwięk lubego słowa zagruchało z zadowoleniem.

Pięć minut później biedna Dziecinka wcinała mięso homogenizowane — jak głosił napis na etykiecie — i mlaskała przy tym znacząco, a jej rodzice nie mogli się nadziwić, w jakim tempie jest w stanie jeść. Zafascynowana matka zastygła z widelcem nad talerzem, co błyskawicznie wykorzystał Młody, porywając jej jedną parówkę.

— Pański syn pozbawił mnie posiłku — zwróciła się do męża głosem pełnym pretensji.

— Bardzo mi przykro, inżynier Mamon jestem — wykazał się refleksem Krzysiek, przerzucając parówkę na jej talerz.

— Dacie sobie jakoś radę? — spytał, wstając z westchnieniem, bo godzina wyruszenia do pracy nadchodziła nieubłaganie.

— A co mamy zrobić? Synku, tatuś musi iść zarabiać pieniądze — pouczyła Dziecko, które uczepiwszy się nogi ojca, zawodziło żałośnie.

— Tatuś musi — potwierdził anemicznie Krzysiek, odrywając ręce Niemowlęcia od swoich nogawek i wkładając buty. — Tatuś musi, eeee, zarabiać, żeby mamusia mogła ci kupować kaszki, kochanie, których ty i tak nie jesz...

Gdy za jedynym w tym domu proletariuszem drzwi zatrzęsły się z rozmachem, Laura spojrzała badawczo na Latorośl.

— Co masz ochotę zrobić? — spytała.

Pytanie retoryczne, bo Młodzieniec dziarsko poradzował do pokoju, gdzie zajął się włączaniem i wyłączaniem komputera. Gdy i to zajęcie go znudziło, wspiął się na szafkę i naciskając odpowiedni klawisz telefonu, zaczął przywoływać słuchawkę. Następnie wyciągnął z półki szachy i zaprosił matkę do gry. Matka dała Niemowlęciu mata w kilku ruchach, a niezrażone porażką Dziecię przeniosło się w inny kąt mieszkania, najpewniej do łazienki, by umyć sobie ręczki w sedesie. Minęło zaledwie dwadzieścia minut od wyjścia Krzyśka z domu, a lokum przypominało pobojuwisko. Po raz kolejny gratulowała sobie, że: 1) nie stać ich na większy metraż, 2) nie jest Perfekcyjną Panią Domu, a nawet Wystarczająco Dobrą Panią Domu. Gdyby nią była, musiałaby sprzątać

co dwa kwadransy i garb wyrósłby jej szybciej, niż można się spodziewać. A tak obserwowała niszczycielską działalność Potomka i wyczekiwała z utęsknieniem chwili, gdy umęczone Dziecko opadnie na podłogę i będzie je można odnieść na przedpołudniową drzemkę do łóżeczka.

Gdy wreszcie to nastąpiło, Laura — dalej w nocnych łąkach i kapciach typu laczki, w których gustował były prezydent Wałęsa — zrobiła sobie pierwszą tego dnia kawę i zasiadła do komputera.

Coco Chanel zwykła mawiać: „Zapach to mój dom”, Laura mogłaby tak powiedzieć o forach internetowych portalu gazeta.pl. Odkryła je, będąc w ciąży; jej pierwszym domem stała się Cięża i poród, dająca w sumie dziwaczny, lecz adekwatny do treści poruszanych tematów skrót CiP-a. Można tam było od ręki uzyskać informację, czy zjedzona w „błogosławionym stanie” makrela lub serek brie zaszkodzą „dzidzi”, czy czerwony barwnik z farby do włosów przenika przez łożysko oraz czy w ciąży można uprawiać seks analny (można, ale trzeba najpierw przeczytać poradnik w stylu Rok z twoim maluszkiem w ramach działań ekspiacyjnych). Potem Laura przeniosła się na Niemowlę, gdzie nieustannie wałkowano tematy typu „kupa, zupa”, a „rozszerzenie diety niemowlęcia” stanowiło problem tak doniosły i strategiczny, jak budowa stadionu piłkarskiego na Euro 2012. Szczęśliwe mamusie zatroskane naturalnymi wydzielinami pociech, problemy z laktacją, pranie brudnych ubranek — to były główne tematy tego forum i znudziły ją one dosyć szybko. Dzięki lekturze podobnych wątków miała bowiem wrażenie, że sama staje się niemowlakiem, a przecież — choć niewyspana i zagubiona — łaknęła rozrywki. I to im bardziej niedozwolonej, tym lepiej. Zaczęła przeglądać fora prywatne.

Szybko trafiła na nazwę, która ją przyciągnęła jak magnes: Matka-wariatka.

Założycielką była osoba o nicku inna-matka, a tematyka wątków podczepionych dla zachęty na pierwszej stronie skłoniła Laurę do błyskawicznego wysłania zgłoszenia. Na czele listy dziwnych tematów figurowała bowiem Lewatywa u świnki morskiej — takiego kaska po prostu nie mogła przepuścić (a czy ktokolwiek by mógł?!). Wypełniła zgłoszenie, w którym krótko opisała siebie i codzienne zmagania z Miłozsem — Niemowlęciem Płci Męskiej, i praktycznie od razu została przyjęta. Otworzył się przed nią zupełnie inny świat. W odróżnieniu od Niemowlęcia, gdzie sprawy związane z macierzyństwem traktowano z groteskową powagą, tu z każdego kąta wзираł luzik, rajtuzik, a tematy dzieciowe stanowiły jedynie margines prowadzonych rozmów. Zresztą sama CiP-a była ulubionym tematem żartów i Laura dopiero tutaj, zakotwiczona na Matce-wariatce, zrozumiała, ile fundamentalnych dyskusji przeoczyła, z klasyczną rozprawą o konieczności przeżuwania przez matkę pokarmu przed podaniem go dziecku na czele (model ptasi — matka żuje, wypluwa i podaje latorośli).

Wróćmy jednak do fascynującej sprawy lewatywy. Lewatywę śwince morskiej musiała zrobić niejaka Kofan Anan:li zwierzę należało do jej młodszej siostry, pod nieobecność której zachorowało na tajemniczą chorobę. Osowiałe, toczyło dziwnym, dzikim spojrzaniem. Kofan dosyć długo myślała, że to reakcja na wyjazd siostry, lecz

tajemnica odsłoniła swe drugie dno podczas zwyczajowej kąpieli świniaka. Po zmoczeniu kudłów naga prawda wylazła na wierzch — świnią w wiadomej okolicy miała dziwną gulę.

Kofan spakowała gryzonia do pudełka po szpilkach Manolo Blahnika, w drugą rękę wzięła nosidło z Jakubkiem i wyruszyła do weterynarza. Baba-lekarz fachowo obejrzała świniaka i nie siląc się na dyplomację, stwierdziła: „Dupsko ma zatkanie, będziem przepychać”, co wprawiło Kofana w takie zdumienie, że wyprostowało jej kudłate włosy. Weterynarka wprowadziła rurkę do lewatywy i w pięć sekund było po sprawie, a świniak uwolniony od zalegających treści żołądka.

Operacja jednak nie poprawiła radykalnie humoru gryzonia — wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej smutny i osowiały schował się w kąt klatki. Wezwany na światłą konsultację mąż Kofana od razu zdiagnozował problem. Chodzi o orientację seksualną zwierzęcia, które nie lubi, jak mu coś w tyłek wkładają, i już! Ta konstatacja pocieszyła Kofana — wprawdzie musiała powiedzieć siostrze o zabiegu lewatywy, ale miała też dobrą wiadomość: siostra nie będzie musiała maszerować wraz z gryzoniem w Paradyzie Równości ani zapisywać się do Stowarzyszenia Lambda (no, chyba że sama by chciała!).

Aktualnie forum rozgrzewała inna zupełnie sprawa, a mianowicie fryzurki intymne. Jedna z dziewcząt wydepilowała się właśnie i rozważane były wady i zalety tej operacji, przy czym zalety stanowczo przeważały nad wadami. Laura zastanowiła się, czy jest gotowa do takiej zmiany, i doszła do wniosku, że chyba jednak nie. Niemniej problem nie dawał jej spokoju. Ponieważ Niemowlę ciągle jeszcze spało, zebrała swoje rzeczy i poszła do łazienki pod prysznic. W kabinie przyjrzała się sobie dokładnie: poza kilkoma nadprogramowymi kilogramami, które przybyły po ciąży i nie chciały zejść, właściwie była zadowolona ze swego ciała. Krytycznie zlustrowała swoją „ciężę i poród”.

„Hm” — pomyślała. — „Właściwie czemu nie? Można spróbować”.

Goła wyskoczyła spod prysznica i zaczęła szukać nożyczek. Niestety, w zasięgu wzroku i ręki nic takiego nie było. Im bardziej brakowało nożyczek, tym bardziej Laura stawała się niezłomna w swym postanowieniu; teraz już MUSIAŁA TO ZROBIĆ. Owinęła się ręcznikiem, na wypadek gdyby jakiś podglądacz ustawił się pod oknem jej mieszkania na drugim piętrze, i udała się na przeszukanie kuchni. Nożyczek dalej nie było, więc Laura zaczęła szukać narzędzia zastępczego. Po krótkim namyśle zdyskwalifikowała tasak i nożyk do cytryn. Nóż do sera także się nie nadawał, także i nóż do chleba. Wygarnęła wszystko z szuflady; gdzieś na dnie zamajaczył kształt podobny do nożyczek, więc czym prędzej wyciągnęła po to rękę. Były to jednak gigantyczne nożyce do kurczaka.

„No nieeeee” — pomyślała i grzebała dalej.

Ale jej wzrok wciąż przyciągały nożyce. Zresztą nic innego nie znalazła. Z westchnieniem wzięła je i wróciła do łazienki. Podstawowy problem z depilacją za pomocą kuchennych nożyc do kurczaka — co zapewne potwierdzi każda kosmetyczka — polega na tym, że są duże i nieporęczne. Otwory na palce mają gigantyczne i przystosowane chyba do męskich łap w azbestowych rękawicach.

Laura z trudem otworzyła i zamknęła narzędzie, palce ślizgały się po grubym plastiku i trudno było domknąć ostrza. Mimo to po kilku próbach — z wysiłku zagryzła wargi — udało się wykonać dość precyzyjny ruch. Nożyce cięły rewelacyjnie! Prawdopodobnie lepiej niż kosiarka do trawy, więc zamierzała polecieć je swemu ojcu do pielęgnacji przydomowego ogródka. Reszty dzieła dokończyła maszynką do golenia nóg. Poszło szybko i sprawnie — była teraz łysa i nie mogła się temu nadziwić. Po prostu super! Dziewczyny na forum miały rację: depilacja to jest to! Wolność, niezależność i autokreacja! Kto powiedział, że matka dzieciom ma chodzić niewydepilowana? No kto?

Zadowolona z siebie wciągnęła ciuchy, bo Potomek dopływał właśnie do portu przedpołudniowego snu i nieuchronnie trzeba było przygotowywać obiad. Po wyjściu z łazienki poczuła dziwny swąd. Początkowo usiłowała się uspokoić, że to od sąsiadów, którzy zwykli gotować pożywne posiłki oparte głównie na smażonej cebuli i czosnku, ale tym razem śmierdziało jakoś inaczej. Jakby ziemniak pieczony i marchewka prażona... — Zupaaaaa! — wrzasnęła i pognęła do kuchenki. Niestety, było już za późno. Kaloryczna zupka z mięsem przygotowana dla Niemowlęcia właśnie zamieniła się w węgiel pierwszego gatunku, którym nie pogardziłaby elektrociepłownia w Bełchatowie. Laura wyłączyła gaz pod garnkiem, który przedstawiał równie opłakany widok jak zupka, i zaczęła zastanawiać się, jaki pokarm zastępczy mogłaby dać dziecku. Postawiła na budyń malinowy, czego na pewno nie pochwaliliby Nigella Lawson, propagująca potrawy wymagające większego wkładu pracy, jak zapiekana szynka czy sałatka z radicchio, dyni i fety (Laura w życiu nie widziała radicchio, ale była fanką programów Nigelli, które oglądała z równie zapartym tchem, jak inni Taniec z rozgwiazdami). Budyń pochodził z firmy z Zabierzowa; potomek był fanem jej wyrobów tak wiernym, że powinien dostać specjalną nagrodę od dyrekcji.

Najchętniej jadłby budyń cztery razy dziennie, i to w ilościach hurtowych. Laura szybko rozrobiła proszek i przygotowała mleko, w pięć minut miała gotowy obiad.

Zanim Młodzianek się obudził, czekało na niego ulubione pożywienie.

Po obiedzie rozpoczęła się skomplikowana procedura ubierania na spacer.

Laura w butach i kurtce (trzeba było się spieszyć, albowiem dziecko nie cierpiało ubierania i rozbierania oraz siedzenia w wózku w domu) naciągała kolejne części garderoby według ściśle przestrzegane grafiku. Bluzeczka z długim rękawem.

Rajtki. Spodnie. Buty. Polar z kapturem. Czapka. Kurtka. Łańcuszek zabezpieczający smoczek przed wyrzuceniem z wózka (zakupiony ze względu na gigantyczne straty w smoczkach). Potem biegiem po schodach: wynieść wózek z dzieckiem przed dom i gotowe. Ocierając pot z czoła, Laura wróciła wspomnieniami do czasów sprzed dziecka, kiedy żeby wyjść z domu do — powiedzmy (tfuj!!!!) — pracy potrzebowała trzech godzin. Rozpoczęła od półdrzemki w łóżku, potem, gdy zegarek dzwonił drugi raz, zwlekała się do kuchni wstawić wodę na kawę. Szła do łazienki pod prysznic. Po prysznicu wcierała bazę pod podkład i zaczynała układać włosy. Z lokówką wplątaną w włoki szła przeglądać bieliznę oraz wybierać rajstopki. Gdy wstępna selekcja została już zrobiona (zielony satynowy stanik, nie, nie, i długo nie), wracała do łazienki

kończyć z włosami. Lakier, nabłyszczacz, guma do układania, wyciągnąć pazurki na grzywce, przejechać szczotką. Podkład — najpierw wybieranie z kilku kolorów zależnie do pory roku, samopoczucia, aktualnego biometu i horoskopu. Kawa (podkład musi się ustabilizować). Następnie wybieranie bluzki (i prasowanie tej, która otrzymała największą liczbę głosów), duchowa zaduma nad spódnicą, troska nad butami (czółenka, sandały, klapki?) oraz głęboka refleksja nad torebką. W tak zwanym międzyczasie makijaż oraz ostatnie poprawki przy fryzurze zepsutej wkładaniem bluzki. Okazuje się, że buty nie pasują do torebki albo, co gorsza, spódnica do bluzki. Nurkowanie bezdechowe w szafie w poszukiwaniu spodni, które przeważnie okazują się brudne lub pomięte (czasami i jedno, i drugie).

Szukanie czystych, prasowanie. W wyprasowanych spodniach tyłek wygląda jak szafa gdańska czterodrzwiowa z lustrem, nadstawką i pasem do ostrzenia brzytwy.

Spodnie won do szafy, do łask wraca spódnica (z inną bluzką). W trakcie walki psuje się fryzura i makijaż. Poprawki. Ponownie dzwoni budzik — trzeba wychodzić na autobus... Rzadko kiedy udawało się jej zjeść śniadanie...

Obecnie wyjście z domu — razem z ubraniami dwóch osób i starganiem dziesięciokilogramowego wózka zabierało jej... dwadzieścia minut. Li i jedynie, jakby to powiedział bohater pewnej popularnej książki.

Po chwili była już na ulicy i rażno pomykała w kierunku parku, lecz los postawił na jej drodze rozliczne pokusy. Pierwszą z nich był second-hand o wdzięcznej nazwie „Kop Ciuszek” usytuowany na rogu, tuż koło domu. Laura uwielbiała „Kop Ciuszka” za feerię cudowności, które znajdowała tam po każdej dostawie. Bluzeczki, spodnie, kurtki i sweterki, wszystko nowe, ładne, niekiedy z metkami, w cenach, które nie przyprawiały o ból głowy. Teraz też, urzeczona sztruksową kurtką z wystawy, niezwłocznie weszła do środka. W sklepie działy się jednak dantejskie sceny — tłum rozgorączkowanych kobiet wydzierał sobie najlepsze odzieżowe kąski, walcząc jak na Łuku Kurskim (tylko bez czółgów).

Koło gospodyń wiejskich inscenizujące bitwę pod Hastings było niczym w porównaniu z tym, co działo się właśnie w „Kop Ciuszku”. Laura, nie próbując przepychać się dalej, zdarła kurtkę z wystawowego manekina, sprawdziła rozmiar (właśnie odzyskała 40, hip, hip, hurra!) i rzuciła ją Pięknej Mariolce z porozumiewawczym uśmiechem. Piękna Mariolka — obiekt westchnień wszystkich mężczyzn w okolicy — jak zwykle „poniała aluzju”: schowała kurtkę pod ladę, gdzie zgodnie z tajnym porozumieniem miała czekać, aż Laura powróci po nią koło osiemnastej. Tiaa, dobre relacje z obsługą sklepu były kluczem do zakupowego sukcesu. Laura miała dobre relacje ze wszystkimi, toteż gdy minutę później wepchnęła wózek na plac targowy, zewsząd otoczyły ją znajome głosy.

Ciekawostka godna badań naukowych — w Krakowie na tę miłą instytucję targowiska między domami, pełnego warzyw, owoców, mięs w wszelakich, Rosjanek z kocykami polarowymi i stanikami na biusty giganty, Chinek z koralami z jaspisu oraz ludności autochtonicznej z przedmiotami po dwa pięćdziesiąt, zawsze mówiło się „plac”.

Laura zupełnie nie rozumiała, jak warszawianie mogą na to mówić „bazar” (co kojarzyło jej się raczej z sukkiem w Marakeszu niż pocziwym targiem spożywczym). Podobnie nie rozumiała warszawskiej nazwy „lecznica” na prywatny ośrodek zdrowia, który z kolei w Krakowie nazywał się równie idiotycznie „spółdzielnią” (jakby tam pracowali sami inwalidzi!). Kiedyś, jadąc autobusem przez Krakowskie Przedmieście, nader głośno wyraziła przypuszczenie, że w Warszawie musi być strasznie dużo zwierząt, skoro w co drugim domu urzęduje weterynarz: tu „lecznica”, tam „lecznica”... W każdym razie na placu Staromiejskim Laurę i wózek znali wszyscy. — Młodzieniec w mięsny nazywany był „tym, co lubi sobie podjąć”, zaś w warzywniaku „postrachem marchewek”, w nabiłowym, pani sklepowa, widząc tylko zbliżającą się Laurę, od razu pakowała drożdżówkę z czekoladą, ale ostatnio Laura postanowiła być twarda jak Jan Dobraczyński i nie przekraczać ponad 1000 dziennej dawki kalorii. Na placu kwitło życie towarzyskie i uczuciowe — można się tu było dowiedzieć, kto aktualnie umarł (i jak bardzo się męczył), kto się urodził, kto dostał spadek i kto wygrał w totka (kolektura tuż przy placu, grają wszyscy, Laura wygrała 9 złotych, za które kupiła w „Kop Ciuszku” spódnicę z dzinsu).

Kiedyś była świadkiem, jak nad beczką kapusty kiszonej dobito targu sprzedaży mieszkania za wcale niemałą sumę. Innym razem żona sprzedawcy skarpetek zwierzała się koleżance z podejrzeń o ciążę (podejrzanie, ku wielkiej uldze strapionej kobiety, nie zamieniło się w pewność), nadając tę wiadomość supertajnym szyfrem, zrozumiałym jedynie dla agentów CIA, który jednak Laura, oglądająca niemowlęce czapki, rozpracowała w lot. Dla bywalczyń forów internetowych w stylu CiPy szyfrogram „zrobiłam sobie z krwi”, „spytał, czy będziemy wywoływać, a ja na to, że nie, najważniejsze, że nie jestem” — to była bułeczka z masłem i to przed śniadaniem. Przedarłszy się przez plac, wypchnęła wózek na ulicę Wesołą pełną międzywojennych, pięknych kamienic.

Skrytym marzeniem Laury — ściśle powiązaniem ze snem o bestsellerze, o którym za chwilę — było mieszkanie na Wesołej. Kiedy jej kryminał osiągnie szczyty popularności, zostanie nakręcona adaptacja filmowa i może zmienią regulamin nagrody NIKE i zaczną nagradzać poczytną literaturę drugorzędą, to za tę kupę kasy płynącą ze wszystkich stron Laura kupi wielkie mieszkanie przy Wesołej, gdzie jeden pokój przeznaczy na gabinet do pracy, w którym, przy małym biurczku z orzechowego drewna, na nowiutkim laptopie bez pękniętej matrycy i wyrwanej przez Niemola litery „D” napisze swoją kolejną powieść. Takie to właśnie snuła wizje, przechodząc ulicą i usiłując okiełznać Młodzieńczyka, który zapragnął wyjść z wózka i stojąc na siedzeniu, kiwał się miarowo w prawo i w lewo. Natrętny Niemowlak, istota muzyczna, wyczuł bowiem, że zbliżają się do Strefy Rubika. W jednym z narożnych domów, na drugim piętrze, codziennie jak rok długi i szeroki, jakiś antytalent wygrywał na fortepianie znany szlagier tego artysty pod tytułem Psalm dla Ciebie. Już wersja oryginalna była trudna do zniesienia, ale to, co z nią wyprawiał ów artysta, przechodziło ludzkie pojęcie.

Utwór w ogóle trudno byłoby rozpoznać, gdyby nie dziwaczny falset, który z uporem maniaka wyśpiewywał o tej, co w serce klawiszem stuka i zaprawdę — jego

serce, a może nawet i coś więcej stukało w te klawisze, z których dobywał się jazgot fałszywych dźwięków. Tak czy inaczej, dzień bez Rubika byłby stracony, więc Laura z pokorą wysłuchiwała szlagwortu nieszczególnie sobą zainteresowanej parze, skoro facet nieustannie porównywał swoją aktualną ze swoją byłą. Piotr Rubik pewnie schowałby się ze strachu do głowy Mitoraja na Rynku, gdyby usłyszał tego mężczyduszę. Laurze od razu przypomniał się autor powieści dla dzieci, Kornel Makuszyński, który w swoich wspomnieniach opisał kolegę — skrzypka co prawda — emitującego ze skrzypiec dźwięki Jakby kto z kota flaki wypruwał, a kot przeraźliwie miauczał", i to właśnie było to samo.

Szczęśliwie opuściła teren działalności pianisty wariata po przekroczeniu skrzyżowania znalazła się w miasteczku studenckim. Tu oddała się swemu ulubionemu zajęciu to jest obgadywaniu w myślach studentek. Zazdrościła im bowiem niesłuchanie — młode, w większości ładne i zgrabne, dobrze ubrane, miały czas, a na dodatek nie miały mężów i niemowlaków. Zagadane, zajęte, nieustannie paplające przez komórki, chodziły sobie tu i tam, nigdzie się nie spiesząc.

„Ciekawe, ile z nich ma fryzurkę intymną” — pomyślała mściwie, wybierając z tłumku studentek OBIEKT.

Obiektem była swojska dziewczyna w długiej spódnicy, butach turystycznych na gumowanej podeszwie i bluzeczce z solennym zapewnieniem Chrystus też Cię kocha. Laura doszła do wniosku, że ta od Chrystusa na pewno nie ma fryzurki. No way. Z drugiej jednak strony próbowała się postawić w roli dziewczyny obserwującej matkę z Niemowlęciem Płci Męskiej. Pewnie myśli tak: „Patrzcie, patrzcie, idzie matka, co ona wie o życiu? Ma tego niemowlaka, zupy mu gotuje, «Dziecko» czyta, krzyżówki w «Pani Domu» rozwiązuje. Czy taka byłaby zdolna, żeby sobie intymny fryz strzelić? W żadnym razie! Matki nie od tego są!”.

„I błąd, koleżanko, i błąd” — pomyślała Laura triumfalnie.

Od razu jednak mina jej zrzęda, ponieważ przypomniła sobie o zadaniu bojowym, które zaraz należało wdrożyć w działanie — musiała wysłać PIT-a, jak zwykle w ostatnim terminie. Miała już wypełnioną deklarację (ze względu na nędzne zarobki — zwrot 800 złotych), papierek na list polecony oraz kopertę. PIT był bez wątpienia podpisany i w ogóle nic nie zwiastowało tragedii, która miała nastąpić. Poczta mieściła się tuż przy bramie parku, jakby stworzona dla matek z niemowlętami. Niestety, tym razem nie było ani jednej matki, natomiast do dwóch okienek tłoczyła się masa ludzi — każdy z PIT-em w spracowanej dłoni. Laura potulnie ustawiła się na końcu ogonka, a po kilku minutach kontemplacji bogatego asortymentu handlowego, jaki miała w obrocie poczta (tabletki z szalwii przeciw poceniu się stóp, tabletki z bratka na syfy, magnez na potencję, szara maść na mendi i inne), dotarło do niej, że tłumek brzęczy jakoś wrogo. Przy okienku stała Wielka Blondyna z niesamowitą, przypominającą Króla Lwa, fryzurą. Simba — nazwijmy ją tak dla ułatwienia — była bez wątpienia księgową, bo wysyłała całą masę PIT-ów. Wyjęła je z foliowej torebki, a teraz mozolnie wypisywała kwity na dopłatę podatku — tu dopłaciła 500 złotych, tam 300... Każdą kwotę wpłacała — rzecz

jasna — oddzielnie i na osobnym druku, a kolejka co i rusz podnosiła jakiś sprzeciw. Kiedy operacja dobiegała końca i osoba stojąca za Simbą z ulgą wyciągnęła z torby swoją kopertę z PIT-em, ta wstrzymała kasjerkę, odkładając koperty do plastikowego kosza, zdecydowanym ruchem ręki.

— Chwileczkę — powiedziała Simba, odgarniając swą lwią grzywę i patrząc na kolejkę wyzywająco.

— Nie sprawdziłam, czy tam wszędzie są podpisy! Pani mi poda kopertę Golonko Aleksander.

Kolejka już nie brzęczała, a huczała złowrogo:

— To skandal! Chyba za całą ulicę płaci!

Kasjerka przerzuciła stertę kopert i znalazła Golonko Aleksandra. Simba rozdarła kopertę i wczytała się w PIT-a.

— A to chyba jednak nie Golonko — zauważyła odkrywczco i marszcząc brew, wpatrzyła się w plastikowy pojemnik. — Może Rzeżucha Anna albo Świstała Leopold? — zastanawiała się głośno, doprowadzając kolejkę do zespołowej palpacji serca. — Pani poda Rzeżuchę i Świstałę! Urzędniczka potulnie spełniła prośbę, ale z końca kolejki wyszedł jakiś krępy facecik i ruszył do Simby.

— Pani szanowna — zaczął wytwornie — jak się jest dupą a nie księgową, to się nie powinno takiego zawodu wykonywać. Każdy jeden tu z PIT-em stoi i czeka, a ta szuka, gdzie niepodpisane! Miała pani swoje pięć minut przy okienku, a teraz jazda...

— No wie pan, bezczelny! — oburzyła się Simba, ale przerwała wertowanie kolejnych kopert. Przez chwilę Laura łudziła się, że krępemu człeczynie udało się obudzić w Simbie jakiś ludzki odruch, ale była to płonna nadzieja. — Co ja to jeszcze chciałam? — Zamyśliła się, patrząc po wystawionych w okienku towarach. — Aha! Ten mały zniczyk z gablotki!

Kolejka zawrzała i ruszyła do przodu, wypychając Simbę sprzed okienka.

Laura pchnięta z tyłu, wpadła na wózek, — a Młodzieniec zaczął zawodzić baranim głosem. Laura wsadziła mu do dzioba smoka, ale nic to nie dało — dziecko pojękiwało tak boleściwie, że rozdrażniona przez Simbę kolejka zaczęła pomrukiwać groźnie w stronę Laury, która przelęknęła się nie na żarty. W tym momencie z zaplecza wybiegła kierowniczką i ogarnęła sytuację fachowym wzrokiem.

— Pani z wózkiem podejdzie do stanowiska informacyjnego — zarządziła. — Znicz z gablotki jest ekspozycyjny, nie do sprzedaży, przyjętej korespondencji się nie zwraca. — Odprawiła lamentującą Simbę ruchem dłoni. — Reszta: cisza. Ma być kulturalnie, bo zarządzymy przerwę śniadaniową! Kolejka zamilkła posłusznie, przerażona tą perspektywą. Laura podeszła do okienka i podała kopertę.

— Należy się trzy pięćdziesiąt pięć — powiedziała kierowniczką, wyciągając dłoń po gotówkę. Laura sięgnęła do torebki i oblał ją zimny pot — portmonetka została na blacie w kuchni! Nerwowo zaczęła grzebać po kieszeniach, licząc na zapomniane

monety. I rzeczywiście, w kurtce znalazła dwa pięćdziesiąt, w budzie wózka złotówkę, zaś brakujące pięć groszy wygrzebała z kosza na zakupy.

Niesamowita ulga. Laura widziała już oczami wyobraźni siebie w rękach krępego człowieczka, który za kołnierz wynosi ją z poczty, a reszta kolejki wypycha wózek z wrzeszczącym dzieckiem. Pogratulowała sobie zatem bycia wiecznie rozmemłanym lumpem, który niczego nie sprząta i przechowuje forszę tu i tam, i w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku skierowała się do drzwi, pod którymi gęstniała kolejka pitowców.

— Byłeś bardzo grzeczny, syneczku — powiedziała z uznaniem do Niemola, wychodząc z poczty. Młodzieniec w odpowiedzi zmrużył z zadowoleniem oczy i wyseplenił zza swoich czterech zębów:

— Kupa, maupa.

Weszli do parku i od razu zostali zaatakowani przez Bajkopisarza. Człowiek ów, gdy tylko trochę popuściły lody i ziemię rozgrzało wiosenne słońce, pojawił się w parku, by obnośnie sprzedawać swoje arcydzieło Lisek Broniek rudy ma ogonek. Czepiał się prawie każdej matki i zawsze zaczynał w ten sam sposób:

— Czy ja już panią pytałem? Czy nie potrzeba książeczki z pierwszą dedykacją? Przyjemność „pierwszej dedykacji” od tego zapoznanego autora kosztowała dość słono, ale wiele osób się nabierało na Liska Bronka i jego twórcę.

Laura zazwyczaj widziała go już z daleka i zgrabnie omijała, ale tym razem — z powodu przejść na poczcie — osłabiła czujność i dopadł ją na drodze do alejki z pomnikami.

— Nie! — wrzasnęła więc, gdy tylko zbliżył się do niej i już miała podać tyły, ale zaświtała jej myśl iście szatańska. — A może pan by kupił moją książkę? — zapytała przymilnie, wyciągając z przepaścistej torby jedną z broszurek swego autorstwa na temat zabytków Małopolski, które nosiła na wszelki wypadek, gdyby znalazł się niespodzianie nowy pracodawca zainteresowany jej talentem. — Bardzo ciekawa pozycja, tanio oddam, mogę załatwić autograf jednego profesora historii sztuki, ale to będzie drożej kosztowało...

Bajkopisarz ulotnił się w momencie jak dżin z butelki, a Laura ruszyła w kierunku swojej ławki...

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Niemowlę a okres

A: Witajcie, mam taki problem: zauważyłam, że jak mam okres, dziecko to wyczuwa i nie chce do mnie „iść”. Córeńka ma 5 miesięcy i odkąd dostałam okres, tak się dzieje. Wracalam dzisiaj do domu ze spaceru, chciałam ją wziąć na ręce, a ta w płacz. Dopiero jak weszłam do łazienki, zobaczyłam dlaczego — dobrze, że miałam wkładkę! Wtedy sobie uświadomiłam, że miesiąc temu było to samo. Mówiłam mamie, ale mnie wyśmiała, poradźcie coś, bo jestem sama w domu, a mąż wraca dopiero wieczorem.

B: Załóż jej niebieską kokardkę na nadgarstek, u nas pomogło, dziecko biegnie do mnie, jak tylko wyczuje, że mam okres!

A: No zwariowałaś chyba albo żartujesz??? Jaką kokardkę??? Ja tu mam poważny problem, a ty z jakimiś kokardkami wyjeżdżasz, lecz się!

B: Nie żartuję, a kokardę na lewej ręce, pamiętaj!!!

A: Sorki, ale dalej trudno mi uwierzyć...

C: Ty chyba z jakiegoś Czarnogrodu jesteś albo z choinki się urwałaś!!! Nie wiedziałaś, że z tymi kokardkami to ZABOBON??? Idź do psychiatry!!!

A: No właśnie, mnie się też to wydaje nieprawdą... Nie uwierzę ci B, że wiązałaś swojemu dziecku kokardę.

D: B powinna się w głowę puknąć, idiotka!

B: Skoro nie zauważyłyście, to moja wypowiedź miała charakter IRONICZNY...

E: Denerwują mnie tacy ludzie jak ty, B — dziewczyna ma prawdziwy problem, a ty sobie jaja robisz. Widać dziecko masz spokojne, za dużo wolnego czasu i pusto w głowie!!

F: Skoro nawet dziecko wyczuwa twój okres, to chyba powinnaś częściej się myć!!

G: U mnie jest jeszcze gorzej — cała rodzina na odległość wyczuwa, że mam okres, i wydzwaniam do mnie z gratulacjami, że go dostałam!!!

H: A u mnie to w całym bloku wiedzą... Ostatnio sąsiad dzwonił. Podobno w całym bloku kobitkom się cykl zsynchronizował z moim...

D: Aleście głupie, po prostu psychicznie chore (nie obrażając psychicznie chorych), pustaki. A ty, A, się nie martw, bo moja kuzynka miała tak samo i nawet przestrzegła mnie, że moje dziecko może być marudne, jak mam okres... Więc jest coś takiego, panie mądralińskie, coście wszystkie rozумы pojadyły, debilki...

ZNAJOMI Z PARKU

Ponieważ Młodzieniec urodził się na początku wiosny, Laura zaczęła chodzić do parku bardzo szybko. Jej pierwszym — i jak się potem okazało — dozgonnie wiernym znajomym był Zboczeniec, nazywany przez Laurę, ze względu na wykonywany rodzaj odchylenia, Eksio. Eksio krył się w głębokich krzewach i sygnalizował swoją obecność gwizdaniem, zwabiając w ten sposób chętnych do swej kryjówki. Z obserwacji Laury wynikało, że zbyt wielu chętnych nie miał, a kilka razy natknął się na faceta (Eksio, w typowo maskulinistyczny sposób, kojarzył każdy nadjeżdżający w kierunku krzaków wózek, jako zapowiedź kobiecej ofiary), co skończyło się rękoczynami. Eksio najczęściej pojawiał się w parku po deszczu, co skłoniło Laurę do odkrywczą konstatacji, że „zboczeniec jak glizda wyłazi po deszczu”. Eksio był na pewno znajomym z parku, lecz — z wiadomych względów — do ścisłego grona przyjaciół się nie zaliczał. Był bowiem raczej samotnym wilkiem, swobodnym Dżordzem, który nie zawiera znajomości długodystansowych. Drugim ulubionym egzemplarzem był niejaki Dżolindo (dziwaczna ta ksywa była transpozycją popularnego w dzieciństwie Laury powiedzenia „piękny Dżolo, chodzi solo”). Dżolindo był chuderlawym mężczyzną około czterdziestki, który całe dni spędzał, jeżdżąc figurowo na rolkach. Ubrany był w kolorowe gacie w typie zapomnianych już na szczęście stylonowych legginsów, na które wkładał artystycznie wystrzępione krótkie dżinsowe spodenki. Resztę stroju dopełniały podkoszulki z wyobrażeniami owoców. Dżolindo jeździł z ogromnym wdziękiem i wprawą, wykręcając piruety pomiędzy matkami z niemowlętami oraz staruszkami w berecikach z antenką.

Laura szybko zauważyła, że publiczność parku ma charakter sezonowy: po deszczu — jak to się już rzekło — wyłaziły zboki, w miesiącach letnich widać było wyraźny płodozmian — rano emerycy zajmowali najlepsze ławki i zaczęli lekturę, kłótnię bądź zapadali w sen. W okolicach hejnału teren zaludniał się wózkami, małymi dziećmi, niańkami i matkami, czasem, jak powieściowy biały żagiel, mignął gdzieś samotny (biały, choć trafiali się też Azjaci) ojciec. Po południu pojawiały się zakochane pary, które zapewne opuszczały park w godzinach rannych; czasem roіło się od wagarowiczów. W zimie nie przychodził nikt i Laura snuła się samotnie, oglądając sobie buty w kałużach.

Łatwo było zauważyć, że w parku tworzą się grupy. Grupy może nie trzymały władzy, ale obsiadały sobie wiadome ławki i zakątki. Niemowlęta spały lub wytrwale dały się w wózkach, a grupy dyskutowały z zaangażowaniem.

Grupa Laury okupowała dwie ławki między pomnikami księcia Józefa Poniatowskiego a hetmana Czarnieckiego i urzędowała tam od wczesnego popołudnia do wieczora. Zdecydowanie najdostojniejszą postacią był Dziadek Weroniki, emerytowany architekt, alpinista i podróżnik. Rodzice Weroniki z poświęceniem rozkręcali własną firmę, zaś Dziadek, który, jak sam stwierdził „ogólnie się na to nie pisał”, oddał się

wychowaniu wnuczki. Weronika była dzieckiem niepełnosprawnym — cierpiała na porażenie mózgowie. Gdy Laura dołączyła do dwuosobowego towarzystwa, dziewczynka miała prawie rok i z trudem siadała. Dziadek z ogromnym poświęceniem jeździł z nią dwa razy w tygodniu na rehabilitację, nadzorował (fachowo) rehabilitację domową oraz sam ćwiczył z wnuczką. Kiedyś opowiedział Laurze o awanturze, którą sprowokował w pewnym ośrodku rehabilitacyjnym, uważanym za najlepszy w okolicy. Gdy zapłakana córka Dziadka (i jednocześnie matka Weroniki) wyszła z gabinetu z diagnozą „z tego dziecka nic nie będzie, bo opóźnienia są straszliwe”, rozwścieczony Dziadek wtargnął do pokoju, zrugął lekarkę, wydającą tak ostateczne sądy po dwóch minutach badania dziecka, i zażądał widzenia z dyrektorem. Dyrektorka — kobieta postrzegana w mieście jako surowa i nieprzystępna — została od razu sprowadzona przez Dziadka do defensywy: musiała przyznać, że dziecko nie jest wcale w tak kiepskim stanie, i zlecić dodatkowe zestawy ćwiczeń.

Pani Lauro — komentował Dziadek — w ogóle sobie nie wyobrażam, co oni mówią rodzicom dzieci w gorszym stanie! Ta rozmowa była trudniejsza niż forsowanie Lhotse północną stroną, a to było naprawdę tragiczne — odpadliśmy od ściany i lecieliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów z lawiną. Dziadek Weroniki miał dobre dwa metry wzrostu, brodę i tubalny głos, którym oznajmiał wszem i wobec, że musi iść „odcedzić kartofelki” do pobliskiego szaletu lub „ta kobita, pani Lauro, to prawdziwa ruina”, ale i tak najbardziej lubił sympatyczne pogawędki o polityce.

Laura i Dziadek Weroniki poznali się w dramatycznych okolicznościach — siedzieli jeszcze wtedy kulturalnie na dwóch sąsiadujących ławkach, gdy do niej przyczepił się Bezdomny. Człowiek ten wyglądał jak z opowiadki o Piaskowym Dziadku, modnej we wczesnym dzieciństwie Laury. Całymi dniami szwendał się po parku i w jego okolicach, naciągając ludzi na różne świadczenia. Laura, widząc go, zazwyczaj umykała, ale tym razem czujność spadła jej do zera, bo czytała gazetę.

Bezdomny stanął nad nią, pokazując świeżo pozyskaną puszkę z tuńczykiem i domagając się pieniędzy „na herbatę”. Laura nie miała pieniędzy, a nawet gdyby je miała, nie dałaby — Bezdomny z właściwym sobie cynizmem polował na staruszki lub matki z niemowlętami, zwłaszcza takie, które nie miały dokąd uciec.

Sytuacja była więc beznadziejna, gdy właśnie pojawił się Dziadek Weroniki, to znaczy wstał ze swej ławki i tubalnym głosem zawołał: „Halo, halo proszę pana, czego pan chce od tej pani?”, a gdy Bezdomny całkowicie go zignorował, posłużył się słownictwem znacznie mniej wyrafinowanym, a do zniewag słownych dodał także fizyczne. Od tej pory Bezdomny omijał Laurę, a ona znalazła sobie kompana w osobie Dziadka. Dwie osoby to w końcu żadna grupa, więc Laura z Dziadkiem Weroniki szybko dokooptowali znajomka, a właściwie to on się dokooptował.

Rudy, bo taką miał ksywę, przez kilka dni wędrował samopas po parku, usiłując przysiąść na którejś z ławek. Inne grupy zdecydowanie nie akceptowały jego nietypowej fryzury (coś a la dredy w chustce łowickiej) i podkoszulka z wiele mówiącym napisem No Passaran!. Rudy zatem snuł się jak Żyd Wieczny Tułacz, zerkając z zazdrością na

tych, którzy mieli towarzystwo, aż Laurze zrobiło się go żal i zagadnęła doń w parkowej knajpce. Nad mineralną ze słomką opowiedział jej więc smutną historię swego życia: zrezygnował właśnie z niezwykle popłatnej pracy w wysokonakładowej gazetce w stylu „Głos Che Gevary” lub też „Lewą marsz” i udał się na urlop wychowawczy na małą Dolores (bo jakżeby inaczej?).

Dolores była dzieckiem modelowym, rozwijającym się według podręcznika: mając miesiąc, zaczęła unosić główkę, skończywszy cztery, obracać się dookoła własnej osi, w szóstym miesiącu gaworzyła i siadała, w siódmym zaczęła raczkować, obecnie, w wieku dziewięciu miesięcy, uczyła się wstawać. Nigdy nie płakała, nie domagała się niczego, tylko ufnie wyglądała ze swego szpanerskiego trójkołowego wózka i dziwiła się światu. Prawdziwą pasją Rudego, wręcz chorobliwą, był jednak Pan Samochodzik. Wszyscy czytali ten cykl Zbigniewa Nienackiego, ale zazwyczaj wyrastali zeń w okolicy dwunastych urodzin. Rudy nigdy nie wyrósł. Zgromadził wszystkie wydania Panów Samochodzików, białe, zielone i kolorowe, wydawnictwa takiego i owakiego, z poświęceniem godnym lepszej sprawy zbierał również niezbyt udane kontynuacje, pisane w ilościach hurtowych (dochodziły już bodaj do osiemdziesięciu) przez epigonów Mistrza.

Choroba Rudego miała swoje konsekwencje — założył on bowiem w internecie stronę pansamochodzik.com, gdzie opisał szczegółowo cały świat szalonego historyka sztuki. Laura zajrzała tam raz i była pełna podziwu — Rudy spędził nad swoją stroną dziesiątki godzin. Zgromadził streszczenia powieści, setki ciekawostek, co więcej, odbył kilka wycieczek śladami swego bohatera. Wszystko ilustrowane zdjęciami, rysunkami i oryginalnymi obrazkami. I choć zainteresowania Rudego graniczyły z obłędem (na okrągło czytał Pany Samochodziki w poszukiwaniu ciekawych tematów na stronę, np. „Pan Samochodzik i ORMÓ”, „Pan Samochodzik i seks”, „Samochodzik Pana Samochodzika” i tak dalej), Laura poczuła doń coś w rodzaju szacunku.

Opiekować się ciągle dzieckiem, pisać do „Che Gevary” i jeszcze na bieżąco aktualizować stronę to prawdziwe wyzwanie. Ona sama wydawała się przy nim jedynie wiecznie narzekającym — leserem, który nie potrafił wygospodarować marnej godziny na swoje hobby. Praca pasjonaty, choć niewątpliwie ciężka i odpowiedzialna (strona o Samochodziku miała ze 300 abonentów newslettera), nie przynosiła żadnych zysków, a do lewackiego czasopisma trzeba było nawet co nieco dopłacić. Na szpanerski wózek, „Głos Che Gevary” i nocne surfowanie po internecie zarabiała zatem żona Rudego, Agata, ofiara wrogiego kapitalistycznego spisku, jakim była pewna zagraniczna korporacja. W tej jaskini wyzysku Agata zajmowała wysokie kierownicze stanowisko i nie mogła pozwolić sobie na urlopy — gdy Dolores skończyła pięć miesięcy, wróciła do pracy, namawiając jednocześnie męża, by rzucił swoich gevarystów. Rudy jednak wcale ich nie rzucił — członkowie redakcji pisemka zlatywali się gwiazdździe do parku i pod Czarnieckim omawiali strategię, która miała sprawić, że ich gazeta stanie się popularniejsza niż „Dekada Polityczna”, a w każdym razie „Gość Niedzielny”.

Dziadek Weroniki przyjął początkowo Rudego z pewną rezerwą — lewackie odchylenie pachniało mu Dzierżyńskim, zaś członkowie zespołu redakcyjnego sprawiali

wrażenie lekko niedomytych — ciekawość jednak szybko zwyciężyła i Rudy stał się najlepszym przyjacielem Dziadka. Nie żeby się nie kłócili — awantury pod Czarnieckim wybuchały w stałych interwałach czasowych i kończyły się obrazą oraz koniecznością specjalistycznej mediacji. Laura w takich razach proponowała, by przenieśli swe walki do basenu z kisielom albo dali sobie cztery razy po głowie. W ten sposób zyskali sobie w parku opinię grupy agresywnej, wrogiej i nieobliczalnej, którą należy omijać z daleka.

Laura uwielbiała obserwować inne grupy. Szczególnie groźna była grupa Spod Pompy, nazywana przez nią Sekstetem Egzotycznym. Składał się on z czterech matek z niemowlakami, które absolutnie jednocześnie wyciągały zza dekoltów obfite biusty i karmiły swoje pociechy w sposób synchroniczny (Laura była pełna podziwu) oraz dwóch ciężarnych, które z należytym szacunkiem przysiadły na końcu ławki, czujnie wpatrzone w bardziej doświadczone koleżanki. Grupa Spod Pompy namiętnie dyskutowała o kupach i skazach, a dieta karmiącej zdecydowanie zaliczała się do wiodących tematów. Z ręki do ręki sunął najnowszy egzemplarz „Dziecka”, „Rodzica”, „Mamo to Ja” lub innej naukowej gazety, a później odbywała się dyskusja panelowa na zadany temat. Pouczające i bardzo twórcze. Laura nigdy nie aspirowała do tej grupy, zresztą nie miałyby żadnych szans. Jediną gazetką dla rodziców, jaką miała w rękach, był otrzymany przez nią za darmo do domu „Niemowlaczek”. Tuż po porodzie, znajdując się najwyraźniej w stanie szoku lub ciężkiego stuporu, Laura wypełniła w szpitalu jakąś podejrzaną ankietę i od tej pory z nieuchronną regularnością „Niemowlaczek” pojawiał się w jej skrzynce pocztowej. „Czytanie” tej pozycji prasowej zajmowało jej circa about piętnaście minut. Była to najgłupsza gazetka świata, pełna uśmiechniętych, pyzatyh niemowląt i szczęśliwych, SZCZUPŁYCH mamuszy prosto z fitnessu, salonu spa i Photoshopa. Nie wiedzieć czemu, redaktorzy tej pozycji mieli niesamowicie ubogi tezaurs — zamiennikami słowa „dziecko” były „smyk”, „maluszek” oraz chaplinowski „brzdąc”. Artykułki bogato okraszano „brzdącami” i „smykami”, między którymi przewijały się jeszcze „rączki”, „nóżki” i „buzie”. Laura zauważyła, że każda dzieciowa gazeta poczytuje sobie za punkt honoru niedopuszczenie do wiadomości istnienia u dziecka (pardon „smyka”) twarzy, ręki lub nogi. Nie istniało także coś takiego jak „brzuch” lub, nie daj Boże, „żołądek”. Brzdąca zawsze boli „brzuszek”, a po oparzeniu słonecznym z „rączki” schodzi mu „skórka”. Wedle tej gazety poród — niechby nie wiem jak okropny i skomplikowany — był „mistycznym przeżyciem”, zaś karmienie poranionymi i napuchłymi brodawkami „potwierdzeniem kobiecości” i dowodem na „więź matki z dzieckiem”. Po przeczytaniu jakiegokolwiek artykułu z „Niemowlaczka” można było ciężko zachorować lub — co gorsze — nabawić się kompleksów. Mamusia przedstawiana w tym piśmie, zawsze „piękna i zdrowa”, każdą przeszkodę w postaci nocnych karmień, kolek, gorączek, rzygów i rzadkich kupek pokonywała w stylu płotkarskim i bez strąceń.

Żadnych depresji poporodowych, złej organizacji czasu, zmęczenia i „ja się tak nie bawię”. Matka z „Niemowlaczka”, zawsze świadoma swej kobiecości, doskonała fizycznie i odporna psychicznie, mogła być wzorem dla każdego (nawet dla faceta z brzuchem, który miga się od roboty w kamieniołomie). Taka matka potrafiła nauczyć

dziecko samodzielnego zasypiania bez smoczka, gotowała pożywne posiłki z warzyw ekologicznych, własnoręcznie wyhodowanych w przydomowym ogródku, chodziła na długie spacery i zabawiała swe niemowlę (pardon „brzdąca”) grammi edukacyjnymi, które rozwijały jego osobowość. Na pewno nie pozwalała na ssanie poduszki i nie włączała dziecku Pory na Telesfora, wychodząc na palcach z pokoju, w złudnej nadziei, iż smyk zainteresuje się jednak czymś innym niż gryzienie matki lub demolowanie przestrzeni wspólnej. Obraz „matki idealnej” balansował gdzieś na granicy świadomości Laury, nie przebijając się do warstw bliższych, albowiem kojarzył się raczej z żoną ze Stepford niż z realną kobietą.

Realna kobieta miała bowiem ochotę na kawę i gazetę w spokoju, film w kinie i rozmowę z kimś, kto potrafi powiedzieć więcej niż „maupa”, „kupa” oraz nieśmiertelne „baba”, oznaczające absolutnie wszystko (czyli niemowlak jest z tej konwersacji absolutnie wykluczony). No, a Grupa Spod Pompy to były właśnie Matki Idealne, powiem więcej — Matki Wzorowe. Gdzieś w zamierzchłej prehistorii Laura, błąkająca się jak samotny elektron po parku, przycupnęła na sąsiedniej ławce, albowiem Młodzieniaszek zgłodniał. Z funkcjonalnego pojemniczka ze styropianu wydobyła butelkę z mieszanką (wróć: „mlekiem sztucznym”) marki Papilon Super i wetknęła w zgłodniałe usteczka swego dziecięcia. Matki Wzorowe - jak jedna żona — oderwały się od pasjonującej dyskusji na temat „pasy poporodowe — za i przeciw” i spojrzały na nią wzrokiem pełnym wysokogatunkowej pogardy. Laura bowiem w tej jednej malutkiej chwili obnażyła całą swoją wyrodność, swoje wygodnictwo, egoizm i, co tu kryć, głupotę. NIE KARMIŁA NATURALNIE. Nie dawała „dzidzi” tego, co najlepsze, nie zapewniała mu przeciwnia, narażała w przyszłości na choroby, dysleksję i szybkie wędnięcie. Z powodu swej bezmyślnej słabości („każdą trudność w kamieniu piersią da się przezwyciężyć”, „każda matka może wykarmić swe dziecko”, „pokarm rodzi się w mózgu”) odebrała maleństwu szansę na szczęśliwe życie. Wstyd. Matki Wzorowe dalej piorunowały Laurę wzrokiem, jakby w nadziei, że jednak się zreflektuje i wyciągnie z za dekoltu źródło ambrozji, ale wyrodna podśpiewywała sobie tylko „fiu, fiu, fiu” i przypatrywała się im bezczelnie. Etap wyrzutów sumienia miała już bowiem dawno za sobą. Co by tu nie mówić na temat terroru laktacyjnego w naszym wesołym kraju, zawsze dochodzi się do jednego: on istnieje. Nie zauważają go jedynie same terrorystki, co zdaje się jest bardzo typowe. Tuż po urodzeniu dziecka matki przestają się dzielić na małe, duże, grube, chude, matki chłopców lub dziewczynek, ale na te, które karmią naturalnie lub podają sztuczne. Sztuczne — cyjanek, trutkę, klej do tapet, źródło wszelkich nieszczęść, pożywienie nie dla niemowląt, a dla jakichś cyborgów, lub — ze względu na pochodzenie od krowy — cieląt. Kobiety niepotrafiące sobie poradzić z karmieniem, mimo świątłych i często pozostających ze sobą w sprzeczności porad personelu medycznego, traktowane są jako upośledzone dziwolągi i szybko przekazywane pod opiekę poradni laktacyjnej, gdzie fachowa położna za umiarkowaną cenę od 50 do 100 złotych za godzinę udzieli kolejnego instruktażu. Matka, która mimo tych wszystkich zabiegów i tak nie potrafi karmić, pozostaje trwale poza nawiasem społeczeństwa. Bo karmić może każda, a jak nie może, to sama sobie jest winna, i już.

Nie karmią tylko skrajne egoistki i nieudacznice. Inne karmią, co najmniej do drugiego roku życia dziecka, karmią w kolejnej ciąży, a potem karmią naraz dwójkę. I nie ma w tym nic dziwnego ani niezwykłego. Będąc w ciąży, Laura oczywiście nie zdawała sobie sprawy, z jak fundamentalnym problemem przyjdzie jej się zmierzyć.

Mówiła sobie luzacko, że jak się uda, to trochę pokarmi, a jak nie — poda butelkę z mieszkanką. Nie mieściło jej się w głowie to, co usłyszała później, że powinna położyć się z dzieckiem do łóżka i karmić je dwadzieścia cztery godziny na dobę, a potem, gdy „laktacja się unormuje”, karmić na żądanie, czyli dwadzieścia razy w nocy. W swej głębokiej naiwności myślała, że też jest istotą ludzką i ma prawo wyspać się raz na tydzień lub pójść czasem do toalety. Zjeść coś. Umyć się. Zrobić jaki taki porządek w domu. Poczytać. Obejrzeć wiadomości w telewizji. Nie.

Przez pierwsze miesiące życia dziecka miała tylko karmić, bez ograniczeń i na okrągło. Oczywiście, wszystkie wspomniane wyżej czynności można doskonale wykonywać z dzieckiem przyssanym do piersi, o czym zapewniały Laurę fora internetowe pełne dobrych rad. W tym celu wystarczy spać z „cycem” (tak tę część ciała określano na forum) na wierzchu, zaś dziecko nosić w praktycznej chuście.

Po domu też lepiej chodzić półnago, bo dziecko tak szybko trawi, że nie opłaca się ubierać pomiędzy seansami jedzeniowymi potomka. Pierwszy miesiąc życia Młodzieńca Laura spędziła w smutku i we łzach, zamykała się w łazience i siedząc na brzegu wanny, łkała cicho, a gil z nosa sięgał jej do pasa. Była wyrodna, zła, egoistyczna, żałowała dziecku, truła je, nie miała co liczyć na nawiązanie więzi, jednym słowem — nie miała mleka. I choć każda szanująca się terrorystka zapewniała ją, że może bez trudu, po prostu jednym pstryknięciem sprawić, że mleko popłynie strumieniem, jakoś nie płynęło. W okresie wyrzutów sumienia Laura nieustannie śledziła forum Warto karmić piersią, gdzie sugerowano jej codziennie, że jeśli nie karmi, to na pewno pójdzie do piekła. Jedna z terrorystek oświadczyła, że mleko w piersiach nie ma nic wspólnego z gruczołami jako takimi, a z „przyssawką mózgową”, w której się tworzy. Laura nie była może mocna z anatomii, ale o przyssawce słyszała po raz pierwszy w życiu, i dziwiło ją, że nauka, którą latami katowano ją w szkole, pominęła jakoś ten ważny organ.

Doszła więc do wniosku, że widocznie u terrorystek, na skutek nieustannego i wyczerpującego karmienia, w mózgu wykształca się owa przyssawka, której ona — z wiadomych względów — jest pozbawiona. Nie może karmić, bo nie wykształciła sobie przyssawki, ot co. Po siedmiu tygodniach walki z laktatorem, dietą karmiących, ciągłym płaczem i wyrzutami sumienia, udręczona ponad wszelką miarę poddała się na całej linii. Przyznała się przed samą sobą, że jest złą matką i nie dorosła do swej roli. Kupiła puszkę Papilonu Super, rozmieszała w buteleczce i podała wiecznie głodnemu dziecku, które wreszcie zasnęło na dłużej niż pół godziny. Wyrzuty sumienia przekształciły się u niej w nienawiść do terrorystek, które zaczęła ścigać po wszystkich forach, bezlitośnie chłostając przyssawką (zawsze linkowała wspomniany wyżej post). Wkrótce stała się znana jako Przyssawka i zaczęła się nawet zastanawiać nad zmianą nicka, ale dała spokój. Radość czerpała z faktu, że terrorystki zawsze wpieniały się na jej widok.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Płyn do higieny intymnej „Powabna pipka” a ciąża

A: Mam pytanko do wszystkich mamusiek, kupiłam sobie ten płyn i jestem bardzo zadowolona. On ma w składzie rumianek i kwas mlekowy, chciałam spytać, czy mimo wszystko nie zaszkodzi mojej dzidzi?

B: A nie zawiera deuteru lub trytu??

A: Przeczytałam całą etykietkę i nic takiego nie znalazłam. Pisze, że przebadany dermatologicznie i ginekologicznie.

B: O deuterze na pewno by napisali, nie martw się. Jak nie ma w składzie, możesz myć się bez obaw.

ŻYCIE ZAWODOWE

W rubryce „życie zawodowe” Laura zupełnie szczerze mogłaby sobie wpisać „mizerne” lub - gdyby chciała trochę skłamać dla poprawienia nastroju — „poniżej średniej”. Od dawien dawna nie miała „prawdziwej” pracy (miała tylko jakąś taką „nieprawdziwą”).

Pracowała bowiem — jako wolny strzelec — dla Dziwacznej Instytucji.

Instytucja owa miała oczywiście swą nazwę, czyli „Instytut Badań nad Folklorem”, a ostatnio dodała sobie nawet przedrostek „Europejski”, co w dalszym ciągu nie oznaczało, że nie jest dziwaczna.

Była. I to bardzo.

Instytut Badań nad Folklorem istniał wszak pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, a może i nawet sto lat temu. Co ciekawe, mimo iż ostatnio przechrzczył się na „Europejski”, dalej badał ten sam folklor — ziemi krakowskiej. I co z tego, że wszystkie zawszone zapaski oraz potłuczone garnki zostały już tysiąc razy opisane? W Instytucji, jak w powieści Umberto Eco, „nie ma (...) postępu, nie ma przewrotu, lecz najwyżej stałe i wzniosłe rekapitulowanie”, czyli mówiąc strawniejszym językiem, instytucja ta działała w sposób postmodernistyczny.

Albowiem jej patronem głównym był Chaos. Na czele EIBnF stał — choć wobec stanu jego zdrowia jest to stanowczo zbyt optymistyczne stwierdzenie — profesor Malanowski. Profesor nie miał ani jednego zęba i często zapominał swej sztucznej szczęki, na zebraniach długo miętolił jakieś słowo i w końcu rzucał niezrozumiałym mlaskiem, przywodzącym na myśl języki plemion etiopskich.

Cały profesor zresztą był etiopski: chudy i żyłowaty, o imponującej grzywie siwych włosów. Ubierał się z góralska w dziwny waciak z haftami oraz w getry, co nadawało mu wygląd zakopiańskiego turysty z lat trzydziestych minionego stulecia. Reszta Instytutu prezentowała się równie folklorystycznie: prawa ręka profesora, magister Nowicka, gustowała w kwiecistych sukniach i przyciągających spojrzenia szalach w geometryczne wzory. Magister swoją nietypową aparycją przypominała Laurze Dolores Umbridge, nauczycielkę Harry'ego Pottera, jak wiadomo, podobną do żaby.

Laura tłumaczyła dla nich drobne artykuły z prasy fachowej oraz pisała małe broszurki. Praca, która zdecydowanie nie hańbiła, ale — jakby to rzec — zbydlęcała.

Do jej obowiązków należało cotygodniowe pojawianie się na zebraniach Instytutu, podczas których odbywało się kilkugodzinne bicie piany, nazywane przez magister Nowicką „opracowywaniem strategii na najbliższy tydzień”.

Trudno właściwie wyczuć, na czym owa strategia polegała, ponieważ odkąd Laura tam pracowała, nie osiągnięto w tej sprawie konsensusu. Podczas zebrania oddawała się marzeniom, czyli — jak sama to określała — „snom o potędze”. Jej wielkim pragnieniem

było napisanie bestsellera, na którym zbiłaby ogromny majątek. Już kilka razy miała okazję, ale ktoś ją ubiegł. Najpierw Dan Brown swoim Kodem Leonarda da Vinci — Laura naskrobała już ze dwadzieścia stron na zbliżony temat, gdyż podobnie jak amerykański pisarz przeczytała Święty Graal, święta krew, kupiony w taniej książce za pięć złotych. Potem rozmyślała o napisaniu kryminału w stylu Siedem, którego akcja powiązana byłaby z Boską komedią Dantego. Niestety, ledwo zaczęła szkicować plan fabuły, zobaczyła wielki billboard z napisem: Światowy bestseller «Klub Dantego Matthew Pearla»...

Pomysł na kolejny kryminał, osadzony tym razem w realiach międzywojennego Krakowa, ukradł jej jakiś dziennikarzyna lokalnej gazety. Teraz znowu miała pomysł na powieść i codziennie nerwowo przerzucała strony kulturalne „Gazety Wyborczej”, aby zobaczyć, kto wydał JEJ dzieło. Na razie nikt, co z jednej strony bardzo ją pocieszało, a z drugiej okropnie przerażało. Co, gdy po setkach godzin nad klawiaturą komputera (godzin z trudem wygospodarowanych zresztą) i zapisaniu dziesiątek stron w Wordzie pewnego pięknego dnia otworzy sobie gazetę i przeczyta: Nowy bestseller Antoniego Pipśdńskiego vel Pierra Duarte «Zbrodnia Ikara»?!!! Byłoby to straszne, dużo gorsze niż wszystkie przejścia z Namolnym Niemowlakiem od początku jego istnienia... W związku z powyższym (tak zaczynała każdą swoją przemowę magister Nowicka) należało skupić się na szybkim napisaniu powieści, a potem zaoferowaniu jej jakiemuś wydawnictwu. Tylko jak to zrobić, kiedy na głowie ma się in corpore profesora Malanowskiego i Nowicką ksywa Cerber w Kwiatki, którzy aktualnie domagają się od niej napisania popularnego przewodnika po lokalnych zwyczajach?

Ta ostatnia wiadomość przebiła się do świadomości Laury, gdy w Sali Wacława Rzewuskiego, gdzie odbywały się obrady, zapadła nerwowa cisza.

Profesor Malanowski utkwiał w niej spojrzenie pełne wyrzutu, a magister Nowicka nerwowo poprawiała fioletowy szal w żółty rzucik. Znaczy się, chcieli czegoś od niej.

— Ehm — zaczęła bezradnie. — To znaczy, chciałam powiedzieć: w związku z powyższym, jaki jest termin?

Wszyscy odetchnęli z ulgą, choć profesor zmarszczył groźnie brwi. Nie lubił słowa „termin”, jak mało którego. Instytut w ogóle dosyć rzadko dotrzymywał terminów czegokolwiek i toczył o to nieustanne boje z prezydentem miasta i jego nachalnymi urzędnikami, domagającymi się wywiązania z dotacji.

— No, ten przewodnik mieliby kupować turyści — zaczęła niepewnie magister Nowicka, przepaszając wpatrując się w profesora, a jednocześnie drugim okiem gromiąc Laurę (miała zezę, więc wychodziło jej to znakomicie) — więc chyba Jakoś, panie profesorze, w lecie, prawda?? Do września musimy rozliczyć dofinansowanie, a tam jest pozycja „wydawnictwa”...

„Takie buty” — pomyślała.

Ponieważ mieli taką pozycję budżetową, MUSIELI wydać książkę.

Jakąkolwiek. Przez mgnienie oka zaświtała jej szalona myśl, że wobec takiego dictum acerbwn mogliby wydać JEJ kryminał. To znaczy, ten ewentualny bestseller, który kiedyś napisze. Nie, Instytut Badań nad Folklorem nie wyda kryminału, nawet jeśli obecnie nazywa się Europejski i dotację pobiera w euraskach. No, chyba że akcja toczyłaby się w jakimś skansenie... albo w izbie pamięci. Czy w ogóle akcja kryminału może toczyć się w izbie pamięci?... Laura ocknęła się i zrozumiała, że znowu schodzi na manowce, a magister Nowicka właśnie była w trakcie pogłębionej analizy przyszłej zawartości przewodnika: zwyczaje ślubne, pogrzebowe, noworoczne i wielkanocne, rok obrzędowy. Ze szczególnym uwzględnieniem w bibliografii prac profesora Malanowskiego i jej samej — magister Nowickiej ksywa Ja Się Nie Chwałę, Ja Po Prostu Mam Talent.

Godzinę później, kompletnie zgnębiona Laura szła do domu obdarowana nadbitkami różnych artykułów i bogatym wyciągiem bibliograficznym. Jeżeli odmówi, straci jedyne źródło dochodów, może niezbyt wysokich, ale zawsze jakichś, a utrzymanie Namolnego Niemowlaka kosztuje, i to sporo. Z drugiej strony: takiego bedekera po zwyczajach ludowych nie da się napisać bez ogromnych kosztów własnych (biblioteki, fiszki, kserówki, fotografia szpiegowska i tak dalej). Nie będzie też w ogóle czasu na pisanie bestsellera, co oznacza jedno — widmo Antoniego Pipiścińskiego vel Pedra Duarte zaczyna krążyć nad Europą.

„Jak to jest — zadumała się — że wszystkie bestsellery piszą faceci. Bo oni nie mają Niemowlaków i profesora Malanowskiego, który teoretycznie — biorąc pod uwagę stan uzębienia — jest bardzo do Niemowlaka podobny”.

Istotnie tak było, przykład Joannę K. Rowling to szlachetny wyjątek potwierdzający, niestety, regułę. Laura wlokła się noga za nogą do domu, przedłużając nieczęstą chwilę wolności. Dla poprawy humoru niezbędna wydała się jej wizyta u Pana 5 Złotych, który na placu Staromiejskim sprzedawał — właśnie w tej cenie — filmy dołączane do gazet. Ostatnio rozszerzył asortyment i w równie korzystnych cenach oferował zdezaktualizowane numery kolorowych gazet. Oczywiście, widząc Laurę z wózkiem, od razu oferował jej „Dziecko” i inne tego typu arcydzieła myśli wydawniczej, ale odrzucała je ze wstrętem, zastanawiając się, czemu matka niańcząca na rękach swego potomka nie jest dla Pana 5 Złotych klientem na magazyn „Łowiectwo” lub najnowszy pornos z Azjatkami. Po prawdzie nie była klientem na żadną z tych rzeczy, i tu Pan 5 Złotych miał całkowitą rację, ale na miesięcznik „Fantastyka i groza” i owszem.

Jedynym powodem, dla którego asygnowała trzy złote ze swych bądź co bądź skromnych dochodów na ten wątpliwej wartości literackiej magazyn, była osoba Łukasza Orbitowskiego. Kimże jest Łukasz Orbitowski, że narażają na dotkliwe uszczuplenie budżetu (3 drożdżówki z serem, dwa ziemniaczki zwane też bajaderkami, dwa lody w czekoladzie, 3 „Wyborcze” w prenumeracie, 1 litr mleka pasteryzowanego dla Niemowlęcia)? Pisarzem, który od kilku lat najwyraźniej prześladował Lurę. Nie żeby to robił osobiście, do tego jeszcze na szczęście nie doszło, on ją molestował mentalnie, a nawet można rzec — terytorialnie.

Pierwsze opowiadanie Orbitowskiego, jakie przeczytała, toczyło się w pociągu relacji Kraków-Poznań i było dosyć krwawym horrorem. Potem pojawiło się takie, którego fabuła została umiejscowiona w bibliotece przy ulicy Rajskiej, gdzie Laura na stałe mieszkała. Kolejne za przestrzeń przedstawioną miało teren Muzeum Archeologicznego, z którym Laura ściśle współpracowała, zaś następne — wciąż powracający w jej snach koszmar — ogródek żłobka niedaleko jej domu.

Nie ulegało wątpliwości, że orbita działań tego, niepokojącego, autora, jakoś dziwnie przecinała się z jej orbitą operacyjną. Krzysiek, przeczytawszy jedno z opowiadań podsuniętych mu przez żonę, stwierdził nawet, iż to ona jest Łukaszem Orbitowskim as himself i produkuje te dziwne historyjki dla magazynu „Fantastyka i groza”, a za honoraria kupuje sobie środki odurzające, bo takich rzeczy trzeźwy człowiek nie potrafi wymyślić. Wielce kuszące podejrzenie.

Nerwowo przerzuciła kupiony magazyn, bo zobaczyła na okładce nazwisko swej Nemezis. No tak — tym razem akcja toczyła się na Wesołej — ulicy, którą codziennie szła z Młodziankiem do parku. Orbitowski — to nie pozostawiało żadnych wątpliwości — zbliżał się. Może to nawet on obnażał się w parku bądź sprzedawał swoje arcydzieła utrudzonym matkom! Tak rozmyślając, osiągnęła cel podróży, czyli dom. Odebrała Niemowlaka od rozpromienionej sąsiadki („Był grzeczny, jak aniołeczek, pani Lauro”) i rozpoczęła opisaną już wyżej procedurę ubierania. Rozwścieczony tym młody człowiek rozdarł się nie na żarty, przez co spływała potem, gdy w pięć minut później stała już w wózkiem pod domem.

Pod Czarnieckim opowiedziała całą historię z Malanowskim Rudemu, którego zastała przy czytaniu Pana Samochodzika i Niewidzialnych.

— Co się łamiesz — stwierdził Rudy, mający niezawodną receptę na każde zmartwienie. — Perce ci tę broszurę napisze, odpalisz mu połowę kasy...

Perce to najlepszy przyjaciel Rudego, zarówno w „Głosie Che Gevary”, jak i we wspólnym uwielbieniu Pana Samochodzika. Jakies dziesięć lat wcześniej Perce, który nazywał się całkiem zwyczajnie z polska i z pszena-buraczano, zapragnął należeć do jakiejś mniejszości narodowej. Rudy zaproponował mu albinosów, albowiem Perce miał blisko dwa metry wzrostu i był płowym blondynem. Ten obraził się jednak i postanowił przystać do Łemków. Podobały mu się białoruskie śpiewy, rosyjskie rubaszki oraz coroczna watra, na którą mógłby jeździć i słuchać wspomnień o akcji „Wisła”. Zaczął rozpytywać tu i tam, lecz w Krakowie o Łemków raczej trudno, a przenieść się na Podlasie nie zamierzał. W związku z tym postanowił zostać starozakonnym. Mniejszość ta odpowiadała mu nawet bardziej: hermetyczne obyczaje, ciekawa kultura, całkiem niezła kuchnia. Zaczął zatem zapuszczać jasne pejsy, kupił sobie jarmułkę i co chwila wmawiał Rudemu, że marzy o żonie w peruce. Rudy na próżno tłumaczył mu, że każdy szanujący się członek narodu wybranego jest czarniawy i ma orli nos, ba!, zabrał go nawet pod Bramę Floriańską, by naocznie przekonał się, jak wyglądają — namalowani co prawda — Żydzi (był to okres, gdy wśród najlepiej sprzedających się towarów królował obrazek „Żyd liczący pieniądze”). Perce jednak się nie ugiął — jego koronnym

argumentem była osoba Antka Zukermana, przyjaciela Marka Edelmana, złotego blondyna o aryjskim wyglądzie. On, czyli Perec, to właśnie taki zbłąkany, niepasujący na pierwszy rzut oka członek wielkiej diaspory. Rudy w końcu skapitulował, uznając, że z wariatami dyskutować się nie da. Perec zdwoił swoją aktywność w „Głosie Che Gevary” (mimo że aktualnie podawał się za syjonistę) i zakupił sobie Księgę Zohar, którą zamierzał studiować do poduszki (jednocześnie zaczął podawać się za kabalistę). Tak czy owak, stał się pierwszym na świecie marksistą-kabalistą i bardzo sobie ten stan chwalił. Laura poznała go późną wiosną, tuż po zawiązaniu się grupy. Wyglądał wówczas dość nieszczególnie, bo zaproponowano mu pracę (z wykształcenia był architektem) i nie wiedział, jak się z tego wykręcić. Jediną rzeczą, jakiej Perec naprawdę się brzydził, była praca na etacie. „Lepiej umrzeć, niż pracować” głosiła jego życiowa maksyma, a zaczerpnął ją z jakiejś książki. Poza tym nie miał zbyt wrażliwego sumienia i gotów był odwalić za Laurę każdą robotę.

— Ty... A on się w ogóle zna na tym? — spytała więc Rudego, który wrócił do wypisywania błędów korektorskich z Niewidzialnych, czym przypawiłby każdego redaktora o zawał serca, bo również i to skrupulatnie umieszczał na swej stronie.

— Perec zna się na wszystkim. On taki omnibus jest...

— Hmm, wszechtalent, znaczy się — mruknęła. Właśnie do takich nie miała za grosz zaufania.

— O zwyczajach żydowskich na pewno ci napisze — uspokoił ją Rudy i bardzo się zawiódł, bo Laura nie wyglądała na jakoś wyraźnie pocieszoną.

— No dobra — powiedziała z westchnieniem — zapytaj go, czy dałby radę, ale pieniądze na pewno marne, to mu od razu powiedz...

— Perec nie wybrzydza — zapewnił i nie mijał się tu z prawdą.

Obok mizernych dochodów z „Che Gevary” Perec utrzymywał się z pisania prac dyplomowych, rozdawania ulotek i robienia ankiet. Twierdził zresztą, że w ten sposób wchodzi w kontakt z prawdziwym człowiekiem, autentycznym członkiem społeczeństwa, pogardzanym przez zblazowany establishment. Laura podsunęła mu nawet kiedyś, by został konsultantką firmy kosmetycznej Avon — w ten sposób wszedłby w jeszcze bliższy kontakt z człowiekiem. Zapalił się do tego pomysłu, ale go nie przyjęli, co tylko pogorszyło jego opinię o wrogich korporacjach. Zgodnie z przypuszczeniem Rudego, przyjaciel entuzjastycznie odniósł się do książki o zwyczajach. Bez słowa skargi na nędzne wynagrodzenie złapał nadbitki artykułów i bibliografię i zniknął w parkowej alejce, kierując się najwyraźniej w stronę jednego z budynków akademickich, gdzie „Głos Che Gevary” miał swoje biuro, w którym Perec permanentnie urzędował (a nawet sypiał tam czasem na karimacie).

— No widzisz? — powiedział Rudy do Laury, w której mimo wszystko kiełkowało podejrzenie, że Pereca przerośnie ta publikacja. — Wszystko się dobrze kończy... A ty mogłabyś poświęcić zaoszczędzony w ten sposób czas na przeczytanie czegoś pożytecznego.

— Na przykład czego? Pana Samochodzika?

— A chociażby. To bardzo wychowawcza książka...

— Akurat! To jedna wielka kraina propagandy. Poza tym po przejściach z Instytutem Badań nad Folklorem mam dosyć muzealników wszelkiej maści, a już zwłaszcza udającym Jamesa Bonda. Rudy skwitował te słowa wzruszeniem ramion i obrzydliwą miną.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Balsamy brązujące a karmienie piersią

A: Niedługo mam wesele i jestem strasznie blada, a nadal karmię piersią. Polećcie jakiś balsam brązujący, bo wiem, że na solarium nie można...

B: Kup sobie strój nurka, pod spodem nic nie będzie widać, a problem z głowy.

C: Ja bym po prostu nie poszła na wesele albo tak jak koleżanka powyżej mówi, założyłabym strój nurka. Przecież karmiąc piersią, nie wolno się opalać, bo od solarium się mleko warzy, a od samoopalacza robi się brązowe!!! Spróbuj rozcieńczyć farbkę plakatową z wodą i kremem nivea, posmaruj się tym na wesele, będzie wyglądało jak prawdziwa opalenizna.

D: Ktoś ma problem, a wy znowu sobie jaja robicie!

E: Pij dużo soku z marchwi, jeżeli to nie pomoże, najlepiej nasmarować się sokiem z łupiny orzecha, ale chyba do wesela nie zdążą dojrzeć (orzechy).

F: Nie słuchaj idiotek!!! Możesz smarować się balsamem brązującym, tylko uważaj na sutki, żeby dziecko tego nie zjadło.

SCHIZA CIAŻOWA

Od nieustannego czytania CiPy u Laury wytworzyła się schiza ciąży.

Śledząc wątki, można było bowiem zwątpić nie tylko w skuteczność tabletek antykoncepcyjnych, ale i w Boga. Co rusz jakaś internautka (zwana tu, nie wiedzieć czemu, „foremką”) meldowała się tragicznym postem „CZY MOGĘ

BYĆ W CIAŻY????”, koniecznie pisany dużymi literami i z wstrząsającą liczbą pytańników. Dalsza lektura podważała wyżej wzmiankowaną wiarę w osiągnięcia nowoczesnej medycyny: oto zdesperowana autorka, konsumentka pigułek antykoncepcyjnych, użytkowniczka sprzętu lateksowego, tudzież właścicielka najnowszej wypasionej wkładki oświadczała, że mimo tych wszystkich zabezpieczeń JEST WŁAŚNIE W CIAŻY. Jak to możliwe, tego nie wiedzieli najstarsi górale świętokrzyscy, ale fakt pozostawał faktem... Wedle dziwnego języka panującego na CiPie nastąpiło „przitulanko” (tłumaczenie na język polski: seks), a w jego efekcie „zafasolkowanie” (tłumaczenie: ciąża). Dalszymi nieuchronnymi elementami były „brzusio” i znana nam już nazbyt dobrze „dzidzia”. Właśnie na to ostatnie Laura, matka Natrętnego Niemowlęcia, absolutnie nie mogła sobie pozwolić.

Zażywała pigułki, miała niepokojące doświadczenia z gumą (jakby to ujęła nieśmiertelna Bridget Jones) i rozważała założenie spirali. Kupiła sobie nawet kieszonkowy kalendarzyk i termometr z rtęcią, aby wypróbować watykańską ruletkę, ale jak tu obserwować śluz owulacyjny, kiedy stosuje się tabletki? Tego problemu nie potrafiła zgłębić.

Kiedy jednak zapowiadany na poniedziałek rano okres spóźniał się, wpadła w panikę i schizę ciążową (minęło południe). Mimo podwójnych zabezpieczeń — STAŁO SIĘ, tego była pewna.

Odczuwała te same objawy, jak podczas ciąży: bolał ją brzuch i swędziało całe ciało, zaczęła nawet odczuwać mdłości i zawroty głowy. Ani chybi — zaszła. No, to tylko sięść i płakać, za dziewięć miesięcy, gdy Młodzieżowiec skończy dwadzieścia miesięcy, następny DOPUST BOŻY!!!!!! Z rozpaczy chętnie by się napiła wódki, ale musiała się wstrzymać ze względu na domniemaną ciążę. Tak zeszło do popołudnia, gdy zgnębiona czytaniem forów ciążowych poszła do łazienki, gdzie naocznie przekonała się, że NIE JEST W CIAŻY. Ulga. Z serca schizotycznej wariatki stoczył się tysiackilowy ciężar. Sięgnęła do szafki pod umywalką w poszukiwaniu wiadomych środków higienicznych, gdy jej ręka zawisała w próżni: w domu nie znalazła ani jednej podpaski, ani kłaczka waty i ani źdźbła ligniny. Nic. Mogła ewentualnie potargać prześcieradła na szarpie lub obłożyć sobie majtki gazetami. W antycypacji nadchodzącej ciąży w sklepie rozglądała się bardziej za testem niż podpaską. Zresztą po co miała je magazynować na dziewięć miesięcy i niepotrzebnie zamrażać kapitał (5 złotych)?

„Co tu robić” — medytowała, przezornie nie wstając z sedesu.

Nagle ją olśniło, prawie jak młodego Buddę pod sykomorem. Po prostu iluminacja! Przypomniała sobie historyjkę opowiedzianą niedawno na Matce-wariatce przez jedną z koleżanek, która oduczała swego synka od pieluch.

Ponieważ młody człowiek, po miesiącach nieudanych prób, zajarzył wreszcie, że należy wołać (baranim głosem): „Maaaaama, kupa”, koleżanka owa przestała mu zakładać pampersy. Pewnego dnia udała się jednak z potomkiem w dłuższą trasę do dziadków. Trasa jak to trasa obfitowała w samochody i inne odwracające uwagę dwulatka sprawy, więc koleżanka z przerażeniem zauważyła powiększającą się na spodniach pierworodnego mokrą plamę. W domu rodziców pieluch rzecz jasna brakowało (trening oduczania obejmował całą rodzinę), zatem należało poszukać szybko jakiegoś zamiennika. Padło na rzecz podobną i wygodną: podpaskę babci (w rozmiarze XXL) wzmocnioną dodatkowo po bokach przyklepcem. Wspomnieć należy, że reszty tej dziwnej przyodziewy dopełniały majtki dziadka (tym razem w rozmiarze XS, czyli takim, jaki uzyskały po praniu z gotowaniem) przyczepione na szelkach. Teraz owa historia natchnęła Laurę: skoro można dziecku założyć podpaskę i podrasować ją przyklepcem, to czemu dorosłej kobiecie nie założyć pampers 4+ i ewentualnie wzmocnić go skotchem??? Z kawałkiem papieru toaletowego między nogami wyskoczyła z łazienki i pognęła do pokoju Pana Młodszeo, który aktualnie spał jak zabity, ssąc przez sen róg poduszki (oduczanie od smoczka). Pielucha, wprowadzie trochę przymałowawa, jakoś dała się wcisnąć. Odstawała znacznie po bokach, bo — wiadomo — przyklepce nie mogły się spotkać na ciele osoby, która w rozmiarze 38 nosiła jedynie buty, więc taśma klejąca była nieodzowna. Najlepiej sprawdziła się papierowa, do oklejania listew przypodłogowych na czas malowania. Po naciągnięciu majtek Laura wyglądała tak, jakby wsadziła sobie między nogi ręcznik, ale trudno: włoży po prostu spódnice i nie będzie nigdzie siadać.

I tak, w niemowlęcej pieluszcze, z Niemowlakiem i wózkem pod pachą — udała się na zakupy. O tym, że jest to sport ekstremalny, równający się chyba tylko ze skokami bez spadochronu lub obserwowaniem drzew z dużej odległości, nie trzeba raczej przypominać. Jak bardzo niebezpieczne jest wchodzenie z Niemolami do wszelkich miejsc oferujących cokolwiek na sprzedaż, dowiedziała się z forum Nienawidzę dzieci, na które ostatnio się zapisała. Forum to fascynowało ją do tego stopnia, że każdego dnia rano, zamiast włączyć sobie wesołą CiP-ę lub jeszcze zabawniejsze Niemowlę, od razu brała się do rycia w Nienawidzę dzieci — dziwnego zbiorowiska frustratów płci żeńskiej. Typowa przedstawicielka Rodziny Nienawidzących miała trzydziechę na karku, psa, kota lub hodowlę rybek akwariowych i generalnie obywatela się bez towarzystwa osobnika płci przeciwnej (co bynajmniej nie oznaczało, że zadowalała ją obecność osobnika tej samej płci, też nie, niestety!). Była spełniona zawodowo i materialnie, jeździła po świecie, realizowała swe pasje i nienawidziła dzieci. Dziecko w jej oczach było czymś dużo gorszym od pierwotniaka pantofelka i eugleny zielonej: wyło, smarkało i rozmazywało na wszystkim czekoladę. Tym czynnościom ze szczególnym uporem oddawało się w sklepie, ku utrapieniu Nienawidzącej, która chciała kupić nieumazaną masę kakaową bułeczkę do swej wykwintnej kawki, pitej w szalenie rozwijającej i aktywizującej pracy. Na drodze tego ideału samorealizacji nieustannie wyrastały odrażające, zaniedbane

matki, ślepo wpatrzone w swe wyjące potworki, to jest dzieci. Matka dla takiej kobiety była czymś jeszcze gorszym niż dziecko (bo w końcu cóż ono winne, że się urodziło), a zatem również czymś gorszym niż pantofelek i owa zielona euglena. Matka bowiem została pozbawiona mózgu — wyżarła go jej ciąża, a potem opieka nad potworkiem, którego wydała na świat. Kobieta z dzieckiem to dla Nienawidzącej synonim głupoty, ciemniactwa i zaniku wszelkich ambicji. Wycieranie zasmarkanych nosków, gotowanie zuppek, pranie pieluch i ubranek zabijało wszelkie zdolności i skazywało ją na nędzną vegetację jako dodatek do dziecka lub ewentualnie wózka. Z drugiej strony matka była pasożytem — siedziała na urlopie macierzyńskim lub wychowawczym i w trakcie gdy Nienawidząca urabiała sobie ręce i nogi po łokcie, by zapłacić za nią ubezpieczenie społeczne, leżała na kanapie i piłując paznokcie, śmiała się jak hiena, że jedni muszą zasuwac, a ona się byczy. Taki to, moi drodzy, obraz wyłaniał się z forum Nienawidzę dzieci. Laura nie miała nawet pojęcia, jak negatywne uczucia wzbudza, wpychając wózek do pobliskiego sklepiku i z mozołem przedzierając się między półkami. Nienawidzące dawały jej na swym forum dobre rady, jak wstąpić na drogę cnoty i nie przeszkadzać pracującej masie społeczeństwa: wózek z dzieckiem należy zostawić przed sklepem (kto by zabrał takiego usmarkanego szczeniaka, chyba jakiś chory!) lub wziąć potomka na ręce („Dwanaście kilo, hm, hm, hm — dobry pomysł, że też sama na to nie wpadłam” — myślała Laura).

Nasza bezmózga matka nie skorzystała jednak z tych z serca płynących porad i wózek z Natrętym Niemowlęciem wtoczył się do środka. Pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, był szybki bieg do stoiska kosmetycznego po wiadomy towar; dalej zakupy można przeprowadzać spokojniej, choć należało ciągle zachowywać czujność rewolucyjną. Niemowlak bowiem aktywnie uczestniczył w procesie zaopatrywania domu w artykuły pierwszej potrzeby. W drodze do kasy Laura skonfiskowała nadprogramowe rzeczy „kupione” przez Dziecię, które raz po raz wyciągało swą chwytną mackę w kierunku półek. Z westchnieniem odłożyła pudełko rajstop w rozmiarze S („Czyś ty oszalał, synu? XXL trzeba było brać!”), kostkę do WC o zapachu morskiej bryzy, pastę do butów w kolorze brązowym (nikt w domu nie nosił takich butów), cztery przyprawy do zupy (złapane, gdy ona schylała się po budyń) oraz paczkę długopisów. Zabranie Niemowlęciu tej ostatniej rzeczy skończyło się protestem, który Nienawidzące (gdyby któraś z nich przebywała akurat w sklepie) od razu opisałyby z satysfakcją na swej stronie.

Dziecinka zawyla jak ranny łoś i podnosiła stopniowo amplitudę, co chwila zerkając na matkę w oczekiwaniu pożądanego efektu. Laura z westchnieniem sprawdziła cenę długopisów (przystępna) i wręczyła je synowi.

— Masz. I nie wyj. Straszny z ciebie Lajonel Ryczy... Zadowolone Niemowlę wyszczerzyło swe cztery zęby i radośnie obwieściło:

— Kupa, zupa, maupa, bacha!!!

— Małpa Bacha? — zdziwiła się matka.

Nie знаła żadnej Małpy Bachy i wątpiła w to, by mogło ją znać Niemowlę.

Jednakże Młodzieniec, zadowolony, że matka wreszcie pojęła jego narzecze i odpowiedziała mu w zrozumiały sposób, kontynuował wypowiedź:

— Maupa, bacha, gufi, nieeee, nieee...

Laura westchnęła ciężko, popychając wózek do kasy:

— Trudno się z tobą gada, Młody... Coś, jakbym w sejmie siedziała i słuchała konferencji prasowej Chrześcijańskiej Unii Jedności...

Pani przy kasie uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

— Na długopisy panią naciągnął? Pani odłoży, dam mu lizaka, tańszy będzie...

— Pomachała Niemowlęciu przed nosem kolorowym cukierkiem, a dziecko wyciągnęło pożądlawie rączki. — Widzi pani? Lizak czterdzieści groszy...

— Czarno widzę — odpowiedziała.

Znała swe dziecko i wiedziała, że wyjdzie ono ze sklepu z paczką długopisów w jednej i lizakiem w drugiej ręce. Tak się też stało, ale nie miała czasu na uzalanie się nad ruiną budżetu — pieluszka zaczęła ją bardzo uwierać i nadszedł najwyższy czas, aby coś z tym zrobić. W domu — po załatwieniu najpilniejszych prac higienicznych — pochłonął ją inny problem, a mianowicie: wariat na forum.

Różne są nieszczęścia: strata pracy, otrzymanie pracy, zdrada i jej brak, czasem zdarza się nawet lądowanie obcych i inne — jakby to powiedział kuzyn Laury — „gadżety”.

Dla mieszkańca globalnej wioski, jaką bez wątpienia jest internet, najgorsze nieszczęście to wariat na forum.

Forum Matka-wariatka przyciągało takowych w naturalny sposób i trudno mieć do nich pretensje, że szukali w takim miejscu bezpiecznej ostoi.

Jakieś pół roku wcześniej na ulubionym forum Laury, które obok dywagacji o lewatywie u świnki, fryzurek intymnych, poruszało tak fundamentalne tematy jak najlepszy wibrator (wygrał zdecydowanie „Funky Rabbit”), sny erotyczne (w antycypacji zbliżających się mistrzostw Europy, głównie z piłkarzami w rolach głównych), sny dziwne (tu wyróżnił się sen Kofana Anana o psie. Kofan spotyka zwierzę na ulicy, które mówi: „Chodź do mnie, Kofanie, mam w szafie kilka sukienek, których już nie noszę, może przymierzysz?”) oraz plotki na temat wariactw gwiazd zaczerpnięte z „Pudła” (pierwsze miejsce: Angelina Jolie chce mieć przy porodzie druida). Jak widać, forum Matka-wariatka miało zdecydowanie edukacyjny i poznawczy charakter oraz służyło dobrą radą.

Właśnie owa rada przyciągnęła autentycznego wariata, płci żeńskiej zresztą.

Kasiulka2000, bo tak się nazwała, od początku tchnęła grozą (bo jak inaczej to nazwać?). Produkowała długie elaboraty o swoich — bardzo licznych — nieszczęściach. Standardowy Zestaw Nieszczęść Polskich: Kasiulka nie miała pracy, bo wszędzie rządzi sitwa i bez znajomości niczego się nie dostanie, jej mąż to geniusz marketingu bezpośredniego niedoceniany przez szefów, dziecko Kasiulki, ona sama i jej

mąż cierpieli na rozliczne choroby (w tym kilka nieuleczalnych) . Szybko stało się jasne, że Osobnica ta to wcielenie współczesnego Hioba. Uczestniczki Matki-wariatki porzuciły wesołe pogawarki o snach i wibratorach, prześcigając się w udzielaniu rad, bo dobre z nich dziewczęta (kilka z nich przyznało się później, że posty Kasiulki wywoływały u nich odruch wymiotny i rzadko kiedy udawało im się przebrnąć przez szerokie tło prezentowanych wydarzeń). Radzono mądrze: przeprowadzkę do innego miasta, zmianę pracy męża („Nie może zmienić, bo podpisał lojalkę, że nie będzie się zajmował marketingiem”, „To niech idzie do pracy w budownictwie — dobrze płacą”, „Do budownictwa nie może, bo jest słabego zdrowia” — oto próbka nużącej wymiany zdań), zmianę lekarza lub leków — co na dłuższą metę byłoby rozwiązaniem najlepszym, ale jeszcze nikt nie domyślał się w czym rzecz.

Kasiulka bowiem miała typowo krajowy sposób na życie: marudziła, domagała się współczucia i piętrzyła trudności. Widziała też rzeczywistość w kategoriach perfidnego spisku skierowanego przeciwko niej i jej rodzinie. Jak tu żyć, skoro wszystko sprzysięga się przeciwko? Jak funkcjonować, gdy wszystko boli: dusza i ciało, z każdej rozmowy kwalifikacyjnej gonią z kijem, a mąż chyba zdradza? No nijak właśnie...

Trwało to jakiś czas, aż wreszcie jedna z uczestniczek nie wytrzymała, wygarniając delikwentce, co o niej myśli.

„Dziewczyno, nie zarażaj innych swoją autodestrukcją i agresją, jeżeli nie potrafisz się dla siebie zmobilizować, zrób to dla dziecka, bo spieprzysz mu życie.

Ty nie prowadzisz z nami dialogu, nie chcesz nas słuchać, tylko mówisz o sobie do siebie, powinnaś zapisać się na forum Czarna Rozpacz. W życiu trzeba się trochę nagiąć i jak jest dno, brać pracę w sklepie — to naprawdę nie hańbi. Naczytałaś się o depresji poporodowej i nakręciłaś się na nią — ciekawe, że podczas wojen i innych nieszczęść nikt nie słyszał o depresji, bo ludzie mieli inne problemy na głowie”. Ten z serca płynący post nie wzbudził jednakowoż pożądanej reakcji.

Wręcz przeciwnie — ofiara wszelakich nieszczęść pokazała pazury. Zdumione dziewczyny dowiedziały się, że są fałszywe (bo pozwoliły pisać o wszystkim, a teraz się wypinają), dwulicowe (bo wcześniej były miłe, a teraz plują jadem), pozbawione ludzkich uczuć (bo Kasiulka ma liczne zaświadczenia o swoich chorobach, które mogłaby na życzenie okazać — nikt jednak jakoś sobie nie życzył), a wreszcie: tworzą zamkniętą sitwę, do której nikogo nie dopuszczają i wzajemnie klepią się po plecach (w ramach tej sitwy). Członkowie kamaryli zostali skrzętnie wyliczeni i Laura ze zdumieniem zauważyła tam siebie. Pierwszy raz zaliczono ją do jakiejś tajnej organizacji. Nie żeby nie rozpierała jej duma, o, co to, to nie! Rozpierała, i to jak! Jedno jedynie mąciło jej radość — sitwa była tak tajna, że Laura sama nie wiedziała, iż do niej należy. Włączyła więc komunikator internetowy i popełniła wielki błąd — napisała do Kasiulki z wyjaśnieniami, że włączanie jej do grupy klepiących po plecach jest mocno przesadzone. W zamian otrzymała z pięć maili, napisanych w stanie wzburzenia graniczącego z samozapłonem, w których Kasiulka pisała jej o swoich próbach

samobójczych (jedna była związana z forum, co mocno przeraziło Laurę) i ostrzegała przed wrednymi koleżankami z forum, które ani chybi knują już przeciwko Laurze.

Kilka dni później Laura dowiedziała się, że przed nią też ostrzegano: wedle Kasiulki była wredna, niesympatyczna, głupia i zapatrzona w siebie — w zasadzie czysta, żywa prawda, zatem nie protestowała jakoś przesadnie, choć epitet „głupia” dotknął ją do żywego. Kasiulka z hukiem wypisała się z Matki-wariatki, a gdy popioły już opadły, dziewczyny zaczęły się zastanawiać.

„Słuchajcie, o co właściwie chodzi tej babie?” — zapytała jedna i już po chwili okazało się, że każda z uczestniczek Matki-wariatki ma pokaźną liczbę maili i wiadomości GG od Kasiulki2000. Co więcej, Kasiulka podejrzewała jedną z nich, że pisuje na jej temat na innych forach, szydząc z jej chorób i boleści.

„Rany boskie! Zaraz się zaczniesz ciąć szarym mydłem lub huścić na rajstopie”, zauważyła Twix, gdy Laura, wzywając do niedrażnienia wariata, wyraziła przypuszczenie, że koleżanka może sobie zrobić coś złego z żalu.

„Ale weźcie! Jak ona was nienawidzi, nie macie pojęcia! Cały czas mi pisze, jakie jesteście podłe. Kocha was równie mocno jak moherowe berety TVN!”.

„Super! Wreszcie mnie ktoś pokochał!”.

„Wy się lepiej tak nie cieszcie. Mnie napisała, że na innych zamkniętych forach nam doopy obrabiają, jakie jesteśmy lekceważące”.

„Ciekawe na jakich?”.

„Podobno na tym o matkach za granicą”.

„Guzik prawda! Jestem na tym forum o matkach i niestety nic o nas nie piszą!”.

„Nic? Zupełnie? Ani słowa? Ueee, jestem zawiedziona! Już chciałam się szczyścić tym, że jesteśmy na krawędzi, na pograniczu, no właśnie takie outsajderki, wiecie, z tyłu autobusu zawsze siadamy, jak na wycieczki jeździmy szkolne — tam, gdzie najwięksi zadymiarze”.

„Mnie ona wygląda na paranoiczkę, bo ma zdolności wytwórcze. A w ogóle proszę moderatorkę, aby mi streściła, co tu chodzi, bo się uczyłam do egzaminu doktorskiego nie miałam czasu śledzić tych wypocin”.

„Już ci streszczam. Jesteśmy podłe, bo nie współczujemy w niedoli, podgryzamy i wyśmiewamy, a w dodatku perskie-oczko przekleja jej wypowiedzi na inne fora i się z nich nabija”. „Matko! Perskie-oczko? Toż ona chodząca niewinnota jest! Gdzie ona by coś wynosiła”. „No właśnie. Teraz was zastrzelę — perskie-oczko tak się przejęła całą sprawą, że poprosiła mnie — sit up Britan (że się tak wyrażę = usiądźcie) — żebym jej wystawiła zaświadczenie, że to nie ona, bo się boi Kasiulki. No to wystawiłam”.

„Rany boskie — matko założycielko! Jakże jeszcze zaświadczenie wystawiasz? Przydałoby mi się kilka”.

„O, kochana — przede wszystkim o moralności i cnotliwości, ale ty nie dostaniesz... Nie ma szans”. „Ja też leżę i kwiczę, jakie kurna zaświadczenie???”

Gdzie my jesteśmy, w PRL-u, i na wczasy FWP chcemy się dostać? Wiecie co, to jest najbardziej pojechana historia, o jakiej słyszałam!" „Matka, a pieczątkie masz? Bez się nie liczy!! Każda szanująca się moderatorka ma, ja na ten przykład mam!!!"

„Ja mam teraz taki film w głowie, jak matka siedzi w zapyziałym biurze, z cewnikiem w rogu ust, z kawą w szklance i łyżeczką, ma tony takich tekturowych teczek, maszynę z kalką, już sto razy użytą i pisze te zaświadczenia wszystkie".

„To mnie, Kox, teraz rozwaliałś. Zarobiona matka interesantów osobiście przyjmuje tylko za paczkę kawy mielonej i rajstopy z NRD".

„Tiaa, jak w Obywatelu Piszczyku — pamiętacie, jak on w jakimś GUS-ie pracował i sam wymyślał odpowiedzi na te ankiety: Jako sprzedawczyni w sklepie towarów mieszanych uważam, że... Już mam niezbędnik biurokraty: kalka, maszyna do pisania, długopis zenith z desy, papier biurowy poszarzały, szklankę z fuzlem, talerzyk z niedojedzonym pączkiem, spinacze i pieczątkę wykonaną domowym sposobem. Wystawiam każde zaświadczenie, przyjmuję dowody wdzięczności w formie: rajstop, kawy ziarnistej, herbaty Popularna, szminki Pollena, mydła For You, czeskich tenisówek i chińskich ręczników...".

„W Pakistanie kiedyś, jak załatwialiśmy wjazd do Afganistanu, to właśnie trafiłam w takie miejsce, trzeba dodać, że było to chyba na 7 piętrze bez windy, było 50 stopni i bez klimy ofkors, zamiast matki był koleś z wąsami i w turbanie. Chyba że to matka incognito..." „Żmijki z was. Ładnie się tak nabijać z innych?"

„My się przede wszystkim z siebie jednak nabijamy" — skonstatowała Laura i tkwiło w tym małe ziarenko prawdy.

W każdym razie historia wariata na forum zaliczała się do kształcących, lecz nie dało się jej ciągnąć zbyt długo z uwagi na zmęczenie materiału. Postanowiły jednak lepiej sprawdzać kandydatki do klubu, być może wysyłać im najpierw ankietkę Jak poznać wariata w trzech krokach, dzięki której jednostka trudna zostałaby namierzona już na początku.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi" Wątek: Kosmetyki a laktacja

A: Kupiłam sobie serum wyszczuplające „Zgrabny tyłek" i zamierzam go używać, ale koleżanka powiedziała mi, że może to pogorszyć jakość pokarmu i że lepiej nie stosować... Jakie w takim razie kosmetyki można używać podczas laktacji?

B: Absolutnie zakazany jest samoopalacz, bo brązowe mleko leci...

C: A jak dziecko napije się takiego brązowego mleka, może zostać Murzynem, więc uważaj...

D: Absolutnie nic nie można używać!!!!!! Dopiero po odstawieniu dzieciątka od piersi możesz powolutku zacząć od szarego mydła...

E: Skoro ty tak robiłaś, to ci gratuluję!

F: Nie słuchaj ich!!! Wszystkiego możesz używać, tylko z umiarem, nawet serum ujędrniającego biust.

G: Nie śmieście się, u mnie na szkole rodzenia położne mówiły, że nie wolno stosować dezodorantów przez okres karmienia, bo to ma wpływ na jakość mleka!

H: Tak, coś w tym jest — jak ja używałam antyperspirantu, to mi się dzieciak nie pocił!!!

I: Ja tam bardzo szanuję takie mamy, które potrafią się tak poświęcić dla dziecka, że myją się wyłącznie szarym mydłem, ale samej mnie na to nie stać. Poza tym pomyślałam sobie, że potem i tak wyjdę z dzieckiem na spacer, to spalin się nałyka...

JAK SZUKAĆ PRACY I JEJ NIE ZNALEŻĆ?

Minęło trochę czasu i Laura zapragnęła znaleźć pracę. Nie żeby uwierała ją praca dla Instytutu Badań nad Folklorem, bynajmniej, ale pomyślała o etacie.

Kiedy zaczęła przeglądać ogłoszenia, okazało się, że nie ma żadnych przydatnych kwalifikacji: murarz, tynkarz i kafelkarz byli jak najbardziej w cenie, także przedstawiciel handlowy. Laura od razu wspomniała rewelacyjną powieść Davida Lodge'a *British Museum w posadach drzy*, gdzie ukrytym marzeniem jednego z bohaterów, słabo opłacanego naukowca, było, by wszyscy chełpiący się bogatymi samochodami i domami na przedmieściach handlowcy musieli obowiązkowo zamieszczać na swoich autach reklamy towarów, które sprzedają. I tak Londyn zaludniłby się „herbatką, która przecyzyszcza, nie przerywając snu”, karmą dla psów Wielki Brytan i rozlicznymi anonsami tamponów oraz innych akcesoriów higienicznych (gruszki do lewatywy? pieluchomajtki?). Postanowiła spróbować w promocji, zawodzie tak niekonkretnym, że właściwie jej kwalifikacje świetnie pasowały. Wysłała kilka aplikacji i już po tygodniu dostała zaproszenie na rozmowę. Nie cierpiała rozmów o pracę — najgorzej wspominała tę na stanowisko tłumacza do jednego ze Znanych Wydawnictw. Pani prezes — wystylizowana na emocjonalnie nieprzystosowaną feministkę — siedziała za stołem i paliła papierosa, wypuszczając kłęby dymu, obok niej kuliło się dwóch facetów, z których jeden był (jak się później okazało) dyrektorem generalnym, a drugi administracyjnym. Po serii pytań w stylu „kiedy pani wyjdzie za mąż”, „kiedy urodzi dziecko”, panią prezes zajęły zagadnienia merytoryczne i po długiej chwili namysłu zadała Laurze pytanie o tytuł, który warto byłoby wydać. Laura odniosła niejasne wrażenie, że ktoś ją tu robi w bambuko — zaproszą sobie ze trzydziestu kandydatów i podczas rozmów otrzymają całkiem gratisowo przynajmniej kilkadziesiąt pomysłów. Wiadomo, taki tłumacz to nic innego nie robi, tylko ściąga sobie z zagranicy bestsellery i czyta ukradkiem, przebiegłe wydawnictwo wie jednak, jak od niego tę wiadomość wyciągnąć.

— Nie wiem — odrzekła więc, ponieważ miała pewne podejrzenie, że nie jest mile widzianą kandydatką po tym, jak na pytanie o męża i dzieci odpowiedziała, że domaganie się takich informacji jest niezgodne z prawem.

— No, niechże pani pomyśli — drążyła łagodnie przysza ofiara raka płuc. — Jakie, pani zdaniem, książki sprzedają się najlepiej. Laura zatopiła się w myślach.

— Najlepiej sprzedającą się książką, jaką znam, jest *Sto potraw z ziemniaka*, może powinni państwo wykupić ten tytuł? Myślę, że mógłby finansowo podźwignąć wydawnictwo...

Jak łatwo zgadnąć, nie dostała tam pracy i swoją drogą, trudno się dziwić, że nie chcieli zatrudnić kogoś tak bezczelnego.

Spotkanie ze Znanym Wydawnictwem przyniosło ożywczy pomysł — zamiast bestsellera kryminalnego mogłaby napisać poradnik pod tytułem Jak szukać pracy i jej nie znaleźć — bo do tej pory żadnej nie znalazła. Niestety, wybitnie wątpliwe wydawało się, że ktoś by go kupił (z wiadomych względów).

Na rozmowę kwalifikacyjną w dziale promocji pewnej Globalnej Instytucji ubrała się w sukienkę i szpilki, bowiem taki wydawał jej się obraz typowej biurwy, więc chciała się dostosować. Kiedy tam jednak dotarła, okazało się, że miejscowe biurwy chodzą w powyciąganych swetrach albo dziwnych tunikach-lejbikach, jakby wszystkie były w ciąży. Zagadnęła recepcjonistkę, a ta wskazała jej miejsce w grupie innych kandydatów, których Laura obejrzała ze zdumieniem. Żadna dziewczyna nie była w sukience i szpilkach (żadna też nie miała swetra i ciężowej bluzeczki), dominowała wypadkowa stylu Dody i lalki Barbie: tipsy, blond tlenione włosy, różowe paski, a jedna z pań pojawiła się nawet w różowym futerku ze sztucznego misia.

Laura od razu przypomniała sobie pewien post z forum Praca — wypowiadała się rekruterka, która poszukiwała osoby na stanowisko sekretarki w korporacji.

Wśród wielu zgłaszających się osób była jedna naprawdę dziwna — na głowie fryzura typu borsuk (włosy od skóry czarne, dalej blond) i następujący strój: top wiązany na szyi w kolorze złotym, biała miniówka raczej minimalnych rozmiarów (Jak szła, tyłek było widać) oraz znoszone klapki, gratis dodawany do jednego z czasopism. Na temat oferowanego stanowiska niewiele miała do powiedzenia mimo deklarowanego rocznego stażu, bardzo się też żaliła, że od kilku miesięcy pracy znaleźć nie może, a wszak pilnie szuka. Na delikatną sugestię rekruterki, że jej strój jest może nazbyt odważny, jak na taką okazję, wyraziła wielkie zdziwienie:

— Jak to, przecież dzisiaj jest gorąco!

Dziewczyna z personalnego mimo wszystko chciała jej pomóc, więc wyprowadziła ją na korytarz, po którym śmigały kobietki w garsonkach i faceci w gajkach.

— Tak się ubieramy w korporacji — wyjaśniła zdumionemu borsukowi, który dzięki temu zdobył „materiał do przemyśleń” — jak Stirlitz w Siedemnastu mgnieniach wiosny — na kilka najbliższych lat.

„Rany boskie” — jęknęła w duchu Laura i usiadła koło faceta w garniturze z młodszego brata i niemiłosiernie znoszonych butach. Zacisnęła nerwowo ręce na swej mikrotorebeczce (wszystkie panie miały aktówki lub gigantyczne torbo-worki, w których każdy uchodźca palestyński schowałby swój cały dobytek) i zaczęła w myślach oceniać swe szansę. Nie wypadło to dobrze, niestety. Wybiła oczekiwana godzina i całą siódmką zaproszono do sali konferencyjnej, gdzie pan prowadzący rekrutację rozdał kartki i długopisy. Laura przeraziła się nie na żarty.

Obejrzała kiedyś w teatrze telewizji taką „kobzę” według powieści Łysiaka: policja zrobiła nalot na zjazd mafii, mający wybrać nowego „capo di tutti capi”, też ich tak posadzili, dali kartki i kazali wpisywać nazwiska wszystkich mafiozów.

Kto nie chciał sypać, tego zabierali do piwnicy, gdzie robili mu — mówiąc słowami z pewnego filmu — „jesień średniowiecza”. Po powrocie z wycieczki każdy gangster był już skruszonym gangsterem, który z ogromną pilnością wypisywał personalia reszty swej grupy przestępczej. Tu jednak nie chodziło ani o donos, ani o egzamin ze statystyki matematycznej na poziomie wyższym, czego obawiała się najbardziej. W ciągu kwadransa nieszczęśni kandydaci mieli przejść krótki test zdolności interpersonalnych, napisać pisemko po angielsku i brakowało tylko, by kazano im zatańczyć i zaśpiewać. Laura uporała się z tym w dziesięć minut i obserwowała, jak inni się męczą, wyciągając języki i próbując odpisywać od siebie. Po kwadransie klasówki zostały zebrane, a kandydaci ponownie wylecieli na korytarz. Teraz już — po dwugodzinnej przerwie na przeanalizowanie prac — garstkę starannie wyselekcjonowanych szczęśliwców zapraszano na indywidualny występ przed komisją.

Laura jak zwykle była ostatnia. Na studiach stanowiło to jej przemyślaną strategię — wchodziła do pokoju profesora, który od pięciu godzin egzaminował idiotów, bez łyka kawy i kęsa pożywienia, a więc był głodny i zły — i od razu, od progu radośnie oświadczała: „Jestem ostatnia”. Nie było takiego wykładowcy, który nie przyjąłby tego anonsu z ulgą, dzięki czemu ocena Laury wzrastała przynajmniej o stopień, zanim jeszcze otworzyła usta. Tutaj jednak nie był to żaden atut. Gdy wreszcie weszła na salę, zobaczyła komisję. Ciało składało się z kobiety i dwóch facetów, w tym jednego monstrualnie grubego, czyli dyrektora Globalnej Instytucji, który miał najwyraźniej spore nadwyżki czasowe, skoro osobiście pofatygował się rekrutować na to niskie i niezbyt strategiczne stanowisko. Jedyna obecna na sali kobieta nie odzywała się wcale, tylko zawzięcie notowała na kartce przypiętej do plastikowej podkładki, co całkowicie wyrównywał chudy i dychawiczny facecik, który pytłował bez przerwy. Z jego wypowiedzi wynikało, że praca w Globalnej Instytucji stanowi prawdziwą karierę — nie zarobi się tu wiele, ale za to można się dużo nauczyć. Laura była ogromnie ciekawa, czego mogłaby się nauczyć, i nie omieszkała zapytać o to. Otóż organizowane były kursy językowe (nieśmiało bąknęła, że zna już ten język, jak i parę innych), można zapisać się na studia magisterskie, które GI w części sfinansuje (delikatnie wtrąciła, że ukończyła już dwa fakultety, w tym jeden częściowo za granicą i niespecjalnie pali się do szkolnej ławy), miłosierna Instytucja funduje obiady i basen. O, to było coś! Warto zatrudnić się za 1200 brutto, by po dziesięciu latach pracy zrobić oszałamiającą karierę, a w międzyczasie tuczyć się obiadkami za 6,50, a kalorie spalać na basenie. Para — kobieta-niemowa i dychawiczny facecik — nie miała do niej praktycznie żadnych pytań, natomiast kierownik Instytucji wręcz przeciwnie. Wpatrując się w nią jak czarna mamba atakująca lotopałankę, wysyczał naprawdę gadzim głosem:

— Czytała pani ostatnio jakąś dobrą książkę?

Tak, niewątpliwie to zagajenie było podstępem. Użył go Mark Drący, próbując przełamać pierwsze lody w rozmowie z Bridget Jones. Laura nie wiedziała, czy dyrektor jest miłośnikiem tak zwanej chick lit, której luminarzem (luminarką?) była Helen Fielding, i czy jej nie sprawdza, odpowiedziała więc przezornie:

— Tak, Backlash Susan Faludi. Gadziogłosy szef powinien na to odpowiedzieć:

— A czy nie uważa pani, że jest trochę tendencyjna? — Ale on zamiast tego wpatrywał się w Laurę dziwnym wzrokiem. — Nie znam. To coś o wrestlingu?

Backlash nazywają się doroczne (od 1999) zawody we wrestlingu, pokazywane w płatnych kanałach TV. Książka Faludi to ostry manifest feminizmu, jej podtytuł brzmi Niewypowiedziana wojna przeciwko amerykańskim kobietom.

— Niezupełnie — odpowiedziała. — To książka feministyczna...

— A, feministyczna — skrzywił się kierownik. — Jest pani feministką?

— No chyba... — przytaknęła, przyglądając mu się jak kupie Niemowlaka. — A pan nie jest? Biedny kierownik, wyglądał, jakby miał dostać zaraz apopleksji, toteż Laura nie zdziwiła się, że pracę dostał ów niepozorny facecik w znoszonych butach.

Jak szukać pracy i jej nie znaleźć... Utwierdzała się w przekonaniu, że napisanie takiego poradnika bardziej jej się opłaci niż mozolne cyzelowanie bestsellera.

„Na czym polega mój problem?” — główkowała, wracając do domu. Każdy porządny poradnik szukania pracy głosił bowiem, że skoro nie ma się widoków na etat, a rozmowa kwalifikacyjna kończy się spektakularną porażką, to problem musi być. — „Chyba na tym, że zawsze palnę coś głupiego. Po prostu pogrąża mnie niewyparzony język”.

Racja, Laura zawsze miała na podorędziu jakąś głupią odzywkę, której nie potrafiła powstrzymać. Kiedy jeden z jej przyjaciół leciał do USA i wyraził zaniepokojenie, jak sobie da radę na tamtejszym słynnym uniwersytecie, Laura „pocieszyła” go stwierdzeniem: „Może cię wcale nie wpuszczą, z tą brodą wyglądasz jak Osama bin Laden”. Greps wywołał zrozumiałą konfuzję całego towarzystwa, bo rzeczywiście kolega miał nieco bliskschodnią urodę, ale nikt mu tego w oczy nie mówił. Innym razem, oglądając trzysta fotografii z podróży poślubnej koleżanki, unudzona już rozpaczliwie (dlaczego ludziom wydaje się, że kogoś interesuje fascynujący amatorski fotoreportaż pod tytułem „opalamy się na plaży”, Jemy śniadanko pod palmami”, „Zuzia czesze się przed lustrem w naszym apartamencie?”), pośród różnych zdjęć wypatrzyła takie, na którym koleżanka leżała w łóżku z termometrem w dziobie. Natychmiast też skomentowała fotkę we właściwy dla siebie sposób: „O, naturalne metody planowania rodziny! Sprawdza się wam to?”. Laura podejrzewała, że przedziwną zdolność wprawiania wszystkich w zakłopotanie idiotycznymi tekstami odziedziczyła po babci. Ba, była nawet tego pewna, po tym jak babcia, podczas jakiejś uroczystości rodzinnej, wypaliła do przyjaciółki domu, damy w kwiecie wieku i pretensjach: „Anielko, ty farbujesz sobie włosy, prawda? Bo ty już chyba zupełnie siwa jesteś”. Palnięcie babci wyrwało dokładnie taki sam skutek, jak wszystkie wypowiedzi Laury — totalny close up — jakby to rzekł Marek Hłasko — wszystkich zgromadzonych.

Babcia miała jednak wówczas osiemdziesiąt lat i uważała, że z racji wieku wolno jej wszystko, nawet przechodzić na czerwonym świetle. W końcu jednak doszło do tego, że zamiast wysyłać CV na ogłoszenie, odpalała w komputerze stronę z tarotem codziennym i radziła się kart, czy warto w ogóle inwestować w daną ofertę. Po pewnym czasie wymyśliła, że powinna rozpocząć listy motywacyjne słowami: Ponieważ tarot

codzienny wyraził się pozytywnie o Państwa ogłoszeniu, zgłaszam swoją kandydaturę na oferowane stanowisko.

Rozmowy były różne: głupie i mądre, ale ze wszystkich wyłaniał się ten sam niewesoły obraz — mogłaby zarobić maksymalnie 1500 złotych, co przy oszczędnym gospodarowaniu starczyłoby jej na nianię i bilet miesięczny (i być może od czasu do czasu bluzeczkę w „Kop Ciuszku”) — Ponieważ obecnie zarabiała więcej, nie miała zamiaru zamieniać lepszego na gorsze, więc szukała pracy dalej, choć z coraz mniejszą nadzieją.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi" Wątek: Mam stracha...

A: Siedzę sobie z dzidzią w domku. Dzidzia śpi, a tu dzwonek do drzwi, patrzę, jakiś facet, a ja głupia otwieram, myśląc, że może listonosz albo ktoś, bo miał jakieś papiery w rękach, a on mi mówi coś, najpierw nie zrozumiałam, że uciekł czy wyszedł z więzienia karnego i chce jeść, i pcha mi się do mieszkania, aż się dzidzia obudziła, i zaczęła płakać, i powiedziałam, że nie mam, i zamknęłam drzwi. I dzwonił jeszcze parę razy. I się teraz boję, bo nie dałam, i w ogóle z więzienia karnego, a jeszcze mąż jedzie jutro na 2 dni i będę sama w nocy, a ja się boję sama być w nocy, a teraz to już w ogóle będę miała pietra...

B: A co to jest karne więzienie? I czym się różni od innych? I tak, z pewnością ten „zbir" przyjdzie w nocy i ukradnie ci lodówkę wraz z zawartością. A jak się naję, to może poogląda Cartoon Network. Mówisz poważnie, czy tronujesz?

A: A co w tym trollowatego? Powiedział, że uciekł z więzienia karnego, najpierw go nie zrozumiałam, bo był bez zębów i ciężko było go zrozumieć, a potem jeszcze się dobijał i walił w drzwi przez chwilę.

C: A, to jak bez zębów był, to cię rozumiem, też bym się bała. Nie dość, że z więzienia karnego uciekł, to jeszcze bez zębów i dzidzi wszystkie zupki w słoiczkach zje.

D: To napisz kartkę na drzwiach, że bardzo go przepraszasz, że nie dałaś mu jeść, ale musiałaś dzidzię uspokoić, i jest ci bardzo przykro z tego powodu, i prosisz, aby się nie mścił. W załączeniu postaw zgrzewkę bobofruta, co by pan mógł skosztować z łatwością, bo przecież bez zębów był.

WŚRÓD LARW

Tym razem Laurze nie udało się zbyt długo posiedzieć na forum (a był to polecany przez Koksa Brak seksu w małżeństwie — rozdzierające smutkiem zbiorowisko wzgardzonych lub zaburzonych), ponieważ włączył się sygnał Gadu-Gadu zapowiadający Ilonę, czyli Młodszą Siostrę. Ilona, rocznik 1979, krótka charakterystyka: 175 wzrostu, 56 kilo wagi (ciągła walka o spadek: fitness, dieta 1000 kalorii, rolki, biegi), blondynka ze starannym makijażem, balejażem, w luksusowych ciuchach i szklach kontaktowych zmieniających kolor oczu — larwa jednym słowem. Gdy spotykasz taką na imprezie, łkasz w kącie pół wieczoru, a drugie pół bijesz głową o parapet. Gdy jest twoją siostrą — cierpisz w milczeniu.

Jedyną pocieszką był fakt, że Ilona (w odróżnieniu od swej starszej siostry) była wredna i złośliwa. Okno komunikatora obwieściło, że Larwa za pół godziny zjawi się w mieszkaniu siostry. Po dwóch kwadransach torebeczka marki Louis Vuitton wylądowała na stole, zaś Ilona zapadła się w fotelu. Pogrzebała w kieszeni spodni i z tragiczną miną wyciągnęła w stronę siostry jakąś karteczkę.

— Popatrz, co miałam rano za wycieraczką samochodu!

Laura rozprostowała zmiętą kartkę i przeczytała następujący, niezwykle poetyczny, tekst: Jedyna szansa dla singla. Chcesz poznać idealnego partnera, spróbuj naszej supermistycznej zabawy. Tarotowe party dla singli — wróżka Taiza wyczyta w gwiazdach, kto jest ci przeznaczony... i tak dalej, i tym podobne.

— Nie rymuje się — zauważyła z niesmakiem, zwracając kartkę. — Powinno być: chcesz poznać partnerkę, idź na szermierkę, albo: chcesz złapać partnera, zagraj w strip-pokera...

— Nie chodzi o to, że się nie rymuje, ale że TO znalazło się na moim zasranym samochodzie — wybuchnęła Ilona, co wyglądało groźnie, albowiem malutki japoński samochodzik był raczej obiektem kultu siostrzyczki, powodem do dumy, i do tej pory przynigdy nie doczekał się obraźliwego epitetu „zasrany”.

— Na pewno wsadzali za wycieraczkę każdemu — pocieszyła ją Laura, która codziennie znajdowała ulotki agencji towarzyskich i oferty kredytów, co mogłoby sugerować, iż była zdesperowaną bankrutką.

— Właśnie że tylko mnie!!! — zaperzyła się Larwa i pociągnęła spory łyk słabej herbatki z mięty.

— Nie przesadzasz ty aby? — zainteresowała się starsza siostra i próbując zmienić temat, walnęła jak kulą w płot: — A jak tam było na ślubie?

Larwa należała do rekordzistek w krótkotrwałych związkach. Już dawno temu zauważyła, że romans ulatniał się po jakichś trzech miesiącach, maksymalnie pół roku, a w jego miejsce pojawiała się eskalacja żądań. Aby do niej nie dopuścić, zmieniała model

na inny. Byli narzeczeni Ilony zaludniali tereny większe niż Syberia, naturalną koleją rzeczy znajdowali drugie połówki i zapraszali ją na huczne wesela.

— A idźże, nie denerwuj mnie — obruszyła się. — Musiałam się tłuc do Bukowiny Tatrzańskiej na góralskie weselicho. Żeby jeszcze choć śnieg leżał i na nartach można było pojeździć.

— No, sezon zielarski jest w całej pełni — doradziła życzliwie Laura — mogłaś wziąć koszyczek i płąsać po łące od piątej rano...

Larwa posłała jej mordercze spojrzenie. — Tiaaa, już lecę...

— A swoją drogą, zazdroścę ci, mnie nikt nie zaprasza — pożaliła się nad sobą Laura. Ilona pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Nie dziwię się: jesteś złośliwa i wredna, na pewno popsulałyś każdą uroczystość, szczególnie taką w Bukowinie... A poza tym żaden z twoich byłych narzeczonych się nie ożenił. Spaskudziłaś im życie dokumentnie...

— No — potwierdziła z zadowoleniem. — Sprawiedliwość dziejowa musi być, nie?

Jeden z jej eksnarzeczonych wyjechał do Warszawy, zaś inny od samego początku mieszkał we Wrocławiu. Laura zajrzała kiedyś z ciekawości na jego stronę internetową i w galerii zdjęć zobaczyła zwałistego faceta z połową włosów na głowie (druga połowa była aktualnie nieobecna, może chora?). Wobec tak jednoznacznie szwankującej urody, postanowiła wyłączyć ze swej biografii owego gościa, choć miał tytuł doktora i w innych okolicznościach miałyby się czym chwalić.

— No to jak było? Opowiadaj — domagała się od Larwy, która właśnie skończyła pić swoją herbatkę i wpatrywała się w Natrętnego Niemowlaka, zajętego zjadaniem gazety.

— Bosko.

Ilona rozsiadła się wygodniej w fotelu. Tak, bez wątplenia ten ślub był triumfem jej próżności i obrazem wyrafinowanej zemsty. Eks zaliczał się do grona wyjątkowych palantów (dlatego też został spławiony). Ukończył studia w Anglii, a po powrocie zaczął pracę w Big 4 (tu Larwa wydymała zwykle wargi z pogardą, choć sama tyrała dla korporacji). Szybko wyszło na jaw, że chłopaczek drze nosa, jak mało kto, jest okropnie przewrażliwiony na swoim punkcie i ma kilkanaście innych, dyskwalifikujących go wad (Laura, która go znała, miała o nim zgola odmienne zdanie: wydawał się jej cichy, spokojny i zahukany przez Larwę). Po rozstaniu młodzian pocieszył się szybko, znalazłszy partnerkę rodem z gór.

— Z Bukowiny, znaczy się — wtrąciła Laura.

— Tak. I żałuj, że tego nie widziałaś! Ten snob, co nigdy nie kupował innego wina niż markowe i chodził do stylisty układać sobie włosy, miał wesele jak w remizie...

— Co chcesz, może taki oldskul sobie wymyślił — tłumaczyła go Laura.

— Akurat! Żebyś zobaczyła jego minę, jak wodzirej kazał mu zębami ściągać pannie młodej podwiązkę albo przetaczać jajko przez nogawkę!

— Jajko przez nogawkę? Pierwsze słyszę! To musiało niesamowicie wyglądać, weź opowiedz jeszcze...

Laura bywała tylko na ślubach eleganckich — jej szkolne przyjaciółki urządzały wesela w drogich restauracjach (nie schodząc poniżej Wierzyńska, albowiem WSZYSTKIE dorobiły się znacznego majątku), gdzie potrawy serwowali bezszelestni kelnerzy, zaś tańce były wyrafinowanymi pługami do wtóru kwartetów smyczkowych. Na jednym z takich przyjęć poważnie rozważano, czy panna młoda może rzucić bukiet — wobec dyplomatycznej oprawy uroczystości wydawało się to wręcz nieprzystojne.

— Jajko to jeszcze małe piwo. — Ilona pstryknęła palcami. — Tam było więcej takich zabaw, wiesz, konkursy jak, nie przymierzając, w „Turnieju wsi” w latach osiemdziesiątych.

— Skąd ty niby pamiętasz „Turnieje wsi” — zdziwiła się Laura. — W latach osiemdziesiątych miałś od zera do dziewięciu lat i nie sądzę...

Sama słabo pamiętała ten niesamowity program, ale wiedziała jedno — urozmaicały go konkurencje w stylu „przepędzanie prosiaka przez żyto” lub „synchroniczny udój na czas” i szczerze wątpiła, że coś takiego dałoby się zorganizować na weselu.

— No więc była na przykład taka zabawa, że pan młody musiał rozpoznać swoją wybrankę po kolanku... Rozumiesz, stara, łapali z dziesięć lasek, ustawiali je w szeregu, a ten z zawiązanymi oczami macał każdą po nodze...

— Żartujesz! — wydusiła wstrząśnięta.

— Wcale nie. Potem było jeszcze smaczniej. Bawili się w coś takiego, co przypominało komórki do wynajęcia, choć ten, co się skuł, nie odpadał z gry, tylko dawał jakiś fant. Żeby go wykupić, musiał wierszem coś powiedzieć na temat panny młodej.

— Super. Szkoda, że mnie tam nie było. Opisałabym wszystko jak Wyspiański...

— To akurat zgrany pomysł, już taki film ostatnio nakręcili. — Larwa pokręciła głową. — Po tych zabawach to dopiero się super zrobiło, jak orkiestra zagrała...

— A co? Fałszowali?

— Skądże! Grali, że tak powiem, jak z nut! Ale repertuar! Zaczęli od Majteczki w kropeczki, a potem był hit wszystkich wesel Jesteś szalona...

Laura gdzieś słyszała te tytuły, ale nie mogła sobie przypomnieć gdzie.

— To jakieś melodie biesiadne? — zapytała więc bezradnie. Larwę aż podrzuciło na fotelu.

— Nie, stara. Disco polo. Disco polo u pana dyrektora generalnego. .. No, w robocie to ma już przerabane. Słyszałam rozmowę jego kolegów, jak się nabijali z imprezki. Jeden mnie zapytał, czy to na każdym weselu są takie zwyczaje, bo on do tej pory nigdy czegoś takiego nie widział.

— Hej, to rzeczywiście straszne — skapitulowała Laura. — Ale w dalszym ciągu twierdzę, że on mógł nie mieć z tym nic wspólnego. W końcu wesele organizują rodzice

panny młodej, a w Bukowinie na pewno jest jakiś wzornik organizacyjny tego typu balów...

Nie wiedzieć czemu, lubowała się ostatnio w czytaniu forów ślubnych, więc była w temacie na bieżąco. Dowiedziała się z nich wiele na temat weselnego savoir-vivre'u i zazwyczaj były to rzeczy, o których nie miała pojęcia. Okazało się na przykład, że szczytem wręcz niewyobrażalnego chamstwa jest wręczenie państwu młodemu koperty z kwotą mniejszą niż tysiąc złotych, szczególnie gdy jest się członkiem najbliższej rodziny. Chamskie jest w ogóle niepokrycie kosztów konsumpcji, czyli, jak ujmowało to forum, „niezapłacenie za «talerzyk»”. Na forach ślubnych dyskusje ogólnie toczyły się wokół finansowania uroczystości (obowiązek ten spoczywał najwyraźniej na gościach) oraz prezentów. Panny młode licytowały się w przedstawianiu nietrafionych i obciachowych upominków.

Ogólnie, podarowanie czegośkolwiek poza biletami Narodowego Banku Polskiego kwitowano epitetami „chamstwo”, „wieś”, „prostaki”. Z tego powodu cieszyła się, że nikt jej nie zaprasza na śluby — miałyby ogromny problem z oceną, ile się należy za „talerzyk” (czyli określeniem, ile ona oraz jej wiecznie głodny małżonek są w stanie skonsumować), a już krew w żyłach zmroził jej post jakiejś młodej mężatki, która dokładnie „rozliczyła” swą bliską koleżankę. „Fryzurę miała za 100 zł, następna stowa tipsy, sukienka za 400 zł, a jeszcze buty i torebka. Ubrała się za jakieś osiem stów, a do koperty dała tylko 400 zł. Jak w ogóle można się tak zachować?”. No właśnie, jak można? Przez pewien czas nurtowała ją inna zagadka — skąd państwo młodzi wiedzą, kto i ile dał. Ale i ta tajemnica miała proste wytłumaczenie — specjalnie wynajęty kamerzysta filmował dokładnie moment wręczania prezentów, a młodzi małżonkowie pilnie uważali, by nie pomieszać kopert. Po ślubie odbywała się projekcja video, którą śmiało można nazwać „kinem moralnego niepokoju”, i skrupulatnie sprawdzano — porównując nagranie ze stanem faktycznym (kupką zgromadzonych kopert), co, kto i za ile. To zresztą nie wszystko.

Ulubiony ślubny wątek Laury miał tytuł „Zastaw się” i opowiadał wyjątkowo żalną historię (relacjonowała siostra panny młodej): oblubienica pracowała w dużej, znanej firmie, ale na stanowisku typu „popychadło”, zarabiając grosze.

Postanowiła jednak pokazać kolegom z pracy, co potrafi, i urządziła wesele na dwieście pięćdziesiąt osób w podstołecznym country clubie. Były pieczone prosiaki, sztuczne ognie i inne atrakcje; uroczystość kosztowała prawie 100 tysięcy złotych. Mimo wielkich wysiłków gości impreza nie tylko nie przyniosła pannie młodej oczekiwanych zysków, ale nawet się nie zwróciła (zawiniło oczywiście stu kolegów z pracy, którzy zamiast płacić za „talerzyk”, złożyli się na kino domowe za 10 tysięcy złotych, co można poczytać za skąpstwo wręcz złośliwe). Zaciągnięte przed ślubem długie trzeba jednak spłacać, więc siostra udała się po prośbie, odwiedzając kolejnych członków rodziny (którzy już raz haracz talerzykowy uiścili), by dorzucili się do kredytu. I tak wzruszona ciotka dała to, co miała odłożone na grobowiec, matka zaskórniaka składanego na pielgrzymkę do Rzymu, wujek odmówił sobie sanatorium. Uzbierała się ładna sumka, za którą siostra najwyraźniej polecała w podróż poślubną, bo jeden z wnikliwych

szwagrów zadzwonił do country clubu, gdzie dowiedział się, że rachunek za wesele opiewał na sumę o połowę mniejszą, niż zełgała oblubienica. Na koniec, po strasznym skandalu, siostra kłamczucha zwróciła się o pomoc do autorki tego niezwykłego wątku. Wraz z mężem chcą budować dom, ale że szkoda im forsy na wynajem, chcieliby się wprowadzić do krewnych na kilka lat, aby co nieco odłożyć...

Laura pierwszy raz w życiu czytała o czymś podobnym, ale doszła do wniosku, że są na ziemi i niebie rzeczy, o których nie śniło się nawet personalnym, więc przestała opowiadać Larwie o tych sensacjach, godnych portalu Pudełek, i zajęła się dzieckiem, które z wielkim zapalem pożerało jakiś papier, co zresztą przykuło uwagę Ilony.

— Słuchaj, nie zaszkodzi mu ta gazeta? Laura zlustrowała pożywienie Młodzieńca.

— Neeee. To „Wyborcza”, papier cienki, bo kupiona w prenumeracie za złotówkę. Gorzej gdyby to była „Trybuna” lub „Fakty i Mity”...

— Kupujesz „Fakty i Mity” — zaciekała się Larwa. — Co tam piszą interesującego?

— Skąd mogę wiedzieć? Nawet tego na oczy nie widziałam w kiosku, widocznie idzie jak woda. Ilona miała coś jeszcze powiedzieć, ale przerwał jej donośny dzwonek. Laura zwlekła się z fotela i przykazując siostrze, by pilnowała Niemowlaka, lekko uchyliła drzwi. Za nimi stał Perec w całej krasie, czyli rozciągniętym swetrze i jarmułce na głowie.

— Chryste! — jęknęła. — Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

— Śledziłem cię — wyjaśnił tę oczywistą oczywistość i bez pytania wlaź do pokoju, gdzie od progu w jego kierunku zwróciły się dwie pary oczu: Niemola i Larwy. Niemowlak nie zrobił na Percu zbytniego wrażenia — może dlatego, iż widywał go nader często — ale Larwa wręcz przeciwnie. Perec zaniemówił i wpatrywał się w nią nawiedzonym wzrokiem.

— No — odezwała się z pretensją w głosie — wiem, że moja uroda jest powalająca, ale może być coś powiedział, na przykład „cześć”...

— Cześć — przywitał się posłusznie, nadal nie spuszczać z niej nawiedzonego spojrzenia.

— Dobrze. A teraz zagajenie w stylu Gogola: „Czy lubi pani przejażdżki?”.

— Czytałem Gogola — zapewnił, siadając na brzegu sofy, a Niemowlak, korzystając z okazji, wdrapał się po jego nodze na siedzenie, mamlając swoje ulubione: „Maupa, zupa”.

— Nie wątpię — prychnęła, po czym wyciągnęła do nowo przybyłego rękę i przedstawiła się: — Ilona jestem, siostra Laury.

— Hmm, bardzo mi przyjemnie, Andrzej mnie wołają, ale możesz mówić Perec, jeśli wolisz.

— W sumie wszystko mi jedno, nie sądzę, żebyśmy jeszcze kiedyś się spotkali — serdecznie odpowiedziała Larwa, choć widać było, że Perec ma na ten temat zgoła inne

zdanie.

— Napijesz się czegoś? — spytała Laura, w której załączył się interwał „gość w dom, wiadro wody do zupy”. — A w ogóle to czego chcesz?

— Mam szkic twojej książki: spis treści, konspekt i połowę pierwszego rozdziału, możesz pokazać to tym dziadom.

— On ci książkę pisze? — zacięła się Ilona. — Odważna jesteś... Nie wygląda na takiego, co umi.

— Umi, umi, wszystko umi — ujęła się za kolegą, czym zaskarbiła sobie jego dozgonną wdzięczność. Podziwiała zresztą jego imponujące tempo pracy. — pisał jak Kraszewski, książkę w dwa tygodnie. Perce przeszedł do konkretów i zaczął jej pokazywać wydruki broszury, zaś Larwa ziewała znacząco, bo pozbawione uwagi rodzicielki dziecko, usiłowało wciągnąć ją do swych wyrafinowanych zabaw („Co to jest?”, „Może uda się to odkręcić i wylać?”, „Jak to ładnie pachnie!

I jak się fajnie klei”, „Już wiem! To lakier do paznokci mamusi, za który dała tydzień temu 40 złotych! Wart swej ceny — bardzo wydajnie polakierował podłogę!”).

— Muszę już iść — oznajmiła Ilona, wstając z fotela i delikatnie odsuwając świeżo polakierowaną łapkę Miłosza. — Wpadnę za kilka dni, to pogadamy.

— Mogę cię odwieźć — zaproponował nieoczekiwanie Perce. Nikt bowiem nie spodziewał się, że posiada on jakiś środek transportu, chyba że myślał o wspólnej podróży autobusem.

— Dzięki, ale mam samochód. — Larwa podkreśliła dwa ostatnie słowa, niezwykle dumna ze swego małego autka wschodniej marki (i nie chodzi tu bynajmniej o Europę Wschodnią).

— Hmm, to może chociaż cię odprowadzę? — Nie rezygnował Perce, a Laura była pełna podziwu dla jego wytrwałości.

— Nie trzeba, sama trafię — odezwała się Larwa sympatycznie.

Laura była wielce ciekawa, jakie będzie następne posunięcie Perce, ale on po prostu zebrał się i wybiegł za Larwą.

Następnego dnia Ilona (poprzez komunikator internetowy) wybuchnęła pretensjami, sugerując, że Perce to wariat — lazył za nią do samochodu i nie chciał wypuścić, póki nie dała mu swego numeru telefonu. Potem, jeszcze zanim odjechała, zadzwonił, najwyraźniej, by sprawdzić, czy żmijka nie zrobiła go w konia, podając numer, na przykład, przychodni ginekologicznej lub klubu AA.

Laura przez pół godziny przekonywała ją, że miły koleżka jest jak najbardziej „przy władzach umysłowych”, aż w końcu Larwę znudziła ta czcza dyskusja.

Doszła do wniosku, że wariat może się bardzo przydać — w następną sobotę szła na kolejne wesele i szalenie wśród dostojnych gości oraz byłego narzeczonego mógł wyrzeć nader pożądane wrażenie.

Nie trzeba dodawać, że w krótkim czasie Perec zaskarbił sobie pewną przychylność upiornej siostrzyczki, która to przychylność z czasem zamieniła się w rodzaj szorstkiej przyjaźni, z której z kolei wyewoluowało pobłażliwe lekceważenie, które następnie...

I tak, zupełnie niespodziewanie, kolejnym narzeczonym Larwy został Perec.

Laura uznała to za akt zemsty losu, zsyłającego siostrzyczce chłopaka, którego nie sposób się pozbyć. Pereca bowiem nic nie było w stanie zniechęcić, jak pijawkę bagienną lub psi rzep można go było wyrwać jedynie z kawałkiem własnego ciała...

Odetchnęła z ulgą — Larwa wreszcie dostała to, na co zasłużyła, sprawiedliwa odpłata.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Od kiedy okulary przeciwsłoneczne dla niemowlaka?

A: Od kiedy wy zakładałyście? Ja mam dziecko ośmiomiesięczne i już kupiłam okulary, ale nie wiem, czy to nie za wcześnie.

B: Ja zakładałam od 2 dnia, bo ją raziło i nie widziała samolotów na niebie (mieszkamy koło lotniska)!!!!

C: W życiu nie widziałam niemowlaka w okularach przeciwsłonecznych!! !

D: Ja też nie! Dajcie jakieś foty, to musi wyglądać niesamowicie!!

E: A ja zawsze do kąpieli takie do pływania, bo nie wierzę w no morę tears!

F: Ja w zimie zakładałam gogle, żeby mu śnieg do oczu nie napadał, bardzo się sprawdzały, ale tylko Carrera, te z przyciemnianą szybką...

G: My zakładamy dziecku takie do spawania, ale tylko jak spawa i mocno iskry lecą.

H: A moje dziecko nie wie, co to słońce, na wszelki wypadek trzymam je w piwnicy.

A: Ubawiłyście się co? A ja mam z tym naprawdę problem, bo mojemu dziecku bardzo przeszkadza słońce. Chciałam się tylko dowiedzieć, od kiedy zakładałyście?

G: Od kiedy tylko nauczył się spawać, czyli od 3 miesiąca...

I: Nie widzę nic śmiesznego w tym pytaniu, ale jak zwykle znalazły się jakieś mądrale! W Polsce nie widuje się wielu niemowląt w okularach, ale za granicą jest to norma.

J: Masz tu kilka linków. Mnie okularki przywiozła mama z Paryża.

H: Trzeba zakładać od momentu, kiedy dziecko będzie chciało je nosić. A co — jak dziecko nie będzie chciało siadać na nocnik, to też go nie będziecie sadzać? Ciemnota.

A: Mam już okularki, kupiłam w aptece, śliczne różowe. Wygląda w nich jak gwiazda!

ŻYCIE RODZINNE I INNE

Kilka lat wcześniej Laura zapadła na wstydlivą chorobę. Właściwie nikt o niej nie wiedział, ponieważ bardzo dobrze ją ukrywała. Na nic leczenie, wszelkie terapie konwencjonalne i nie — Laura cierpiała na chorobę telewizyjną. Jak prawdziwa, poważna dolegliwość choroba miała okresy remisji i wznowy.

Pierwszy rzut nastąpił, gdy usiłowała napisać pracę magisterską. Przez dwa miesiące przeżywała kryzys twórczy. Była wtedy bezdzietną panną na utrzymaniu rodziców i gdy tylko za matką, ojcem i młodocianą Larwą, zdążającą do szkoły, zamknęły się drzwi, Laura wskakiwała do łóżka z kawą i zaczynało się. Pierwsza była telenowela kolumbijska prezentowana na TVP Kraków, pod tytułem *La Peliculosa*, czyli *Niebezpieczna*. Notabene, koleżanka Laury, która pracowała w telewizji, opowiedziała jej kiedyś, że gdyby w czasie *Niebezpiecznej* zerwała się taśma, czy to, co tam może spieprzyć się w przekazie cyfrowym, nikt w całym budynku by tego nie zauważył, bo tę błogosławioną godzinę wszyscy spędzali w barku, kibelku lub na papierosie. Po *Peliculosie* przerzucała się na Polsat, gdzie pokazywali *Drużynę A*, jakiś dziwaczny serial o gadającym samochodzie oraz drugi — o gadającym motocyklu, a wreszcie, gdzieś w okolicach obiadu, zaczynał się jej ulubiony serial *Czarodziejka z Księżyca*. *Czarodziejkę* oglądała już zazwyczaj w towarzystwie małej Larwy, która zdążyła dobiec ze szkoły. Po japońskiej mandze Laura rzucała jeszcze okiem na *Klan*, ale szybko, bo wracała z pracy matka i należało symulować pracę naukową. Na szczęście choroba telewizyjna, choć miała przebieg gwałtowny, skończyła się szybko, i Laura jakoś ukończyła studia. Wznowa wstydliviej dolegliwości dała o sobie znać jakieś pięć lat później, gdy szukała pracy. Była już wtedy mężatką, ale ciągle nie miała dziecka (szczęśliwe czasy). Ponieważ wstawiała późno, jej dzień z telewizorem zaczynał się około jedenastej *Córkami McLeoda* na kanale Hallmark, potem przerzucała się na TVN, gdzie powtarzano *Beverly Hills 90210*, ale ten serial oglądała z zegarkiem w ręku, bo zachodził na *Brzydulę Betty* w oryginalnej kolumbijskiej wersji (kultowej), a nie mogła sobie darować przepuszczenia tytułowej piosenki (*que soy fea, que camino a lo malevo*), którą wprost uwielbiała.

Po *Betty* trzeba było kończyć z telewizją, bo za chwilę z pracy wracał Krzysiek i należało symulować *Perfekcyjną Panią Domu* (zdumiony małżonek zastawał ją zwykle przy pełnym zaangażowaniu pucowaniu podłogi w kuchni — obrazek w istocie budzący litość i trwogę) oraz gorliwą poszukiwaczkę pracy.

Przez wszystkie te lata Laurę gnębił jeden problem — jak to się stało, że nigdy nie oglądała *Mody na sukces*? Odpowiedź okazała się prosta, niegdyś pokrywała się ona z *Czarodziejką*, a później z *Betty*.

Wychowywanie dziecka nie daje zbyt wiele czasu na chorobę telewizyjną, ale Laura ostatnio czuła się bardzo nieswojo: Polsat powtarzał *Beverly Hills*, na państwowej TV

szła Betty Brzydula w wersji amerykańskiej, Hallmark wałkował Córki McLeoda, brakowało tylko Hasselhoffa i gadającego samochodu. Wszystko to wyglądało na pułapkę zastawioną na Laurę, która ostatnimi czasy lubowała się w serialach szpitalnych, takich jak Dr House oraz Grey's Anatomy. Ponieważ jednak kusilo ją, żeby spojrzeć na Donnę i Kelly, włączyła raz sobie Polsat w porze porannej kawki. Niiieeee.... To już się całkiem przeżyło... Donna, a właściwie niejaka Tori Spelling (Laura przez pół życia głowiła się, czy jest to zdrobnienie od Victoria, czy reminiscencja japońskiej superprodukcji Tora, Tora), obecnie matka dwojgu dzieciom o gabarytach sporej szafy, wtedy też wyglądała wprost komicznie w dżinsowych miniówkach i okropnych getrach w kolorze cukierkowego rózu. Nie miała jeszcze co prawda dziwacznie zapadłego biustu (zapadł się był całkiem ostatnio, jako efekt przedawkowania operacji plastycznych w młodości), ale i tak straszyla z ekranu całokształtem. Jak to przez marne pięć lat człowiekowi może się odmienić...

Nawrót choroby był bowiem jeszcze groźniejszy i nazywał się Sejmowa Komisja Śledcza. Laura mogłaby sobie odmówić Dr House'a i Grey's Anatomy, ale nigdy, za żadne skarby świata nie zrezygnowałaby z Komisji. Dzięki Komisji ds. Rywina napisała kilka ciekawych broszurek, tak zwana Komisja Orlenowska to było gigantyczne tłumaczenie dla Instytutu Badań nad Folklorem (Europejskiego). Telewizor szemrał sobie przyjaźnie, posłowie przesłuchiwali kolejnych świadków, a ona pracowała w pocie czoła.

W tym roku zapowiadało się niezłe, a największe nadzieje Laura wiązała z komisją o zupełnie odlotowej nazwie, czyli Do Spraw Nacisków. Nieustająco czekała na obrady, by rozpocząć etap wytężonej pracy twórczej. Ku jej bezbrzeżnemu zdumieniu komisja zebrała się, ukonstytuowała, widowiskowo pokłóciła, przesłuchała ze dwóch świadków na krzyż i zawiesiła obrady... Laura była po prostu niepokieszona! Jak niby miała w tych warunkach pracować? Skąd czerpać natchnienie? Oczywiście stało się zatem, że tłumaczenia robiła, nie wkładając w nie serca, a broszurki pisał Perec. Państwo oszukiwało Laurę na każdym kroku — za swoje ciężko zarobione podatki chciała mieć komisję, by dalej na owe podatki zarabiać. Sejm jednak nie wywiązywał się ze swoich podstawowych obowiązków i przestał jej zapewniać źródło inspiracji.

Zastanawiała się nawet, gdzie można się zgłosić w tej sprawie. Słyszała co prawda o komisji Przyjazne Państwo, ale obawiała się, czyjej wizja przyjaznego państwa (jest zobowiązane zapewniać komisje w dowolnej ilości, obradujące jak rok długi i szeroki, których członkowie warczą na siebie jak psy i żrą się jak krokodyle), nie kłóci się zbyt z wizją jej przewodniczącego, malowniczego posła Palikota. „Po prostu kicha” — jęknęła, gdy zrozumiała, że musi porzucić nadzieję na ciekawą transmisję. Należało znaleźć sobie jakieś inne zaczepienie. W czasach panieńskich na chandrę, depresję, „dodupizm i prywatny katastrofizm” — jak powiedziałyby Leopold Tyrmand, zawsze działało jedno: przemeblowanie. Obie z Larwą przemeblowały ich malutki pokoik ze sto razy, zawsze w przypadku jakiegoś stresu, niezdanego egzaminu lub zawodu miłosnego. Utrata komisji śledczych to jednak cios dotkliwszy niż byle kosz od kolegi z klasy, więc postanowiła wysoko zakasać rękawy. Marne widoki — kiedyś dzieliła pokój z siostrzyczką, teraz kisila się w dwóch wraz z dwoma facetami, w tym jednym, który nie

osiągnął nawet metra wzrostu. Ogólnie logistyka nawalała. W czasach bezdziejności jedno pomieszczenie służyło za salon, drugie zaś za sypialnię. Po narodzeniu dziecka przestrzeń jakoś tajemniczo się skurczyła, bowiem od początku istnienia Młodzieniaszka Laura i Krzysiek dzielili z nim pokój. Całkiem praktyczne — łatwo wstawać w nocy i poszukiwać zaginionego pod łóżkiem smoczka (ostatnio nastąpił zresztą przełom technologiczny — Laura kupiła fluorescencyjne smoki, które lśniły w ciemnościach upiornym blaskiem). Można bez trudu, wyciągając tylko rękę, nakryć latorośl kołderką lub zgrabnie przewrócić ją na plecy, gdy zasnęła w pozycji na rączka lub na śpiąco usiadła i kontynuowała sen w tej pozycji fakira. Minęło piętnaście miesięcy i Laura z Krzyśkiem postanowili się wyprowadzić. W ten sposób pokój dzienny, w którym jedli, żyli, oglądali niekończącą się paradę wiadomości, mieli swoje komputery i książki miał przeobrazić się w sypialnię. Żeby jednak mógł w pełni satysfakcjonująco pełnić tę rolę, musieli przetransportować doń łóżko z pokoju wspólnego. Łóżko to, a właściwie gigantyczny narożnik, nawet po rozkręceniu na trzy części nie chciało zmieścić się w drzwi. Młodzieniec unieruchomiony w swoim łóżeczku zawodził niczym Jeremiasz w Starym Testamencie, obserwując wysiłki obojga rodziców.

Krzysiek ciągnął mebel, zaś Laura usiłowała wepchnąć go w drzwi. Nieszczęsne legowisko zostało pozbawione już wszystkich wystających elementów: nóg, poręczy, a nawet kołeczków, na których osadzono nogi, a i tak nie przechodziło przez futrynę. Krzysiek, dopingowany wrzaskiem syna, zaparł się jak Mariusz Pudzianowski w finale Strongmanów przy konkurencji zwanej malowniczo martwy ciąg i łóżko wraz z doczepioną do niego Laurą wpadło do pokoju. Na futrynie drzwi zaznaczył się jednak ślad wydartego mięsa, to jest drewna. Kiedy narożnik ustawili na środku słonecznego pokoju, na powierzchni tapicerki objawiła się okropna plama: gigantyczna, jasna, która niczym nie dała się zasłonić.

Laura długo musiała grzebać w pamięci, by przypomnieć sobie, skąd się wzięła ta ozdoba. Eony temu zostawiła ją dziecięca wanienska, do której Krzysiek zapomniał korka — jeszcze zanim Młodzian zażył kąpieli, woda z płynem wylała się na łóżko, pozostawiając w efekcie taką smutną pamiątkę. Początkowo postanowiła przykryć całe łóżko kocem i nie zaprzętać sobie nim głowy. Narożnik i tak przeznaczony został na odstrzał. Dziecko wykończy go w tempie błyskawicznym, a gdy osiągnie wiek przedszkolny, kupi się nowy mebel, tłumacząc przy okazji małemu psujowi, że nie wolno go dotykać. Plama jednak istniała, gdzieś tam na spodzie, i jątrzyła sumienie Laury. Korzystając z ostatniego dnia urlopu męża, wybrała się do sklepu po detergent do czyszczenia pokryć meblowych. Zamierzała kupić ten droższy, reklamowany w telewizji, ale jej wzrok zatrzymał się na ponad sześciokrotnie tańszym o wdzięcznej nazwie Czyścik. Pachniał nawet znośnie i był przeznaczony do trudnych plam po kawie i winie, istniała więc nadzieja, że sczyści także wodę z płynem do kąpieli. Po powrocie do domu Laura zakasała rękawy i zabrała się do pracy. Efektów nie było co prawda widać, ale pocieszyła się, że olśniewający blask tapicerki objawi jej się po wyschnięciu mebla. Na razie w powietrzu rozchodził się tylko czarodziejski zapach czyścika z nutą główną landrynek i szarego mydła. Kiedy wieczorem narożnik wysechł, nie chciała uwierzyć

własnym oczom — plama miała się doskonale, nawet znacznie się powiększyła i nabrała dziwnego białawego koloru. Wezwany na konsultacje Krzysiek stwierdził, że plama zamieniła się w antyplamę, czym w żadnym wypadku nie należy się przejmować. Zgnębiona do szpiku kości Laura przeniosła z pokoju dziecka pościel i ułożyła ją na antyplamie i przyległościach. Długo nie mogła zasnąć, bo przeszkadzał jej w tym czarodziejski zapach, więc przewracając się z boku na bok, przeklinała Czyścika, antyplamę i odziedziczone po przodkach skąpstwo, które kazało jej zaoszczędzić na droższym detergencie. Rano obudził ją głos męża.

— Laura, Laura... — niewyraźnie mamrotał, a ona nie mogła zrozumieć, dlaczego tak bełkocze. Zdołowani antyplamą nie wypili przygotowanego na weekendowy wieczór winka i poszli spać trzeźwi jak niemowlęta. Czyżby zatem mąż wstał w środku nocy i sam napoczął butelkę? Jedni po nocach myszkują w lodówce w poszukiwaniu salcesonu lub kaszanki, inni szukają wina... Właśnie miała zadać to pytania („Czy ty coś piłeś?“), kiedy zauważyła, że Krzysiek jakoś dziwnie wygląda. Jedna warga powiększyła mu się do negroidalnych rozmiarów, miał też opuchnięte oczy i dziwne bulwy na twarzy. Wyglądał jak weteran klubu kibica, który w Afryce zapadł na nieznaną zarazę.

— O Jezu... — jęknęła, a Krzysiek wybełkotał:

— Słuchaj, jakoś dziwnie mnie ręce swędzą, czy nie uważasz, że mi spuchły?

Podsunał jej pod nos swoją dłoń o podejrzenie napiętej, spuchniętej skóry.

— Ty lepiej popatrz do lustra — zaproponowała mu przymilnym głosem. Za chwilę z łazienki dobiegł straszny jęk:

— O Jezu, Jezu...!!!

Krzysiek zauważył też inne ogniska dziwnych bulw — miał takie na nogach i na plecach; ogólnie przypominał człowieka, którego poddano leczniczemu zabiegowi biczowania pokrzywami.

— To jakieś uczulenie. — Olśniło ją. — Tylko ciekawe na co? Może coś zjadłeś? — Mąż przecząco pokręcił głową, oglądając sobie łydki. — Czyżby na mydło? — Kombinowała dalej i wtedy jej wzrok padł na łóżko z antyplamą. — Boże! To Czyścik!!!

Krzysiek zerwał się z łóżka jak oparzony, bo właśnie miał zamiar położyć się i dogorywać w spokoju.

— Może się wykąp — zaproponowała idiotycznie.

— Dokąd idziesz? — wrzasnął za nią małżonek, gdy znikła w kuchni szukać wapna na odczulenie.

— Zadzwoń do agencji castingowej Gudejki — odwrzasnęła mu. — Jeżeli szukają statystów do filmu o średniowiecznych żebrakach lub trędowatych do serialu o Matce Teresie, nadasz się tam bez charakteryzacji.

Właściwie siłą udało się wypchnąć małżonka na pogotowie, gdzie obejrzano go fachowo, zrobiono zastrzyk w tylną część ciała i obdarowano zwolnieniem z pracy, które niespodziewanie przedłużyło urlop.

Krzysiek nie zgodził się na wyrzucenie Czyścika, tłumacząc, że gdy tylko będzie chciał odpocząć parę dni od pracy, nasmaruje się tym genialnym specyfikiem i będzie miał załatwione zwolnienie od ręki.

Przez te parę dni postanowili zająć się czymś innym, zwłaszcza że na forum emama Laura przeczytała fragment dyskusji, który całkowicie ją załamał: ona i Krzysiek znaleźli się na krawędzi rozwodu. Według ciągu postów ich małżeństwo chyliło się ku upadkowi: zamiast wieczorem prowadzić ożywcze i kulturalne pogawędki przy herbacie, oni wgapiali się w komputery i znad klawiatury wymieniali czasami jakieś złośliwe uwagi. Forumowa dyskusja o patologicznych małżeństwach otworzyła Laurze oczy — ich związek trwał w permanentnym kryzysie, a oni nawet nie mieli o tym pojęcia.

— Powinniśmy mieć jakieś wspólne hobby — wyłożyła mu wieczorem, gdy już oderwali się od pasjonujących zajęć, takich jak kąpiel i kolacja Byłego Niemola oraz sprzątanie tego, co zdemolował przez ostatnie pół godziny.

— Jakie niby? — przeraził się. — Mam zacząć czytać magazyn „Fantastyka i groza”?

— Nie, powinniśmy znaleźć sobie nowe hobby, takie jeszcze nieużywane.

— Może zacznijmy dziergać na drutach? — zaproponował. — Kupimy sobie dwa fotele bujane i zacniemy wyrabiać swetry i ciepłe skarpety.

— Nieee. To jakieś głupie hobby — sprzeciwiła się. — Poza tym po co nam tyle skarpet? Zbieranie znaczków jest niemodne, etykietek zapalczanych już nie ma, podobnie jak historyjek w gumach Donald (czy są nawet same gumy?), zupełnie nie wiem, co moglibyśmy razem robić...

Po kilku dniach Krzysiek wrócił z pracy z grubą książką pod pachą.

— Wiem, jakie możemy mieć wspólne hobby!!! — wrzasnął od progu. — Będziemy robić nalewki!!! Pożyteczne i używane.

Pierwsza nalewka stała się prawdziwym wyzwaniem. Po nakłuciu każdego z owoców tarniny wykałaczką, by puścić sok, i zalaniu ich wódką, Krzysiek niezwykle zadowolony przyniósł słoje do pokoju.

— Popatrz, jaki piękny kolorek, jak denaturat! — Kolor wcale nie przypominał znajomego fioletu, był raczej w odcieniu bordo. Chwilę pozachwycali się swoją nalewką (codziennie rano trzeba potrząsać słojem — do tej czynności została wyznaczona Laura) i Krzysiek zasiadł do swej książki. — Kurczę blade — powiedział po chwili — ale ze mnie głupek leśny! To się najpierw zasypuje cukrem, a dopiero później zalewa wódką!

— Trzeba zlać wódkę do garnka i zasypać cukrem — stwierdziła Laura, dla której nie było rzeczy niemożliwych.

— Ale to niezgodne z recepturą — zawahał się. — Nie można od początku robić wszystkiego źle...

— Nie robimy źle, tylko trochę modyfikujemy przepis. Może zresztą takie będzie lepsze? To będzie całkowicie nowa receptura: zalać wódką, by się zmacerowało, zlać

wódkę, dodać cukier... Niezbyt przekonany Krzysiek poszedł do kuchni, aby znaleźć odpowiednie naczynie.

— Nie ma żadnego wolnego garnka — powiedział po chwili z wyrzutem. — We wszystkich są jakieś zupy, mamałygi i inne takie. Biorę słoik po ogórkach.

Pomysł odważny, acz ryzykowny, — słoje po ogórkach silnie woniał czosnkiem i zapachu tego nie dało się niczym zlikwidować. Przepis na nalewkę zaczął im się niebezpiecznie wymykać z rąk. Po zlaniu do słoika okazało się, że wódka zabarwiła się na różowo.

— Popatrz — powiedział Krzysiek, gdy w skupieniu oglądali słoje pod światło.

— Nie trzeba czekać pół roku, po godzinie masz zupełnie ładną naleweczkę!

Laura nie była jednak pewna, czy to już, zwłaszcza że wedle przepisu produkt miał się macerować przez około pół roku, a następne pół leżakować.

— Ueee, tak to się chyba wina na siarce robi — sprzeciwiła się więc i zagłębiła w księdze.

Wiele przepisów przypadło jej do gustu, zwłaszcza ekspresowe nalewki na landrynkach — wkładało się landrynę do słoja, zalewało wódką, potrząsało i... gotowe. Jako miłośniczka landryn uważała, że z takim przepisem poradzi sobie bez trudu. W każdym razie nie wymagał wstawiania świecy po nowiu, by brodząc w rosie, zrywać macierzankę, dzięcielinę, hyzopy i inne dziwaczne rośliny, które należało dodać do nalewki o pięknej nazwie „polskie Chartres”. Po niejakej półgodzinie lektury Laura skapitulowała.

— Ja się chyba do tego nie nadaję. Wszystko to za trudne dla mnie.

Musiałabym sobie najpierw zielnik kupić, nauczyć się oznaczać te rośliny, potem przez kilka sezonów trenować po lasach, żeby zamiast hyzopu nie przynieść pokrzywy, dopiero wtedy działać...

— Leń z ciebie jest po prostu — podsumował mąż, co jakoś specjalnie nie mijało się z prawdą. Kiedyś w zamierzchłej przeszłości szkolnej miała zielnik, a właściwie klucz do oznaczania roślin, bo uczestniczyła w kółku biologicznym.

Biologia wcale jej nie interesowała, ale musiała się zapisać na wyraźne żądanie najlepszej przyjaciółki, która wybierała się na medycynę. Kółko okazało się odlotowym sposobem na spędzanie czasu po lekcjach: jeździli do ogrodu botanicznego oraz do parku, po którym obecnie śmigają z Młodziankiem, każdy miał zielnik i oznaczali rośliny. Wychodziło jej to bardzo źle.

Nauczycielka lubiła ją z sobie znanych powodów — Laura cechowała się raczej antytalentem w dziedzinie biologii i chemii, więc sympatia ta była iście bezinteresowna — zatem dała jej do oznaczenia mniszek lekarski. Roślina aż niezbyt znana, więc uczennica ucieszyła się, że może ją oznaczyć bez klucza.

— To jest mlecze — oznajmiła z zadowoleniem, bo właśnie tym — mleczem — był na ówczesnym etapie rozwojowym ów mniszek.

— To jest mniszek lekarski — sprostowała nauczycielka, młoda dziewczyna lat około dwudziestu pięciu, która wydawała się szesnastoletniej wówczas Laurze zgrzybiałą staruszką nad grobem. A gdy biolożka powiedziała jej kiedyś, że wybiera się na koncert rockowy, Laura nie mogła wyjść z podziwu, że na stare lata jeszcze jej się chce, zamiast siedzieć w domu w kapciach i rozkoszować się Starym kinem w telewizji.

— Możliwe — zgodziła się. — Ale ten mniszek to na wiosnę on jest mlecz, a na jesień d muchawiec! Jak widać, istniały marne szansę, by udało jej się prawidłowo oznaczyć jakikolwiek składnik „polskiego Chartres”. Dlatego postanowiła zająć się swoim ulubionym hobby, czyli forami internetowymi.

Ostatnimi czasy namnożyło się ich już tyle, że można było wybierać i przebierać.

Od dłuższego czasu nie zaglądała na CiP-ę czy Niemowlę oraz Małe Dziecko, jakoś bardziej pochłoneły ją fora intelektualne, zapewniające rozrywkę bardziej wyrafinowaną. Tak znalazła na przykład Kochanki, miłe miejsce, gdzie żony i nałożnice z upodobaniem mieszały się z błotem, a wspólnego faceta nazywały uroczo „miśkiem”; Anonimowych cychoholiców (forum zamknięte, musiała użyć podstępu, aby się tam dostać), gdzie wzajemnie klepały się po pleckach matki karmiące piersią trzy, cztery i więcej lat (górna granica oscylowała gdzieś w okolicy osiemnastki); oraz po prostu fascynujący Świat tanich zakupów.

Uwielbiała to forum. Nie tylko znaleźli tu swój przytułek znienawidzeni przez wszystkich wielbiciele second-handów, ale Laura zapoznała się po raz pierwszy z fenomenem dyskontów spożywczych, gdzie płyn do prania marki Dyskont taki a smaki można kupić trzy razy taniej niż markowy, a podróbki ciasteczek z galaretką niczym nie ustępują produktom firmy, która kiedyś nosiła nazwę Zakładów im. 22 lipca. Laura i Krzysiek od razu wybrali się do takiego sklepu, skąd wrócili z czterema siatami wiktuałów oraz z wielkim odkryciem — mieli nowe, wspólne hobby: zakupy!

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Czy duże jądra to obiekt zainteresowania kobiet? Jak to jest?

A: Przyjacielu, to nie obiekt zainteresowania, to przepuklina.

B: Jak najbardziej, im większe, tym lepiej, nie?

C: Duże jądra to są na pewno obiektem zainteresowania naukowców w Świerku i np. w Łubnej.

D: Nie znasz powiedzenia — najlepsze jaja jak berety.

E: Jeśli masz takie, to może pokaż kobietom podczas występu w cyrku.

JAK WYHODOWAĆ ŻMIJĘ NA WŁASNYM ŁONIE? PORADNIK Z PRZYKŁADAMI I RYSUNKAMI

Telefon komórkowy zadzwonił sygnałem grupy „Pokemony” (rodzina), czyli ogłupiającą pioseneczką dla dzieci o bananowym telefonie, więc Laura — z ulgą, że to nie magister Nowicka lub profesor Malanowski — podniosła słuchawkę.

Dzwoniła Larwa, co było ewenementem wprost niesłychanym, albowiem siostrzyczka z Elurii najbardziej lubiła komunikatory internetowe.

— Słuchaj, wpadłabym do ciebie, mam ważną sprawę — powiedziała bez żadnych wstępów, gdy tylko Laura odezwała się ze swoim niezwykle zachęcającym: „Czego chcesz?”.

— Wpadaj, pomożesz mi wynieść wózek.

— Wredny wykorzystywacz!

— Larwa! — Pożegnały się z właściwą sobie siostrzaną miłością.

Niecałe pół godziny później wlekły się do parku, a Larwa szykowała wielką przemowę.

— Słuchaj, jest taka pilna sprawa. Wiesz, że ja zawsze chciałam mieć dom w górach, nie?

— No wiem. — Potwierdziła z rosnącym niepokojem. — I co? Otrzymałaś spadek po nieznanym mi krewnym góralu?

— Nie. Perec mi znalazł dom.

— O Boże — jęknęła, a Byłe Niemowlę zagruchało z zadowoleniem, bo matka wręczyła mu jednocześnie herbatnik. — Perec staje się niezbędnym w naszej rodzinie, powinien jeszcze z ojcem zacząć jeździć na ryby...

— Na pewno to zrobi, jeśli zaproponujesz. On pochodzi z jakiejś dziury w Pieninach i tam, rozumiesz, są niesamowicie tanie domy...

— Jakiej dziury? — zainteresowała się.

— Nie wiem, z jakiejś Ochotnicy Dolnej czy Górnej...

— To z Dolnej czy Górnej, bo to jednak różnica...

— Aleś się uczepiła! Z Górnej chyba. Zresztą to nieważne, bo tam wszędzie jest pięknie i jakiś wujek Pereca chce nam sprzedać dom...

— NAM??? — przerwała Laura, która przez jeden moment myślała, że się przesłyszała, ale już chwilę później dotarła do niej straszliwa prawda... Ilona w jakimś swoim rachunku liczyła na nią.

— No wiesz, kupiłybyśmy ten dom na spółkę. Pomyśl sobie: góralski domek z bali, na połoninie, siedzisz sobie na ganku, Były Niemol biega po trawie, a ty piszesz te swoje

broszury w czystym ekologicznym otoczeniu...

— Na jakiej połoninie? Na głowę ci padło? Połoniny są w Bieszczadach!

Mimo to wizja wydawała się atrakcyjna. Pomyślała, że w ciszy i spokoju górskiej hali na pewno dałaby radę napisać swój bestseller. Ilona, widząc, że jej pomysł trafił na podatny grunt, snuła miraż dalej.

— Miałabyś gdzie wyjeżdżać z dzieckiem, mogłabyś całe lato tam siedzieć, ja bym na weekendy wpadała, byłoby super...

— Ile kosztuje?

— Perec mówi, że to cudowna okolica, żadnych sąsiadów, tylko ptaki, sarny, trawa...

— Ile?!

— Trzydzieści pięć tysięcy — westchnęła Larwa i popatrzyła na siostrę wzrokiem, który ta знаła z dzieciństwa. Spojrzenie pod tytułem „Oddaj mi swój kawałek czekolady, bo ja jestem młodsza i jeszcze się nie najadłam”.

— Cudownie. Ile masz pieniędzy? — zapytała, nie zwracając uwagi na przymilny wzrok siostrzyczki.

— Trzy tysiące, składałam na plazmę...

— Wspaniale, ja też tyle mam. Jak sądzisz, skąd weźmiemy pozostałe dwadzieścia dziewięć tysięcy?

— Ja nie mogę wziąć drugiego kredytu, bo mam już ten mieszkaniowy... Może ty? Laura się zaśmiała.

— Może jak w totka zagram. Żaden bank nie da nam pieniędzy, z czego byśmy to spłacali?

— Zastanawiałam się nad tym — kontynuowała Larwa. — Mogłabym wziąć do księgowania jeszcze kilka firm, na przykład ten basen, którego nikt nie chce, dostanę trzynastkę, może jakąś premię... a wujek Pereca chce forszę w ratach.

— Wątpię, czy na księgowaniu basenu zarobisz piętnaście tysięcy, chyba że to będzie park wodny i weźmiesz kontrakt płatny z góry...

— Przestań piętzyć trudności i zastanów się, skąd wziąć pieniądze! Laura zatrzymała się z oburzeniem i popatrzyła na siostrę wrogo.

— Ja piętzyć? Ja nie chcę żadnego domu, bo nie mam na niego kasy!

— Oj, dobrze, dobrze, ale przynajmniej go obejrzyj. Perec zawiezie nas tam w sobotę. Może okazać się, że to ruina niewarta naszej uwagi.

W Laurze zrodziło się straszne podejrzenie. — Ty już wszystko zaplanowałaś, zmij! Chciałaś mnie tylko urobić...

Ilona wzruszyła ramionami:

— Co ci szkodzi? Pojechać możesz...

Wracając samotnie do domu, postanowiła nie wspominać małżonkowi o pomyśle upiornej siostrzyczki, po co chłop ma się denerwować... Jednak gdy tylko przekroczyła próg domostwa, sprawy przybrały zupełnie inny, niepokojący obrót. Światelko automatycznej sekretarki migąło czerwonym okiem, z przerażeniem usłyszała mlaskający głos profesora, który tonem nieznoszącym sprzeciwu domagał się oddzwonienia. Z duszą na ramieniu (dzieło Pereca jednak nie chwyciło?) wykręciła wiadomy numer.

— A to pani, pani Lauro. Książeczka dobra, bardzo dobra, mamy dla pani jeszcze jedną propozycję, proszę przyjść do mnie jutro.

Następnego dnia w „proszalnym ubranku” (szary żakiet i także spódniczka w kwiatki), używanym w sytuacji, gdy trzeba w przeciwniku wzbudzić odruch szczerego współczucia, stanęła przed szefem. Ten długo jej się przyglądał i nieszczęsna zaczęła już mieć nadzieję, że ubranko podziałało.

— Ma pani coś dziwnego we włosach — stwierdził profesor po dłuższych oględzinach.

Z niepokojem przejechała dłonią po swej misternej fryzurze, przypominając sobie przygodę kolegi z klasy, któremu gołąb narobił jednocześnie na głowę i na niesiony podręcznik do łaciny.

— A, to marchewka — stwierdziła z radosną ulgą, ale profesor dalej patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. — Marchewka z zupy mojego dziecka — wyjaśniła przystępnie. — Ono wszystko wypluwa...

— Mniejsza o to — przerwał. — Mamy teraz taką sesję naukową o strojach ludowych. Chciałbym, żeby przetłumaczyła pani nasze artykuły... Dostaliśmy na to dotację z KBN, ale trzeba szybko...

— Rozumiem — powiedziała, choć wcale się nie przestraszyła. W Instytucie zawsze trzeba było „szybko”, a potem okazywało się, że jest mnóstwo czasu.

— Możemy pani zaproponować... Dwanaście tysięcy... Bo trzeba szybko...

— Dwanaście? — spytała Laura, która próbowała sobie to wszystko ułożyć.

Jeżeli proponują taką kasę, to znaczy, że coś jest nie w porządku.

— No dobrze, piętnaście, ale więcej dać nie możemy, to jest bezwzględne maksimum i dzisiaj pani umowę podpisze, że od dzisiaj pracuje...

— Panie profesorze... W czym tkwi pułapka? Instytut rzadko oferuje sumy powyżej jednej cyfry... A honoraria w wersji dwucyfrowej występują jedynie jako zero i przecinek...

Profesor Malanowski przygryzł wargę swym bezzębnym dziąsłem, co do złudzenia przypominało zachowanie Natrętnego Niemowlęcia z czasów sprzed czterech zębów. Przypomniała sobie, że Synalek robił tak w dwóch sytuacjach: gdy natęzał się, by wydalić (miała nadzieję, że tutaj nie o to chodzi), oraz gdy planował jakieś wyjątkowe

szelmostwo (wleźć do szafy, podrzeć całą rolkę papieru toaletowego, wyrwać z klawiatury laptopa kolejną literkę i tak dalej).

— No cóż — powiedział profesor wstrzemięźliwie. — Nad tymi tekstami trzeba będzie popracować, autorzy... że się tak wyrażę, nie zawsze stanęli na wysokości zadania...

„Czyli trzeba je napisać od nowa” — przeraziła się.

Napisanie od nowa wymagało nie tylko ogromnego wydatku intelektualnego i czasowego, ale oznaczało przykrą procedurę konfrontacji z autorem pierwotnym (zwanym dla uproszczenia Pierwotniakiem). Zasada była taka — im gorsze dzieło, tym bardziej Pierwotniak go bronił. Co ciekawe, autorzy, którzy pisali dobrze, zwykle z wdzięcznością przyjmowali (drobne) poprawki, a niektórzy nawet wstydzili się, że w ogóle coś trzeba poprawiać. Klasyczny Pierwotniak pisał gniota, i od razu, z miejsca, się obrażał. Każda ingerencja, choćby w interpunkcję, witana była jako obraza majestatu, godna procesu przed trybunałem stanu. Laura, która dokonywała wyłącznie przekładu i zawsze mogła liczyć na to, że Pierwotniak nie zna języka i nie będzie w stanie jej sprawdzić, współczuła szczególnie redaktorom wystawionym na pierwszą linię walki z Pierwotniakiem.

W Instytucie redagowaniem wszystkich publikacji zajmowała się panna Kasia — osoba niepozorna, skromna i mało krzykliwa. Czyniła cuda z gniotami Pierwotniaków, którzy nie tylko nie okazywali jej wdzięczności i nie obsypywali kwiatami oraz pralinkami, ale donosili na nią do profesora. Panna Kasia była wiecznie „tą, która się nie zna”, „tą, która psuje”, „niekompetentną”, „złośliwą”, a nawet „głupią”. Pokazała kiedyś Laurze elaborat jednego z Pierwotniaków dopisany na stronie z korektą autorską, gdzie Pierwotniak — doznawszy jakiegoś rozdwojenia jaźni (być może w wyniku szoku) — pisał o sobie, posługując się wyrażeniem „Autor”, pisany, rzecz jasna, wielką literą. Panna Kasia zwierzyła się Laurze, że największym marzeniem jej zawodowego życia jest pozostawienie arcydzieł umysłowości Pierwotniaków w ich oryginalnej, niczym nieskażonej formie. Obawiała się jednak, że recenzja takiego dzieła zaczynałaby się od słów: Gdzie był redaktor tej publikacji? Wstyd! Sama panna Kasia widywała od czasu do czasu podobne recenzje w prasie, co stanowiło dla niej dowód, że jakiś członek znienawidzonego przez Pierwotniaków klanu redaktorów nie wytrzymał i pękł.

— Ale panna Kasia zredaguje te artykuły, prawda? — zapytała z wielkim niepokojem, bo ciągle nie dawała jej spokoju wygórowana wycena tłumaczenia.

— Niestety nie. Panna Kasia przeszła na wcześniejszą emeryturę dwa miesiące temu i jakoś nie możemy nikogo znaleźć na jej miejsce.

„Ciekawe, że mnie to nie dziwi” — pomyślała.

Panna Kasia za te wszystkie wyrzeczenia i zniewagi, które musiała znosić, otrzymywała pensję w wysokości 713,90 złotych netto i jak mówiła: „Te dziewięćdziesiąt groszy, to by sobie mogli darować”.

— Panie profesorze — rzekła zamiast tego, widząc, że sytuacja jest poważna — skoro sprawy się tak mają, to ja muszę najpierw zobaczyć te teksty, bo być może nie dam sobie z nimi rady... Taki, na przykład, magister Burzywołek, to jest autor naprawdę trudny... Być może w tej publikacji nie będzie magistra Burzywołka...

Tu przerwała, ponieważ mina profesora sugerowała wyraźnie, że Burzywołek będzie, a jakże, i to w gronie najznacześniejszych autorów. Westchnęła ciężko i zaczęła bawić się paskiem od torebki. Profesor milczał przez chwilę, po czym sięgnął do biurka.

— Dobrze. Tu jest kluczyk od pokoju panny Kasi. Wszystkie materiały leżą na jej biurku. Jak się pani zapozna, to proszę tu wrócić, a jak mnie nie będzie, powiedzieć sekretarce, jaka jest pani decyzja. Jeżeli się pani zgodzi, to proszę od razu iść do prawnika po umowę i pracować, pracować, pracować... A w ogóle to niepotrzebnie uprzedziła się pani do magistra Burzywołka. To uroczy człowiek i jaki fachowiec... A to, że nie potrafi ubrać swej wielkiej wiedzy w słowa... Pani Lauro, to już poeta powiedział: „odpowiednie dać rzeczy słowo”, i to pani zadaniem jest je dać, magister Burzywołek rzuca tylko ogólną sugestię...

Laura wyszła, ściskając kluczyk i zastanawiając się, ile takich przemów musiała wysłuchać panna Kasia, zanim poddała się na całej linii i przeszła na emeryturę. W pokoju 207 na drugim piętrze czekała na nią sterta papierów na starannie uprzątniętym biurku. Żeby od razu rzucić się na głęboką wodę, sięgnęła po tekst Burzywołka. Prezentował on stały poziom tego autora. Magister miał wielkie upodobanie do tasiemcowych zdań, w których gubił podmiot lub orzeczenie, oraz barokowej metaforyki. Zagłębiając się w artykuł, miała wrażenie, że czyta Kazania księdza Skargi na lekcji w pierwszej klasie LO, bo gdzieś tam mimochodem mignęła nawet alegoria Polski jako okrętu. Westchnęła ciężko i wyjrzała przez okno.

W kawiarni naprzeciwko siedzieli sobie ludzie, którzy nie musieli zmagać się z dylematem, brać to zlecenie czy nie. Z drugiej strony piętnaście tysięcy to prawie jej połowa w inwestycję Larwy. Zdziwiła się, że w ogóle przyszła jej do głowy taka myśl — wydawało się, że odrzuciła ten pomysł definitywnie. A jednak nie!

Widocznie plątał się gdzieś tam na obrzeżach świadomości. Wyciągnęła telefon i zadzwoniła do siostry. Złapała ją na stołówce, gdzie wiecznie odchudzająca się Larwa jadła swoje „pół obiadu”, czyli zupę.

— Chyba mogłabym mieć swoją część — powiedziała bez wstępów.

— To super! Ja też bym chyba mogła. Wzięłam basen i w pracy dadzą mi dziesięć tysięcy pożyczki na bardzo korzystny procent... To co? Jedziemy tam w sobotę?

— Jedziemy — zgodziła się Laura.

Przerzuciła jeszcze raz Burzywołka i podjęła decyzję. U prawnika czekała na nią kolejna niespodzianka.

— Pani poda numer konta, przelejemy zaliczkę — powiedziała asystująca radcy prawnemu księgowa.

— Zaliczkę? — Zdziwiła się niepomernie, bo jak tu długo pracowała, nigdy jej się coś takiego nie zdarzyło.

— Tak. Połowę kwoty dostaje pani jako zaliczkę, drugą po zaakceptowaniu dzieła. Ma to pani w umowie.

Oszołomiona Laura wyszła z Instytutu z pudłem tekstów pod pachą i umową zwiniętą w rulon w torebce. Była środa, do piątku należało przekonać Krzyśka do pomysłu wyjazdu.

— Zwariowałaś? — spytał zgodnie z przewidywaniami małżonek, gdy już szczęśliwie położyli spać dziecko i zasiedli do wieczornej pogawędki.

Zaczęła mu klarować, że sama nie jest przekonana do tego pomysłu, ale ze względu na Larwę, która ma doła po kolejnym ślubie byłego narzeczonego, chce to zrobić. W końcu Krzysiek skapitulował.

— Dobra, pojedziemy tam. Ale jak to będzie nawiedzona ruina, to obiecaj mi, że tego nie kupicie.

— Głupiś? — zdziwiła się. — Nawiedzoną ruinę kupiłabym w ciemno.

W sobotni poranek cała czwórka (Laura, Krzysiek, Larwa i Perce) zapakowała się do samochodziku Ilony, która od razu zaczęła awanturę o mapę. Na próżno Perce dowodził, że okolicę swego urodzenia zna doskonale i nie potrzebuje mapy, aby tam trafić, luba spiorunowała go wzrokiem, wyciągnęła atlas ze schowka i rzuciła go siostrze.

— Północ jest na górze — wyjaśniła przystępnie. — Wyznacz trasę!

Laura spojrzała bezradnie na Perca, a ten, obrażony, nie odzywał się aż do samej Mszany Dolnej. Laurę ogarniał coraz większy niepokój, co do powodzenia całej wyprawy, ale niepotrzebnie, bo Perce odezwał się wreszcie w Zabrzeżu.

— W prawo, w prawo — pouczył Larwę, która i tak nie mogłaby skrócić w lewo.

Okolica była rzeczywiście malownicza, jak — nie przymierzając — droga na Ostrołękę: krowa, pole, krowa i koza. Jechali już dosyć długo, gdy nagle z pobocza wyskoczyła niesamowita postać. Najwyraźniej płci męskiej: długa i zmierzwiona broda, a na głowie parciany kapelusik. Larwa włączyła kierunkowskaz, by wyminąć natręta, ale Perce pociągnął ją za sweter.

— Czekaaj, czekaaj, to mój wujek!

— To jest twój wujek? — zdziwiła się niepomernie, ale posłusznie zatrzymała koło dziwnej istoty, która natychmiast (oczywiście rzuciwszy zwyczajowe: „Szczęść Boże”) zaczęła wpychać się na tylne siedzenie.

— No jadziem, panienko, jadziem — wyszczerzył się wujek Perca do Ilony, która obserwowała go ponurym wzrokiem. — Jeszcze z pięć kilometrów drogą, a potem spacerek przez las.

Widać było, że Larwa poczuła wyraźny niepokój.

— A długi ten spacerek? — spytała niepewnie.

Wujek Pereca roześmiał się perliście, pokazując braki w uzębieniu.

— Ze dwa kilometry z małym hakiem, ha, ha, ha! Znacie ten dowcip o turyście i bacy?

— Znamy, znamy — pośpieszyli z zapewnieniami Laura i Krzysiek, ale wujek Pereca, który najwyraźniej potraktował to pytanie jako retoryczne, ciągnął dalej:

— Turysta pyta bacy: „A daleko, baco, do szlaku?“, a bacia: „Kilometr z małym haczykiem“. „A duży ten haczyk?“, „A z dziesięć kilometrów“. Ha, ha, ha, dobre, nie?!

Larwa wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć, niezrażony niczym wujek Pereca wyciągnął ze szmacianego worka jakiś dziwny obły przedmiot, waniający bardzo podejrzenie.

— Oscypka wam przyniosłem od bacy z Przełęczy Knurowskiej — powiedział to takim tonem, że Laura zrozumiała, iż ów bacia musi być jakąś znaczną figurą.

— Z Knurowskiej? — zapytała, by jakoś podtrzymać kulejącą konwersację.

— Hej! — odpowiedział radośnie wujek, wciskając jej do rąk otłuszczone zawiniątko.

Starła się nie oddychać i dotykać sera jak najmniejszą powierzchnią dłoni. Nie znosiła oscypków, mdło jej się robiło na samą myśl, w jakiej technologii są wyrabiane (w tym natrętnym obrazie dominowały brudne skarpety bacy, w których wyciskano z mleka charakterystyczny wrzecionowaty kształt), wolałaby umrzeć, niż zjeść coś takiego. No, gdyby umierała z głodu... A może i wtedy nie...

Tymczasem dojechali do końca dobrej drogi i zaczęły się wyboje.

— To już inny powiat — objaśnił bacia. — U nas mówią, że nie chcieli do Unii, to nie mają teraz drogi, ha, ha, ha! Panienko, skręćta w lewo za mostkiem, teraz kawałek przez las...

— Zawieszenie mi pójdzie — mruknęła Larwa.

Laura poczuła złośliwą satysfakcję, bo było widać jak na dłoni, że siostrzyczka rada by się wymiksować ze swego pomysłu „im Krebsgang“, jak powiedziałyby to Giinter Grass. Dojechali do końca drogi i Ilona zaparkowała pod rozłożystą sosną.

— To tera kawałek na pieszko — oznajmił radośnie wujek, patrząc krytycznie na czółenka Larwy. — Oj, zniszczy sobie panienska te buciki...

Laura postanowiła zlitować się nad nieznaną życia siostrą i rzuciła jej foliową torbę ze swoimi turystycznymi butami. Larwa nie wydziła z siebie żadnej złośliwości, tylko posłusznie zzuła biurowe pantofelki i wdziała trepy karkonoskie w rozmiarze 38.

— No to jazda, jazda! — Perc w stroju traperskim (brakowało mu tylko alpinistycznej liny na plecach) radośnie zatarł ręce i fachowym gestem skierował całą grupę ku ścianie lasu.

Szli, szli i szli, aż Laurze zaczęło się w pewnym momencie wydawać, że jest na planie filmu Blair Witch Project, a na końcu drogi czeka ich rozwalona rudera zamieszkiwana przez psychopatycznego mordercę z siekierą, gdzie podziela los Jasia i

Małgosi. Miała przy tym złośliwą satysfakcję, obserwując rzadką minę Larwy, która brodziła w paprociach, mrużąc coś do siebie. Wreszcie las się skończył, a oni wyszli na polankę jak z bajki. Z trzech stron otaczała ją ściana drzew, zaś od frontu rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na Jezioro Czorsztyńskie i Przełęcz Knurowską. Dla takiego widoku naprawdę można by zabić, bo był to, jakby to powiedział James Bond, „Zabójczy widok”. Na środku polanki wznosił się, nieco zapuszczony, domek z bali.

Okolony był malowniczym gankiem, wycinanym w misterne ząbki, a przycupnięta z boku sławojka zdradzała nader wyraźnie sanitarne braki nieruchomości.

— To jesteśmy na miejscu — powiedział z zadowoleniem Perc, podczas gdy reszta towarzystwa trwała w osłupieniu. Jediną osobą, która nie podzielała powszechnego nabożnego zachwytu, był wujek, wytrwale penetrujący swoje dominium.

— Łasice się załęgły, psie krwie — mrużąc, kopiąc od czasu do czasu w drewnianą podmurówkę. — Już mi się tu ze trzy razy włamali jacyś... Oj, co ja z tym domem mam kłopotu, co ja mam...

— Może wejdziemy do środka? — zaproponowała przymilnie Larwa, a wujek tylko kiwnął głową i wyciągnął metalowy klucz z czasów Franciszka Józefa, a może i wcześniejszych. Chwilę manewrował w zardzewiałym zamku, a klucz chrobotał i piszczął przeraźliwie, aż wreszcie drzwi ustąpiły i weszli do środka.

Wnętrze domku było mniej zabójcze niż widok. Ciągnęło stęchlizną i nieokreślenie przykrym zapachem starego domu. Laura pociągnęła nosem, była po prostu przeczulona, gdy chodziło o brzydkie zapachy — papieros potrafiła wywęszyć z dwudziestu metrów, nie mówiąc o innych aromatach, zwłaszcza niemytego ciała. Była tak dobrze wyszkolona, że znajomi, którzy kupowali mieszkania w starym budownictwie, zawsze brali ją na oględziny mikologiczne.

Laura stawiała w progu i węszyła za grzybem. Kiedy Krakowem wstrząsnęła informacja o niewiernej żonie, która zamordowała męża siekierą i zamurowała za podwójną ścianką w spiżarni, wszyscy przyjaciele uznali, że do tego mieszkanka należało wpuścić Laurę, która wyniuchałaby trupa w try miga. Pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że przez przypadek znała ową czarną wdowę i jej męża (obecnie zwłoki). Nic więc dziwnego, że nigdy nie zapraszali jej do siebie (ani za życia małżonka, ani po zgonie), jakby coś — pardon myfrench — czuli.

Larwa i Krzysiek znali oczywiście doskonale jej wybitną umiejętność, więc zatrzymali się z szacunkiem i czekali, aż skończy węszyć. Perc nie miał o niczym pojęcia, zatem stał jak żona Lota i wpatrywał się w całą scenę ze zdziwieniem.

— Co ona robi? — zapytał bezradnie, ale nikt nie raczył udzielić mu odpowiedzi.

— Szuka — odpowiedziała wreszcie Larwa, poprawiając sobie sweterek.

— Czego?

— Trupa co najmniej — wyjaśnił Krzysiek. — Ona zawsze tak węszy.

— Po co? — Nie rozumiał dalej Perc.

— Wyszukuje podejrzane zapachy: grzyby, stęchliznę, pękniętą rurę i tak dalej.

— Rany, to nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć, że w domu, w którym nikt nie mieszkał od dziesięciu lat, czuć stęchliznę.

Perec wzruszył ramionami i chciał jeszcze coś dodać, ale Laura akurat skończyła niuchanie.

— I co? — zapytała Larwa, która polegała na węchu siostry jak na Zawiszy, bo Laura wywęszyła kiedyś zamalowanego podstępnie grzyba w mieszkaniu, które za ciężkie pieniądze chciała kupić jej przyjaciółka. Mieszkanie było superluksusowe, po generalnym remoncie i ze zmianą konfiguracji wszystkich pomieszczeń, a ona wyniuchwała grzyba w sypialni. Przyciśnięty do muru właściciel wyznał, że kiedyś znajdowała się tam kuchnia. Nie polubił on Laury, oj, nie...

— Wszystko gra — oznajmił gończy polski w osobie Laury. — Śmierdzi brudem, ale cóż się dziwić, mój szczypiorku, tutejsi się chyba raczej rzadko myją...

— Wypraszam sobie! — warknął Perec, który pomimo dziwnych ciuchów i fryzury był raczej domyty i nie pachniał odstręczająco.

— No to się zedrze tynk ze ścian i będzie git — uznała Larwa i wszyscy weszli do środka.

Parter domku, tradycyjnie jak budowano w tej okolicy, składał się z trzech połączonych ze sobą izb: dwóch mieszkalnych po bokach i kuchni ze starym piecem kaflowym w dosyć kiepskim stanie. Wiele kafli było potłuczonych i poobijanych.

— Trzeba będzie wymienić. — Larwa wyciągnęła notes elektroniczny i zaczęła notować braki. Pokoje były puste, przestronne i rozciągał się z nich widok na wspomniany już wcześniej WIDOK. Należało odmalować ściany i wymienić podłogę, którą „spróchniały zęb czasu dotknął swoim palcem” — jak napisało w wypracowaniu o Trenach pewne dziewczę w LO, w którym uczyła się Laura.

W małym przedpokoiku stała zdezelowana drabina prowadząca na strych.

Wyglądała tak mało zachęcająco, że nikt nie chciał się skusić.

— Ja mam lęk wysokości — powiedziała Laura, a jej siostra tylko mruknęła przez zęby: „Mięczak” i zaczęła się drapać do góry, zanim rycerski Perec zdołał zasłonić drabinę swą wątłą pierś. Minęło już sporo czasu, a Ilona nie wracała, więc po drabinie wlaź Krzysiek, a gdy i on nie wrócił — Perec. Laura została sama i rozmyślała nerwowo, co też mogło się z nimi stać: wciągnął ich wir kosmiczny i znaleźli się w innym miejscu i czasie, pojawiła się tak zwana czarna łapa, niezbędny element każdego szanującego się horroru (gdy akcja się uspokaja i wszyscy widzowie oddychają z ulgą, biorąc się do chrupania orzeszków i picia coli, nagle na ramieniu głównej bohaterki pojawia się ona — czarna łapa), która porwała ich w otchłań, i tak dalej.

— Te, Laura, chodź tu, zobaczysz, jaki zarąbisty widok — rozległ się z góry głos Krzyśka. Z ociąganiem weszła na drabinę; niektóre szczeble były zrobione metodą gospodarską z okorowanych grubych patyków okręconych drutem. Kiedy znalazła się na górze, zobaczyła Pereca i Larwę leżących na zakurzonej podłodze przy małym

strychowym (i brudnym) okienku. Wyjrzała im zza pleców i oniemiała. Już widok z dołu dawał czadu, ale to tutaj — to był po prostu odjazd.

Cała dolina leżała nisko pod stopami, widziało się ją jakby z lotu ptaka.

— Musimy mieć tę chałupę — postanowiła Larwa, a Krzysiek pokiwał entuzjastycznie głową. Tylko Laura jakoś tego nie widziała.

— Wiecie, jaka to ruina? Ile forsy w to trzeba będzie włożyć? Dach przecieka, wszystkie podłogi do wymiany, zrobić łazienkę, zaadaptować strych...

— Piętrzysz trudności — stwierdziła siostrzyczka z niesmakiem. — Najpierw to kupimy, a potem będziemy się martwić co dalej...

— Postawa godna polityka — ucieszył się Perec. — Tak każdy kolejny rząd rozumuje! Powinnaś się zgłosić...

Larwa zbyła tę uwagę milczeniem i po chwili zwróciła się do siostry:

— Chodź, idziemy do tego wujka, który tam obstukuje fundamenty, powiedziec, że się zgadzamy...

— Zaraz, zaraz — powstrzymał je Perec. — Z wujkiem to my z Krzyśkiem będziemy gadać...

— A niby dlaczego? — obruszyła się Larwa nie na żarty.

— Tu się z kobietami nie gada o interesach — wyjaśnił i wzruszył ramionami, ale Ilona od razu skoczyła mu do gardła.

— A niby dlaczego? Co to za dyskryminacja?

— A co? Chcesz bimber pić i zagryzać go oscypkiem? Tu się tak interesy załatwia.

Z Larwy jakoś uszło powietrze, zaś Laura błyskawicznie ewakuowała się do drabiny. Drogę w dół pokonała w ekspresowym tempie.

— Tylko co my ze sobą zrobimy? — zastanowiła się już na dole, gdy Perec i Krzysiek poszli na poszukiwanie wujka, który odpoczywał sobie w krzakach.

— Może do kina pojedziemy? — podsunęła młodsza siostra, strząsając z siebie pająki, które ją oblażyły, jak w filmie Indiana Jones i Świątynia Przeznaczenia.

— No, zaczęli grać nowego Indianę Jonesa — przypomniała sobie Laura, zapewne pod wpływem pajaków. — Odbierzemy ich po seansie.

Jak pomyślały, tak zrobiły. O północy, gdy zajechały pod dom wujka Pereca, czekały na nich dwa półtrupcy. Blade, z więcej niż mętnym wzrokiem.

— Załatwiliście? — spytała Larwa, pomagając się im umieścić na tylnym siedzeniu, gdzie od razu zapadli w letarg.

— Tak — wymamrotał Perec. — Wujek nawet opuścił trzy tysiące, ale powiedział, że na prezent ślubny nie mamy co liczyć...

— Jaki prezent, ty matole — powiedziała ze zwykłą serdecznością Ilona, zapalając auto. — Musiałabym stracić rozum, żeby za ciebie wyjść, na szczęście mi to nie grozi...

— Łamiesz mi serce, Ilonko — poskarżył się Perec i zapadł w sen.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Jaka antykoncepcja w ciąży?

A: Trochę mi niezręcznie, jestem pierwszy raz w ciąży (planowanej), ale nie wiem, jak to jest z płodnością. Wiem, że to dziwne, ale naprawdę nie wiem, czy kobieta w trakcie trwania ciąży do końca jest, czy nie jest płodna? Chodzi mi o bezpieczne odbywanie stosunku. B: A gdzie niby ta druga ciąża miałyby się zmieścić?? Na plecach? To chyba logiczne, że w ciąży nie można zajść w ciążę.

C: Oj, nie ma co się śmiać. Rozmnażanie to skomplikowana sprawa. Sama dostałam kapę w liceum z rozmnażania grzybów. Jak nie wie, to się spytała, i to jest słuszne.

D: Nie, no można zajść, przecież jest jeszcze miejsce na plecach, a im szersze barki, tym więcej ciąż. Gratuluję dowcipu.

E: Stąd się biorą ciążę mnogie, musicie pomyśleć o jakiejś formie antykoncepcji dla ciężarnej — tylko nie prezerwatywy, bo płód może przegryźć gumkę. F: Dawno się tak nie uśmiełam, za co założycielce wątku dziękuję.

OPERACJA PLASTYCZNA

Wiecie, jak to jest w ciąży — zaczyna się niewinnie, a kończy tragicznie. To taka biografia wielbiciela piwska w przyspieszonym tempie: brzuch rośnie i rośnie, aż w końcu nie możesz sama ogolić nóg, wdzać skarpetek, czy zrobić sobie fryzurki intymnej, a o tym, że twoja „ciąża i poród” ciągle znajduje się na właściwym miejscu, informuje cię ginekolog i musisz mu wierzyć na słowo, a to w końcu tylko facet.

Kiedy Laurze urosła już spora torba na Niemola, nie mogła za dobrze obciąć sobie paznokci u nóg. Robiła to byle jak i krzywo, co miało określone konsekwencje — zaczęły wrastać w opuszkę palca. Niemowlak objawił się po drugiej stronie, a paznokcie jak były krzywe, tak zostały. Ciekawostka! O wszystkim można gadać w towarzystwie bez krępacji: o grzybicy pochwy, chorobach skóry i innych takich, ale jak zaczniesz o wrastającym paznokciu, to od razu usłyszysz: „Łojej, jakie to obrzydliwe, weź, daj spokój”, no i musisz dać spokój, bo cię wykluczą z towarzystwa i pozostanie ci tylko sam na sam z Memłaczem Gumowego Smoka, czyli twoim ukochanym Potomkiem. Laura jednak nie mogła zbyt długo znosić dyskomfortu paznokciowego i zwierzyła się siostrzyczce. Ta fachowo obejrzała podstawioną w celach poglądowych stopę i rzekła z wyraźną satysfakcją:

— Gniesz, siora. Z tego już nic nie będzie, musisz iść na pedikiur leczniczy.

Diagnoza zaniepokoiła Laurę, która co prawda nie zauważała u siebie jakichś specjalnych symptomów gnilnych, ale wiadomo — nieboszczyk też w pewnym momencie traci świadomość, że jest martwy.

Podczas codziennych spacerów z Młodziankiem zaczęła poszukiwać fachowej pomocy. Nie trzeba było szukać zbyt długo, tuż za rogiem mieścił się zakład fryzjerski „Gruba Berta”, który obok usług na owłosieniu oferował także takie zbytki jak „tipsy, malowanie henną, makijaż permanentny i pedikiur leczniczy”.

Laura weszła do środka, marząc o tym, jak to na wyleczonym paznokciu u nogi zrobi sobie akrylowego tipsa z cyrkoniami i od razu natknęła się na panią Marzenkę, kosmetyczkę. Wyłuszczyła drobniaczko swój problem, a pani Marzenka ze zrozumieniem pokiwała głową.

— Kochana, tu co druga po ciąży ma taki problem, tylko nikt się nie przyzna, bo o paznokciach wstyd mówić, już prędzej o grzybicy... — Jednocześnie lustrowała bacznie nogę Laury, która bezwstydnie wystawała z wyjściowego klapora (którego trzeba odróżnić od klapora na po domu). — Ueee, nieładnie to wygląda — powiedziała po chwili. — Co pani zrobiła z tym paznokciem?

Pierwszy raz coś takiego widzę!

— Obcięłam go — odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Pomysł zaiste genialny w swej prostocie. Aby raz na zawsze pozbyć się wrastającego paznokcia, Laura obcięła go z boku, nadając mu interesujący kształt nieregularnego trójkąta.

— Ślicznie. Dziecko pani ma, a nie nauczyli panią, że paznokcie...

— ...obcina się na prosto — dokończyła Laura. — Tak, nauczyli mnie, ale to się zupełnie nie sprawdza, obcięty na prosto paznokieć wrasta w try miga!

— Tylko jak się nie umie — stwierdziła kategorycznie pani Marzenka. — No, teraz to pani musi poczekać, aż trochę odrośnie, bo z tego nie ma co ciąć... Ale dziecku pani tak nie obcina? Stropiła się jeszcze, patrząc podejrzliwie na klientkę, która zaczęła zapewniać, że Dziecku obcina na prosto, a radosny wyraz twarzy Młodzieńca, którego najwyraźniej nie trapiło żadne ukryte zmartwienie paznokciowe, był najlepszym dowodem prawdziwości jej słów.

— Przyjdzie pani za miesiąc — zadysponowała siła fachowa. — I niech pani już nic więcej z tym nie robi!!!

Cóż było robić? Laura, jak ten Paweł z wierszyka, co „ani pisnął, wrócił do siebie i czapkę nacisnął”, niepokieszona wyszła z salonu. Akurat zaczęła się jesień i właśnie — zgodnie z jakąś niezgłębianą logiką — w parku został oddany do użytku wyremontowany plac zabaw. Laura była ogromnie przywiązana do starego placu pełnego zdezelowanych karuzel i niebezpiecznych zjeżdżałni. Gdy w zimie robotnicy zaczęli rozbierać metalowe żelastwo, chciała nawet odkupić po cenie złomu swoją ulubioną huśtawkę, ale nie miała jej gdzie składować. Teraz plac zabaw był istic europejski — nawierzchnia wyłożona tartanem, piaskownice z ujęciem wody i wymyślnymi urządzeniami do kopania, dwa drewniane zamki.

Właśnie zamki wzbudziły największe zainteresowanie Byłego Niemola, który przechylił się z wózka i zaczął w powietrzu przebierać nogami.

— Dzieć idzie — powiedział znacząco do matki, która z westchnieniem skrzyła z głównej alejki w bramkę placu zabaw.

— Dobrze, Dzieciu, pójdiesz, ale nie utyłaj się jak prosię — poprosiła jeszcze, ale bez większej nadziei.

Wyciągnięty z wózka Dzieć nie objawiał najmniejszej chęci do chodzenia; trzymając się kurczowo matki, obserwował bawiące się dzieci i tylko wzdychał coś do siebie.

— Jazda, tchórze — zachęciła, biorąc go za rękę.

Nie było to jednak proste, bo Były Niemowlak w jednej ręce trzymał nadgryzione ciastko (zabranie mu go zakrawało na misję samobójczą), zaś w drugiej idiotyczną książeczkę o gęsi znanej z gościnności, która chciała zaprosić gości. Mimo to była zadowolona — wczoraj na spacer wyszli z poduszką, zaś przedwczoraj ze szczoteczką do zębów, książeczka zatem to duży postęp.

Podejrzewała poważnie, że Dziecko działa tu w stanie głębokiego szoku, spowodowanego likwidacją z jego życia gumowego memła alias smoczka. Postali tak

jeszcze chwilę w milczeniu, po czym Laura pociągnęła Miłosza za sobą, Młodzieniaszek posłusznie zaczął przebierać nogami, tym bardziej ochoczo, im bliżej do piaskownicy.

Piaskownica był to całkiem nowy świat. Zarówno Laura, jak i Młody czuli się tu jak Krzysztof Kolumb czy inny — nie przymierzając — Magellan, zjedzony przez krajowców na Fidżi. Na początku życia w piasku Laura nie miała zbyt dużego doświadczenia (owszem, czytała Diunę Franka Herberta o piaszczystej planecie Arrakis i wiedziała, że w każdej wydmie może czaić się śmiertcionośny czerw), i nie orientowała się w podstawowym sprzęcie. Chwilę później kosz na zakupy pod wózkim pełen był wiaderek, grabek, foremek, samochodzików, a niekiedy Laura posuwała się do tego, że nosiła ze sobą piłkę. Duży błąd. Bez względu na to, co aktualnie kupiła lub wycygała od innych rodziców, Dziecko akurat chciało czegoś, czego właśnie nie mieli. Dzisiaj pożądlivość Byłego Niemowlaka wzbudził osobliwy młynek — plastikowa zabawka w kształcie diabelskiego młyna z gondolkami, w którą sypało się piasek, a gondolki uroczko się kręciły. Prawowitym posiadaczem młynka było Niemieckie Dziecko, przebywające na placu zabaw z Herr Tatusiem. Inni użytkownicy piasku patrzyli na młyn z zazdrością i chętnie pozamienialiby się z Niemieckim Dzieckiem na tę atrakcyjną zabawkę. Niestety, istniał poważny problem — bariera językowa.

Żaden z rodziców zgromadzonych w piaskownicy nie znał tego narzecza, toteż trudno było im wejść w choćby tylko chwilowe posiadanie najlepszej zabawki na placu. „Nie uczyła się pilnie dziewczynka, to Dzieciak nie dostanie młynka” — zrymowała sobie w myślach Laura, przedzierając się w kierunku Herr Tatusia, bo Młodzian, wskazując znacząco na młynek, wydawał z siebie osobliwe dźwięki: „Ygh, ygh”.

— Przepraszam — zwróciła się w dziwnym narzeczu do Herr Tatusia, który na dźwięk znajomego języka odwrócił się rączo. — Czy mogłabym to na chwilę pożyczyć? On — tu wskazała niedbale swego Potomka, który nie tylko ślinił się na widok młynka, ale również przestępował z nogi na nogę — przez chwilę sobie popatrzy!

Oczywiście kłamała, ale Herr Tatuś dał się nabrać i natychmiast oddał zabawkę Miłoszowi. Wszyscy rodzice patrzyli z zazdrością i na pewno wyrzucali sobie, że nie dość pilnie przykładali się do języków. Laura posiadała nad nimi tę wyższość, że oprócz niemieckiego znała jeszcze kilka innych. Oczywiście, sytuacja zaczęłaby się komplikować, gdyby na placu pojawił się mały Turek z rozkoszną czapeczką w kształcie odwróconej doniczki. Jedyne słowo, jakie znała w tym języku, to „Atatiirk”, będące bodaj nazwiskiem jakiegoś bohatera narodowego. No i może jeszcze równie użyteczny w tej sytuacji „kebab”.

Na razie trzeba było jednak spłacić daninę za młynek. Herr Tatuś zaczął rozwodzić się nad swoim ciężkim losem — żonaty z Polką, słabo kumał w dziwnym miejscowym slangu, a tu jakoś niemiecki nie był popularny. Herr Tatuś zatem czuł się na placu nieswojo. Samotnie. Tkwił w opuszczeniu i zazdrościł, że inni mogą sobie pogadać, a on nie. Ale teraz wszystko się zmieniło na dobre, bo poznał Laureę, która na pewno z radością dotrzyma mu towarzystwa. Początkowo nie zamierzała wyprowadzać go z błędu (Były Niemol nadal żywo interesował się młynkiem), ale chwilę później zobaczyła

Rudego, chyłkiem przemykającego przez bramkę na placu i oglądającego się trwożliwie za siebie.

Znała ten wzrok. To była tchórzliwa ucieczka, sama robiła dokładnie to samo.

Zdradzili bowiem Dziadka i ławkę pod Czarnieckim i zaczęli przychodzić tutaj. Porzuciła zatem jodłującego Niemca, wzięła sprzeciwiającego się Młodzieńca za rękę („Nie, synku, to nie jest nasza zabawka, zostaw ją”) i podeszła do Rudego.

— Trzeba iść po Dziadka — powiedział, gdy tylko ją zobaczył. Dolores ze swoim wiadrem właśnie rączo mknęła w kierunku piaszczystej wydmy.

— No — zgodziła się. — Kto pójdzie? Rudy wzruszył ramionami.

— Wiadomo. Ty. Mnie to on by przeklął... Z westchnieniem rozejrzała się po placu.

— Myślisz, że mu się spodoba?

— Raczej nie. Jakby miało mu się spodobać, dawno już by tu siedział...

W duchu przyznała mu rację. Zapakowała Młodzieńca do wózka i przemieściła się w kierunku ławki. Dziadek siedział na niej, a jakże, i to w wyjątkowo podłym nastroju, bo czytał „Rzeczpospolitą” — jeszcze gorzej byłoby tylko wtedy, gdyby złapał się za jakiś tygodnik.

— Panie Stefanie — zaczęła bez wstępów, gdy obrażone oblicze seniora ukazało się zza gazety — pan pójdzie na plac zabaw...

— Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! — tubalnym głosem powiedział Dziadek i ponownie zasłonił się gazetą, by dać Laurze do zrozumienia, że obraza jest ogromna i niewybaczalna.

— Tam jest bardzo fajnie — kontynuowała niezrażona. — Są nowe ławki wokół piaskownicy, kawiarnię właśnie otwarli, można sobie kawkę wypić, są takie zwierakibujaki na złotówki i baaardzo ładne dziewczyny...

Dziadek zaczął nasłuchiwać zza gazety z wyraźnym zainteresowaniem.

— Kawa, powiada pani? A te dziewczyny to pewnie stare ruiny, bo kto może na ten plac przychodzić? Same babcie i stare niańki... — Dziadek złożył gazetę i popatrzył na Laurę. — O Weroniczkę mi chodzi. Pójdę na ten plac i każdy mnie będzie wypytywał: „Taka duża i nie chodzi?”. To co? Każdej głupiej babie mam tłumaczyć, że dziecko niepełnosprawne?

— Przesadza pan i to grubo! — Wzruszyła ramionami Laura. — Dziecku pan dostęp do piasku uniemożliwia, bo się pan wścibskich bab boi! Jakby pan kopa jednej z drugą nie potrafił dać! W życiu się tego po panu nie spodziewałam!

Posadzi się Weronikę w piasku i będzie się bawiła... To pan się przyssał do tego Czarnieckiego jak pijawka! Czas zmienić otoczenie, już za starzy na ławki jesteście! Lepiej niech pan powie, że woli się pan z ławki nie ruszać i lumbago sobie hodować!!! Albo podgląda pan po krzakach, jak pijaki sikają...

Dziadek spojrział na nią przeciągle.

— No też coś! Dobre sobie. Idę — oświadczył bohatercko i popchnął wózek w kierunku wejścia na plac. Rudy podskoczył do nich jak konik polny.

— Znalazłem świetną ławkę! Blisko piasku i kawiarni! Laura ma taką folię, to się dzieciaki posadzi, a my sobie kaweczkę wypijemy...

— Tchórz — ocenił go Dziadek, patrząc z obrzydzeniem. — Nie miało się to odwagi przyjść? Laurę pan wysłał...

Rudy zaczął kręcić palcami młynka i ogólnie wyglądał niewyraźnie, jak w reklamówce rutinoscobinu.

— Nooo, wie pan... Bałem się, że rozbierze pan ławkę na sztachety i mnie pogoni...

— Należało, należało — powiedział już wyraźnie zadowolony Dziadek, bo nianka z sąsiedniej ławki (w średnim wieku) posłała mu miły uśmiech.

Świat placu zabaw był naprawdę lepszy. Laura zauważyła co prawda, że grupa Idealnych Matek także tutaj wylądowała, ale na szczęście osiadły w bezpiecznej odległości.

Nikt się tak nie nudzi w piaskownicy jak nieszczęsny rodzic. Dzieci coś tam sobie budują, obsypują się piaskiem, gonią za sobą z głośnym wrzaskiem, a rodzic zazwyczaj nie ma ochoty na żadną z tych rzeczy. Szuka tylko kogoś, z kim mógłby sobie uciąć pogawędkę. Laura prawie od razu zaczęła odróżniać matki od nianiek.

Większość matek tkwiła ze swoimi dziećmi w piaskownicy i mozolnie napełniała foremki, gadając tylko między sobą. Nianie siedziały zwykle w dużej odległości od wydmy, nadzorując wychowanków zza gazety w stylu „Romans i Łzy”. Szybko okazało się, że piaskownica to prawdziwa szkoła przetrwania. Trzeba bardzo uważać, żeby nie postradać wszystkich zabawek, a nawet nie zostać odepchniętym od piasku. Pewnego dnia do ich piaskownicy wpadła trójka podrośniętych dzieciaków i zagarnęła cały sprzęt, który znalazł się w zasięgu ich wzroku (Młodzieniec pozbawiony swej ulubionej niebieskiej skarbonki chlipnął krótko i schował się matce pod rękaw).

— Ej, dziewczynko, dlaczego mu to zabierasz? — upomniał się o sprawiedliwość Rudy, zagadując najstarsze dziecko, które wydawało się najbardziej kumate.

— My nie przynosimy zabawek — wyjaśniła mu tę oczywistość, patrząc wyniośle.

— A dlaczegoż to? — zainteresowała się inna matka z drugiego końca piaskownicy (jej dziecko zostało pozbawione dwóch samochodzików i piłki).

— Bo mamusi nie chce się nosić!

Laura obróciła się, by rzucić okiem na mamusię. Ujrzała klon Dody Elektrody, ale w podeszłym wieku jakichś dwudziestu siedmiu lat. Prosto z solarki, w białej spódnicy i takichż kozaczkach, z długimi tipsami i opaską w świeżo utlenionych włosach. Jakby tego wszystkiego mało, ze skórzanej spódnicy wylewał się wyraźnie ciężowy brzusek.

Mamusia paliła mentolowego papieroska i patrzyła na Laurę gmerającą w piasku z wyraźnym obrzydzeniem. Fakt, Laura wyglądała dosyć obrzydliwie — ubrana w sztruksową kurteczkę z Allegro, czarne spodni z wyprzedaży oraz dziwaczne buty na

pólszpilce zwane kaczkami — nie obrażając, broń Boże, najwyższych władz państwowych.

— Oddaj to — powiedział tymczasem Rudy do dziewczynki, bo też obejrzał sobie mamusię i szybko doszedł do wniosku, że nie ma co liczyć na jakąkolwiek rodzicielską interwencję. Dzieci uderzyły w ryk, a klon Dody zrugął Rudego haniebnie.

Innym ciekawym przypadkiem była Martynka. Miała około półtora roku i rzucała się na upatrzone zabawki jak lew. Laura starła się z nią na płaszczyźnie wydartej Miłoszowi piłki. Była to piłka nówka, z wizerunkami pastelowych żyraf i słoni, zakupiona w pobliskim kiosku na wyraźne żądanie Młodzieńca (całe szczęście, że chwilę wcześniej znalazła 10 złotych na placu, bo nie byłoby jej stać na ten zbytek za 7 złotych i 10 groszy). Miłosz wpatrywał się w zabawkę z uwielbieniem i w swoim osobliwym języku dawał matce do zrozumienia, jak trafną inwestycją był ten zakup. Martynka podbiegła do Młodego podstępnie od tyłu i błyskawicznie wyrwawszy mu piłkę, uciekła. Laura zaniemówiła, wstrząśnięta szybkością akcji (Blitzkrieg mogłaby wiele zawdzięczać Martynce, gdyby ta zechciała urodzić się jakieś sześćdziesiąt lat wcześniej), a Były Niemol załkał rzewnie. Po chwili osłupienia Laura wystartowała za porywaczką piłek.

Gdzieś z tyłu truchtem podbiegała jej zrezygnowana mamusia, powtarzając w kółko anemicznym głosem:

— Martynko, oddaj chłopczykowi piłeczkę.

W końcu Laura dopadła dziewczynkę i bez ceregieli (za to sycząc znacząco: „Oddawaj!”) zabrała jej zabawkę. Porywaczka zawyla jak ranny łoś, usiłując wydrzeć Laurze łup. Niestety, nie dało się. Obrażona dziewczynka odeszła, ale w tym momencie zauważyła w piaskownicy chłopca z koparką. Zastosowała ten sam manewr co przedtem, ale trzylatek z samochodem był nie w ciemną bity, najwyraźniej znał już te numery. Odepchnął Martynkę, która przewróciła się w piasek i zaczęła płakać. Oczywiście sytuacja świadczyła wybitnie na niekorzyść chłopca („Dziewczynki nie bije się nawet kwiatkiem”), ale w Martynkę błyskawicznie wstąpił duch legendarnych Amazonek. Wstała z piaskowej łachy i rzuciła się na chłopca z pięściami. Podniósł się taki kurz, że Laura nie dostrzegła, kto ostatecznie zwyciężył.

— Widziałeś to? — zapytała Rudego, który trwał w podobnym osłupieniu.

— No, to jakieś wcielenie Agnieszki Rylik, jak Boga Kocham! Matka jej ring powinna kupić i trenera wynająć, najlepiej z Białorusi...

W tym momencie znękana matka Martynki dotarła na plac boju.

— Martynko, uspokój się, bo pójdziemy do domu! — zagroziła bolesciwym głosem, a jej córka — zgodnie z przewidywaniem — wybuchnęła apokaliptycznym wrzaskiem. Laurze zrobiło się żal tej biednej kobiety.

— Nie żałuj jej — stwierdził stanowczo Rudy. — To tak jak w opowiadaniach Nałkowskiej: ludzie ludziom zgotowali ten los, za miękka jest na taką terrorystkę, więc zbiera za swoje. Jestem wielce ciekaw, co z tego będzie dalej...

— Znalazł się psycholog rozwojowy — mruknęła pod nosem, bo generalnie się z nim zgadzała. Z tego wszystkiego zapomnieli o Dziadku obserwującym z ławki przy kawiarni całą scenę z Martynką, która zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do siedzącej w trawie Weroniki.

— Niech pani zabierze tego zwierzaka, zanim kogoś pogryzie — ryknął tubalnym głosem. — Aż strach patrzeć na takie dziecko!

— Ona ma zaburzenia, A D H D — załkała matka, biorąc wierzgającą i szczypiącą dziewczynkę za rękę.

— A D H D — mruknął Dziadek. — Jak zbliży się do Weroniki, to pani zobaczy, jakie ja mam A D H D!

Jak widać, życie na placu w niczym nie przypominało spokojnej egzystencji na ławce, ale Dziadek szybko się zaaklimatyzował. Już po tygodniu miał oddane grono wielbicielek, niań i babci, które otaczały go zwartym wianuszkiem i dosłownie spijały jego słowa. Bo też Dziadek miał o czym opowiadać. Pierwsze miejsce, bezapelacyjnie, zajmowała historia pod tytułem „1970, zimowe podejście na Nanga Parbat, Giinter Messner ginie w lawinie” — zresztą ulubiona opowieść Laury, która zawsze porzucała wiadra, łopatkę i foremki, żeby ponownie jej wysłuchać. Dziadek Weroniki nigdy nie dotarł na szczyt, czego nie mógł sobie darować. Próbował kilka razy, ale mu się to nie udało.

— Może i dobrze — kończył zawsze. — Nie wiem, czy panie wiedzą, że ostatnie badania rezonansowe wykazały u Reinholda szereg uszkodzeń mózgu. To podobno wynik niedotlenienia. Musiał chłopak zapłacić za tę Koronę Himalajów... Zresztą i on poddał się na Cerro Torre, nawet film o tym nakręcili...

Tu zazwyczaj przemądrzała Laura wtrącała, że film Herzoga tylko w zasadniczych fragmentach był zbieżny z historią Messnera, ale Dziadek szybko uciszał ją ruchem dłoni.

— Ja tam uważam, że za wszystko trzeba płacić, jak się przekroczy granicę, to się życiem płaci...

— Ale Messner ciągle żyje — zauważał z kolei Rudy. — Żyje, żyje, ale chory jest... A ten atak niedźwiedzia polarnego na Syberii? Sam mi mówił, że to było dla niego poważne ostrzeżenie!

Dziadek był entuzjastą i optymistą. Niańki i babcie wzdychały i patrzyły na niego z uwielbieniem, a to lubił najbardziej.

— No, Lauro — powiedział więc pewnego dnia, gdy była zajęta prowadzeniem Weroniki po trawie — miała pani rację z tym placem, to całkiem nowy wspaniały świat.

— Jak u Adoulusa Huxleya — dodał Rudy znad Pana Samochodzika i złotej rękawicy, a Dziadek tylko prychnął wyniośle, dając do zrozumienia, co sądzi o tak powierzchownej znajomości literatury.

Słowa nowy wspaniały świat pochodzą z Burzy Szekspira.

Od tego czasu redakcja „Głosu Che Gevary” zaczęła spotykać się w parkowej kawiarence, wprowadzając do niej charakterystyczny dla siebie styl, (czerwone podkoszulki, glany i fantazyjne czapeczki) i stała się obiektem zainteresowania wszystkich nianiek i babć. Od czasu do czasu w okolicach piaskownicy pojawiała się Larwa, której związek z Percem kwitł. Laura zupełnie nie mogła zrozumieć dlaczego.

— On jest masochistą — wyjaśnił jej przystępnie Rudy. — Uwielbia, kiedy kobiety nim pomiatają...

— Kiedy ja nim pomiata, wcale tego nie lubi — sprzeciwiła się, pamiętając ostatnią awanturę z Percem o broszurkę.

— On lubi, jak nim pomiata twoja siostra. — Rudy wzruszył ramionami.

— Aha, to on jest taki wybiórczy masochista, tak? Jak ja pomiata, to mi robi awanturę, a jak Ilona, to rozpływa się z rozkoszy...

— No, coś w tym stylu. Wcale mi się to nie podoba — dodał po chwili. — Twoja siostra jest w stanie zabić w nim jakąkolwiek indywidualność i jeszcze gotowa go posłać do pracy...

— No, to by mu poważnie zaszkodziło na zdrowie — stwierdziła z przekąsem.

— Jeszcze jak! To by go do uwiadu ideologicznego mogło doprowadzić...

— Tiaaaa, strata trudna do powetowania. Rudy spojrział na nią z obrzydzeniem.

— Co ty tam wiesz... Każda kobieta to nienasycona modliszka...

— A na terapii już dzisiaj byłeś? — Zatroscyła się. — Bo wiesz, paranoja to poważna sprawa... Spojrział na nią z góry i wyciągnął z torby Pana Samochodzika i tajemnicę tajemnic, zagłębiając się od razu w lekturze.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Dziwny zapach z cipci.

A: Oj, dziewczyno, nie wiem, co mi się stało, czy to jakieś zapalenie, czy to normalne, od 2 dni po prostu śmierdzi mi z cipci!! To jest tragiczne, myję ją cały czas i nic, za 5 min znowu śmierdzi, a za 4 dni mam termin porodu! Czy to jakieś zapalenie?? Do lekarza już nie idę (chodziłam państwowo) B: Z cipci powiadasz. A czy dodatkowo cipcia piecze cię lub swędzi? Bo to może jakieś muchomorki lub inne podgrzybki pomyliły las z twoją cipcią, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Na grzybki daktarin polecam, akurat przez cztery dni to byś chociaż częściowo je wytepiła.

C: Z cipciulinki ci śmierdzi?... tiaaaaa...

D: Idź do lekarza, sama wiesz najlepiej, jaki zapach ma Twoja „kasia”, więc jeśli wyczułaś coś niepokojącego, to się nie zastanawiaj ani chwili!

E: „Kasia”! Ja ci dam „kasio”! Podpisano: Katarzyna D.

D: No, kiedyś nałogowo oglądałam peep-show, a tam był taki konkurs: „Czyja kasia”, i tak mi się skojarzyło.

A: Dziewczęta pojechałam do szpitala, o dziwo, nie musiałam czekać na przyjęcie, doktor mnie zbadała i powiedziała, że to zwykłe zapalenie. No i przepisali mi antybiotyki.

NA KONIEC ŚWIATA

Pewnego dnia Laura postanowiła wybrać się z wózkiem i Byłym Niemowlakiem na przejażdżkę autobusową. Czas już było rozszerzyć nieco horyzonty, wystawić czubek nosa poza park i udać się z wizytą do koleżanki, która miała willę i ogródek.

Nikt, kto nie porusza się z wózkiem po mieście, nie wie, jakie nastęcza to trudności. Wiadomo, wszędzie schody, żadnych podjazdów, wysokie krawężniki, a na przejściu dla pieszych koło parku jakaś niunia w futrze z nerek parkuje swojego mercedesa i gdy zwróci się jej delikatnie uwagę, odwraca swą wymalowaną twarz, mówiąc z uśmiechem: „Ja tylko na minutkę do sklepu”. I od razu wiadomo, że babsztyl beczelnie kłamie, bo jedynym sklepem w okolicy jest kiosk Ruchu posiadający w asortymencie — obok gazet rzecz prosta — paluszki słone i z sezamem, piłki niemowlęce i coca-colę. Posiadaczka naturalnego futra nie zatrzymała się tu więc — co oczywiste — spragniona najnowszej „Pani Domu” ani półlitrowej butelki słodkiego napoju, raczej nie chciała też kupić kolczastej piłki, obiektu pożądania wszystkich dzieci. Ona przyjechała tu do restauracji mieszczącej się w hotelu, naprzeciwko którego zaparkowała swojego srebrnego metalika (pasującego do nerek oraz makijażu). Pańcia jest jakąś bizneswoman, właścicielką solarium z sauną albo biura nieruchomości i — mówiąc językiem Mickiewicza — piwa sobie na matki i ich problemy. W środkach komunikacji miejskiej jest jeszcze gorzej. Tam zamiast bizneswomenek w norkach mamy walczne babunie. Jak wiedzą wszyscy doskonale, walczna babunia przemierza miasto wzdłuż i wszerz o każdej godzinie i o każdej porze roku. Na nic komunikaty pogodowe, gdy kraj jak długi i szeroki męczą fale morderczych upałów, a karetki odwożą zemdlonych staruszków na pogotowie. To nie jej tyczy się info: „Osoby starsze i cierpiące na zaburzenia krążenia nie powinny wychodzić dzisiaj z domu”. Ona nie jest starsza i nie cierpi. I nawet jeśli podpira się laską albo nawet chodzi o kulach, nigdy nie posłucha ślicznej panienki z telewizora, przestrzegającej w zimie przed lodem, śniegiem oraz gołoledzią i upraszającej w imieniu zaharowanych pracowników szpitalnych gipsowni o ograniczenie spacerków. Nie. Walczna babunia i tak wyjdzie, bo ma sprawę niecierpiącą zwłoki: pod Halą Targową jest najtańsza rzodkiewka, na placu Na Stawach sprzedają najświeższe nóżki wieprzowe, w Kocmyrzowie codziennie stoi taka baba z serem białym, w Zielonkach darmo rozdają kalendarze na zeszły rok i tak dalej, i tym podobne. Babunia ma bilet darmowy, dużo czasu, to sobie jeździ. Typowa przedstawicielka tego gatunku jest osobą dużych gabarytów (zajmuje w autobusie mniej więcej tyle miejsca co Laura, wózek i Były Niemowlak), ubraną z niedbałą elegancją (najbardziej rozpoznawalnym elementem są buty, tak zwane emerytki, czyli niesamowicie rozczłapane półbuty do kostki, wykonane z materiału przypominającego skrzyżowanie gumy z tekturą), w której obrazie dominuje wysoki — siwy lub farbowany — kok.

Kiedy Laura dotarła do przystanku, czekały tam już trzy walczne.

Przepychały się na dziesięciometrowej ławce, bo wszystkie nie mogły się zmieścić ze swoimi betami. Dwie najwyraźniej jechały na cmentarz, gdyż wiozły ze sobą igliwie oraz znicze. Jedna była w trakcie zakupów. Co chwila oglądała przepastne kraciaste torby (patent zaczerpnięty od Ukraińców, którzy w owych siatach trzymali cały swój kramik na sprzedaż). Sprawunki najwyraźniej zbliżały się do końca, bo w torbach znalazły się już i serek, i nóżki wieprzowe, i butla wiejskiego mleka, i świeżuśkie bułeczki (jeżeli masz jeszcze wątpliwość, czy spotkałeś na swej drodze waleczną babunię, posłuchaj, jak mówi do ekspedientki — jeśli domaga się „świeżuśkiej szyneczki”, grymasi, że nóżki są „stare” albo przelicza „pieniążki”, to tak! To na pewno jest ona).

Babunie spojrzały na Laurę, a ona na nie. Wzrok trzech weteranek mówił wyraźnie: „Nie wsiądziesz!”, ale matka dziecka miała na ten temat inne zdanie.

Gdy tylko zobaczyła nadjeżdżający autobus (babunie go nie zauważyły — kurza ślepotą i inne dolegliwości oraz konieczność ciągłego nadzorowania siatek osłabiły ich czujność), szybko zbliżyła się do krawężnika, gdzie wedle jej oceny winny znaleźć się drzwi oznaczone znacznikiem „dla wózków”. Babcie, choć, jak widać, spóźnione w blokach, wystartowały błyskawicznie. Zebrały torby w sekundę i rzuciły się, by odepchnąć Laurę od drzwi. Chwilę walczyła, ale była sama jedna, a one trzy. Gdy nadjechał niebieski środek komunikacji miejskiej, zdołała tylko nacisnąć przycisk, sprawiający, że autobus przysiadł przy krawężniku, a babunie, odpychając ją brutalnie, rzuciły się do środka. Tam stoczyły prawdziwą walkę o wolne i wygodne miejsca (żadna z nich nie chciała jechać na kole). Laura zgnębiona swoją porażką, odczekała, aż ludzie wysiądą, a potem wtoczyła wózek do środka. Babcie tymczasem umościły się już wygodnie z torbami. Laura doszła do wniosku, że jak się przetrzymało czterdzieści lat PRL-u, wojnę (drugą światową, a może i pierwszą?), jest się materiałem nie do zdarcia. Po czym obiecała sobie solennie nigdy nie ustąpić takiej miejsca w tramwaju. Została stratowana, popchnięta, a wieczorem odkryła na nodze pokaźny siniak — ślad po lasce jednej z walecznych.

Pamiętacie taki skecz Monty Pythona o bojówce starsuszek napadających na młodych mężczyzn w centrum Londynu? To było właśnie coś takiego.

„Powinni odebrać im emerytury” — dumiała, patrząc na przesuwaną się za oknem krajobraz. — „I zagonić do pracy. Nadawałyby się na strażniczki w domu poprawczym. Albo w wyjątkowo ciężkim więzieniu, jak to na Siklawie”.

Od razu przypomniał jej się post, który przeczytała na jednym z forów, gdzie toczyła się burzliwa dyskusja (z drastycznymi przykładami) dotycząca ustępowania miejsca. Elza⁷⁸ tak scharakteryzowała problem: „Najlepiej wsiadać na początkowych przystankach, normalnie to, co tam się dzieje, to bitwa pod Grunwaldem, a jakie cudowne ozdrowienia można zaobserwować podczas biegu po miejsce, to szok... Baby laski i łokcie w górę, siaty w rękę i dawaj się przepychać — horror... Można by dla rumpli spartakiady organizować, a dyscypliny coś w stylu: «skok przez krawężnik», «walka z ciężarną o miejsce», «rzut siatką», «pchnięcie kulą», «szermierka na laski» i tak dalej... Wiecie, co jest najśmieszniejsze... te babcie, które naprawdę wymagają tego, aby

im miejsca ustąpić, najczęściej przegrywają z bezczelnymi ropuchami, które kondycję mają na sto dwa i roszczeniowy stosunek do życia...".

Laura z Byłym Niemowlakiem wysiedli pod kinem. Mogli jechać dalej, ale zdołowana aktualnymi wypadkami matka doszła do wniosku, że czas na spacer.

Ruszyła więc przed siebie. Koleżanka mieszkała na tej samej ulicy, co właściciel jednego z dwóch pierwszoligowych krakowskich klubów piłkarskich, którego od niedawna w mediach zaczęto nazywać (nie wiedzieć czemu) „Januszem F.” albo żeby było jeszcze śmieszniej: „prof. Januszem F.” „Prof. Janusz F.” został bowiem parę dni wcześniej aresztowany — Laura myślała, że za korupcję w piłce nożnej — ale wcale nie: za podrobienie podpisu na kontrakcie piłkarza. Szczerze wątpiła, aby prof. F. cokolwiek podrabiał, wyobrażała go sobie nawet, jak z wyciągniętym językiem, przy migotającym świetle świecy (akcja toczy się w komórce pod schodami) ćwiczy podpis piłkarza Drumlaka, by go potem uroczyście podrobić.

Wszystko to wydawało się absurdalne, ale fakt faktem: prof. F. spędził noc w policyjnej izbie zatrzymań, a potem go wypuszczono. Choć kibicowała zdecydowanie innemu klubowi, to jednak — gdy prof. F. zatrzymał się swym samochodem przed przejściem dla pieszych, by przepuścić ją z wózkiem — pomachała do niego przyjaźnie. Profesor — jak nie przymierzając w TransAtlantyku Gombrowicza — odmachał jej z uśmiechem. Bardzo chciała go zapytać, czy oceny egzaminacyjne swoim studentom także podpisuje jako tajemniczy „F.” i czy mąż jej przyjaciółki — doktorant profesora, będzie musiał mówić, iż jego promotorem był F., którego niewyraźny, jednoliterowy podpis widnieje na dokumencie z obrony.

Tak rozmyślając, szła z wózkiem przez elegancką dzielnicę. Sklepy tu były jakiejś lepsze, same „Domy wina”, „Enotecas”, „Delikatesy kolonialne” („Mam nadzieję, że nie hołdują tradycji kolonializmu i nie pracują u nich niewolnicy” — skonstatowała ponuro, wzruszeniem ramion kwitując anons Kawior z bielegi w promocji). Ale, ale — zupełnie nagle, zza zakrętu wyłonił się „Second-hand Markowy”. Sklepek ten pasował tu jak dziura w moście, a jeszcze w dodatku bezwstydnie rozpierał się między jedną enoteką a drugą. Nie czekając mało wiele, wepchnęła wózek do środka, bo kątem oka zobaczyła na wystawie ogrodniczki chłopięce. Zasmucona ekspedientka przywitała ją z radością i nadzieją. Laura zagadnęła o ogrodniczki. Tak, są i ogrodniczki, i kurteczki, i bluzy, i polarki. Jest w ogóle wszystko. Laura pożądliwie przebierała w dziecięcych szmatkach, a od marek kręciło jej się w głowie.

— Ile to kosztuje (podała spodenki), i to (niebieski polarek), i może to jeszcze (jasnozielona kurtka wiosenna z metką).

— Na wagę. — Ekspedientka uśmiechnęła się przepaszająco. — Dziesięć pięćdziesiąt — podliczyła, a Laura otworzyła usta, zupełnie jakby miała w nich trzeci migdał (niezoperowany).

Matka wybrała jeszcze kilka rzeczy i młody człowiek był za 30 złotych obkupiony na całą wiosnę.

— Może dla siebie pani coś wybierze? — zachęciła ekspedientka. — Mamy śliczne spódnice, bluzeczki...

— Dżinsów bym potrzebowała — stwierdziła Laura, rozglądając się niepewnie. — Do piasku...

Osobom, które nie bywają w tego rodzaju sklepach, kierując się całkowicie zrozumiałym i godnym najwyższej pochwały obrzydzeniem, należy się pewne wytłumaczenie. W ciuchu kupi się praktycznie wszystko w najlepszym stanie i gatunku, tylko jedne dżinsy zawsze wyglądają fatalnie. Tak już jakoś jest, że spodzień taki zawsze jest znoszony, wystrzępiony i ogólnie wygląda jak brudna szmata. Laura zatem, miłośniczka dżinsów (praktyczne, trwałe, łatwo się piorą), musiała co jakiś czas zaciskać mocno zęby i asygnować ze swych mikrych dochodów 100 złotych. Bolało. I to bardzo. Jej marzeniem było zatem znaleźć second-hand, w którym sprzedawano by nowe dżinsy, jakieś końcówki kolekcji, bądź zakurzone modele z wystawy. Ale takie sklepy po prostu nie istniały. Do czasu, kochana, do czasu... Wystarczyło wybrać się jedynie w okolice zamieszkiwaną przez prof. Janusza F. i oto miała w rękach dżinsy Vero Moda z metką.

— Za małe będą — zaczęła, ale przyjazna ekspedientka pokręciła głową przecząco.

— Będą dobre, zobaczy pani.

Zobaczyła. Były dobre. Co więcej, ich dobroć polegała również na tym, że kosztowały 15 zetów (na wagę).

— Przyjdzie pani jeszcze? — zapytała z nadzieją ekspedientka. — Źle wybraliśmy punkt, nikt tu nie zagląda, za elegancka dzielnica na taki sklepik... Ale wie pani — brat prowadzi tu sklep z winem, odstąpił mi połowę lokalu...Wszystko z Hiszpanii sprowadzam, końcówki, wyprzedaje i nic mi nie idzie...

— Niech pani będzie spokojna — powiedziała jej Laura. — Jeszcze dzisiaj napiszę o pani na forum dla matek. Autobusy zaczną tu zjeżdżać...

— Naprawdę? — rozweseliła się kobieta, która, jak widać, była równocześnie nieszczęsną właścicielką tego przybytku. — Pani jest dziennikarką?

— Dziennikarką? — zdziwiła się Laura. — Dlaczego?

— No, bo mówiła pani, że napisze...

— Aaa, na forum napiszę... Ja tylko matką jestem, a wie pani, jak to jest, w świątku matek ciągle biją tam-tamy, gdzie tu jest w mieście coś ciekawego i niedrogiego...

— Bluzeczkę pani dam gratisowo — zadeklarowała się właścicielka. — Niebieską, będzie pasowała do dżinsów...

— Ueeee, nie, łapówek ja nie biorę, reklamuję całkowicie za darmo... — skrzywiła się Laura. Panienka wyciągnęła z bocznej szafki przecudną bluzeczkę.

— Śliczna, prawda? — spytała retorycznie, a Laura zaczęła rozumieć, skąd bierze się korupcja.

— Śliczna, ale dziękuję. Naprawdę napiszę o pani sklepie z przyjemnością.

Gdybym wzięła bluzeczkę — powiedziała makiawelicznie — nie byłabym wiarygodna, prawda? Że niby piszę dobrze, bo coś dostałam...

— Słusznie — zdecydowała właścicielka, pakując Laurze bluzeczkę do siatki.

— Poproszę o pięć złotych. To będzie z bonifikatą za duże zakupy.

To mogła jakoś przełknąć. Podała monetę i wycofała Byłego Niemowlaka ze sklepu.

— Rany boskie, gdzieżeś ty była? — zawołała Beata, gdy Laura wraz z wózkiem, idącym w pełnym obciążeniu (Młodzieniec plus zakupy), ocierając pot z czoła, dotarła na wzgórze, na którym mieściła się siedziba koleżanki.

— Daj mi spokój. Płuca wyplułam pod tę górę jak Waryński w Cytadeli...

— Waryński wypluwał płuca w Schlisselburgu — pouczyła ją przyjaciółka, wykładowca akademicki.

— Aleś się objuczyła jak wielbłąd — stwierdziła, zaglądając do zakupów. — Po co ci tyle ubrań dla dziecka? Co tu, Syberia jest? Druga kurtka?! Spodnie dwie pary? Sześć swetrów?! Oszalałaś?

— Zrobiłam zakupy w sklepiku na dole — odpowiedziała z wysiłkiem Laura i oparła się o usłużny klombik przed drzwiami wejściowymi do domu Beaty.

— Jaki sklepik? — zainteresowała się koleżanka, badając zakupy bardzo wnikliwie. — Co to, butik Baby Dior u nas otwarli? Nawet by pasował do tych wszystkich alkoholowych, po alkoholu, wiadomo, hamulce puszczają i do Baby Dior niedaleko...

Laura wołała nie komentować. Uznała, że Beata jest specjalistką od polibacyjnych wpadek. Jej pierwszy syn był efektem wycieczki rowerowej na Mazury, piwa pod gołym niebem i niewinnego pytania Wojtka: „Kochanie, czy dzisiaj można?”, „Można, można” — odparła znieczulona Beata i równo w trzy kwartały później urodził się Szymek. Jeżeli chodzi o drugiego syna, Adasia, Beata się nie zwierzyła, jakie były jego początki, ale sam fakt, że urodził się we wrześniu, dawał co nieco do myślenia.

— Żaden Baby Dior — powiedziała więc, zabierając torebeczki (koleżanka właśnie dobrała się do džinsów i niżkowej bluzeczki z głośnymi okrzykami zachwytu). — To second-hand pod twoim domem...

— Żartujesz! — Beata oderwała się na chwilę od grzebania w rzeczach (wydarła Laurze wszystkie reklamówki jak mała Martynka dzieciom piłki w piasku). — W życiu nie byłam w takim sklepie...

— To czas najwyższy to nadrobić — powiedziała Laura, zabierając swoje zakupy w zdecydowany sposób. — Pół życia zmarnowałaś, koleżanko, ale może jeszcze coś da się uratować... Myślisz, że jak mieszkasz koło Janusza R, to taka z ciebie wielka dama...

— Janusz F.H! Chłe, chłe, chłe. Dobrze — zaśmiewała się Beata, wprowadzając Laurę i Byłego Niemowlaka do ogrodu.

Ten ostatni, zmęczony sklepem i wyprawą na koniec świata, kimał spokojnie w wózku. Laura opuściła oparcie, przykryła Dziecię kocykiem wyciągniętym z przepaścistego kosza pod wózkiem i usiadła na ogrodowej ławce. Grill, ustawiony pod

ogrodzeniem, pachniał zachęcająco, a do ogródka wtoczyli się Szymek i Adaś na plecach Wojtka.

Po chwili Beata wyłoniła się z drzwi balkonowych, ubrana w płaszcz, w jednej ręce trzymała dzbanek z kawą, a w drugiej portfel.

— Wiesz co, dałaś mi do myślenia. Zejdę do tego sklepu, może coś znajdę.

Tylko powiedz mi, jak to się szuka, boja nie wiem, nie umiem...

Laura obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

— Jak nie umiesz, to się nie nauczysz. Idź i szukaj, jak coś przyniesiesz, to znaczy, że umiesz... Pani domu posłusznie zniknęła za furtką.

— Tylko nie zapomnij powiedzieć, że ja cię przysłałam, opisz wózek i Młodego, jego zawsze pamiętają. Może coś gratisowo dostaniesz...! — wrzasnęła za przyjaciółką, że wróble pospadały z dachu, ale Były Niemol nawet nie drgnął we śnie.

— Dokąd poszła mamusia? — zapytał Szymon, błękitnooki cherubinek, opierając się na kolanach Laury i patrząc jej badawczo w oczy.

— Mamusia poszła na polowanie — odrzekła. — Zobaczymy, czy ma talenty myśliwskie...

— Na mamuta poszła, na mamuta? — zapytał czterolatek Adaś, a Laura pogratulowała sobie, że przyniosła mu w prezencie Wędrowni z dinozaurami.

— Na coś w tym stylu — odpowiedziała więc i rzuciła do zdziwionego Wojtka:

— Poszła do ciucholandu, coś dla siebie wygrzebać...

— Ja cię kręcę! — Potrząsnął głową senior rodu. — Koniec świata! Pani doktor grzebie w szmatach. Laura, bądź boska jak diabli i przypilnuj chłopaków, boja muszą lecieć i fotki strzelić. Będę ją szantażował, że je opublikuję w internecie.

— Podły jesteś, nie ma co — zniesmaczyła się bezbrzeżnie.

— Gdzie ten sklep?

— Pomiędzy promocją kawioru z białugi a drogą wódką.

— Aha — zajarzył błyskawicznie. — Lecę, lecę — zaśpiewał falsetem, po czym zaniknął i tylko się za nim kurzyło...

— Dokąd poszedł tatuś? — zapytał ufnie Adaś.

— Tatuś poszedł podglądać mamusię — wyjaśniła Laura, ale ponieważ wydało jej się to niepedagogiczne, szybko dodała: — Do sklepu oboje poszli, ale zaraz wrócą, kochanie... Wieczorem Laura zaanonsowała na forum nowy sklepik z atrakcyjnymi towarami. Wiadomo, robiła to niejako przeciwko sobie, takie informacje dobrze jest zataić i korzystać z nich egoistycznie, ale bez przesady — ile razy w roku odwiedzi Beatę. Poza tym sklep mógłby (nie daj Boże!) zbankrutować, a wtedy już nikt się na nim nie pożywi.

„Sweterek 5 złotych, spodnie dżinsowe 15. Zobaczyć dumną minę Beaty wracającej z dwoma worami ciuchów dla dzieci i wyjściową garsonką oraz autentyczną ekstazę

Wojtka, który nabył garnitur oraz kompletny strój nurka — bezcenne".

Kilka tygodni później Laura dostała maila: Pani Lauro, znalazłam Pani adres przez portal internetowy, na którym zareklamowała Pani mój sklep. Chciałam Pani serdecznie podziękować, już pierwszego dnia przyszła Pani Koleżanka, a potem miałam coraz więcej klientek. Pytałam je, skąd wiedzą o sklepie, i okazało się, że z tego forum. Zaczęły też przychodzić ich koleżanki i interes się rozkręcił.

Mój mąż mówi, że powinnam Pani wódkę postawić, ale Pani pewnie niepijąca („Chłe, chłe, chłe" — pomyślała Laura). Towar co prawda schodzi na bieżąco, ale odłożyłam kilka rzeczy dla Pani synka. Proszę wpadać, kiedy tylko Pani chce.

Bardzo wdzięczna Łucja Turska. Zabrała wydrukowany mail do parku i przeczytała go Rudemu.

— No, dobry człowiek z ciebie, Laura. To chciałaś usłyszeć? Ociemniałego przeprowadzisz przez ulicę, żebrakowi dasz pięć groszy, sklepik podźwigniesz z upadku...

— Głupiś — oburzyła się. — Wcale mi nie o to chodziło...

— A o co? — drążył upierdliwy jak Pchła Szachrajka. — Tylko nie mów mi, że ci nie było przyjemnie, jak cię ta panienska okrzyknęła zbawczynią...

— Wcale mnie nie okrzyknęła... — Postanowiła zmienić front. — Ty pewnie dlatego tak mówisz, bo nie popierasz ciucholandów...

— Ja? — Uderzył się w piersi. — Choć tam nie kupuję, jestem ich żarliwym wyznawcą! Jako anarchizujący komunista jestem za redystrybucją wszelkich dóbr i promotorem hasła: „Wyrzucona przez Jolantę Kwaśniewską torebka Diora wróci do ciebie".

— Do Kwaśniewskiej, znaczy? — spytała wnikliwie.

— Nie bądź durna. Wróci do ludu.

— A, do ludu niby... No, może ona i wróci do ludu, ale co na to ten lud?

— Ano właśnie — zasępił się. — Nie wiem, czy słyszałaś, ale jest taki ruch ekologiczny, nazywają się freeganie, ograniczają konsumpcję do minimum — nie mają lodówek, telewizorów, jedzenie zdobywają na śmietniku...

— Uee, to jedna moja sąsiadka jest freeganką! — Rozentuzjzowała się Laura. — Widuję ją przez okno, jak codziennie grzebie w śmieciach, potem znosi do domu foliowe torby i kawałki zjełczałego chleba, który kroi dla gołębi...

Rudy popatrzył na nią z niepokojem.

— Żartujesz, prawda?

Pokręciła przecząco głową. Sąsiadka stanowiła dla niej wielką zagadkę. Ani młoda, ani stara, wiek nieokreślony, jak to bywa w okolicach czterdziestki. Nie zdradzała absolutnie żadnych objawów choroby psychicznej czy innych zaburzeń, osoba miła i serdeczna, ale miała dość uciążliwe hobby — całymi dniami szperała w kontenerach na śmieci. Laura doskonale знаła jej codzienną marszrutę, bo zbieraczka działała zgodnie z

wypracowanym w ciągu wielu lat planem. Pierwszy raz wyruszyła około szóstej rano badać śmieci nocne — pora dobrana idealnie, bo żaden pijaczek śmiecionurek nie był w stanie podźwignąć się na tę godzinę.

Wracała około siódmej, przygotowywała siaty dla ptaków, a w kolejny kurs wyruszyła o dziesiątej. Dość powiedzieć, że chodziła tak przez cały dzień, a działalność artystyczną kończyła koło dwudziestej pierwszej.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — Rudy był wstrząśnięty. — Śledziłaś ją?

— Coś ty, po prostu mieszkam naprzeciwko altanki śmietnikowej, wszystko widzę przez okno. Jak Miłosz był mały, bez przerwy siedziałam w kuchni, gotując coś, pilnując pralki i tak dalej, to się napatrzyłam... Myślisz, że ona jest freeganką?

— Raczej nie. Informacja o śmietnikach była figurą stylistyczną, zwaną wyolbrzymieniem...

— Hiperbolą, znaczy się? — uściśliła.

— Tak, hiperbolą. Oni biorą żarcie ze sklepów i restauracji, które jest już niepełnowartościowe, ale niezepsute, i raczej nie wybierają z kontenerów na odpadki...

— Mięczaki — skonstatowała Laura. — Mogliby się uczyć od mojej sąsiadki, ona jest prawdziwą freeganką, w czystej — jeśli mogę to ująć — formie. Zresztą jest bardzo czysta, zawsze sobie wyklada brzeg kontenera gazetą, zanim się w nim zanurzy...

Rudy miał dziwny wyraz twarzy.

— Wiesz co? Odkąd cię znam, to się zastanawiam, czy ty te historyjki wymyślasz na poczekaniu, czy rzeczywiście ci się to wszystko przydarza... Ty dziwna jesteś, wiesz?

— A ty to niby nie?

— Też prawda — zgodził się Rudy. — A oprócz tych freegan to są też tacy, którzy wszystko kupują w second-handach...

— Bieliznę i buty też? — zainteresowała się.

— Wszystko. Jak się brzydzą używanych, to chodzą bez majtek, takie zasady tam panują. Bardzo mi się ten ruch podoba. Jak taki chce mieć coś ze sprzętu AGD, to idzie na wyprzedaż garażową, jak potrzebuje ubrania, idzie do ciucha...

Więc sama widzisz, że popieram twoje działania...

Laura wygodnie rozsiadła się na ławce, nie przestając nadzorować Byłego Niemowlaka, który z wyciągniętym językiem przesypywał piasek z wiadra do miski i z miski do wiadra.

— W ogóle wiesz co? — odezwał się znowu Rudy (nie wiedziała co, bo i skąd?). — Ty to wszystko wiesz, gdzie można coś dostać, taniej kupić, chodzisz tylko i węszysz...

— No — przytaknęła z zadowoleniem. — Guziec roku ze mnie j est, nie?

— Tak. Zachowując proporcje — prawie jak twoja sąsiadka, tylko ona jest bardziej od ciebie radykalna... Ale nieważne. Gadaliśmy ostatnio w redakcji, że przydałoby się

nam ożywić stronę internetową... Może byś napisała taki przewodnik po tanich sklepach... No wiesz, gdzie dla dziecka coś fajnego, gdzie książki, ciuchy...

— Poważnie? — ucieszyła się.

— No. Z tego twojego kryminału nic nie będzie, zabierz się lepiej do czegoś pożytecznego, co się ludziom przysłuży...

— Dlaczego nic nie będzie? — obruszyła się. — Niby skąd wiesz...

— Nie piszesz — stwierdził. — Widzę, że nie piszesz. Czasu nie masz i się frustrujesz. Do pisania trzeba odrobiny egoizmu, jak mawiał Lew Tołstoj. Trzeba olać rodzinę, Byłe Niemowlaki oddać na wychowanie i pisać, pisać, jak Balzak po czterdzieści stron dziennie...

— Balzak w życiu nie napisał czterdziestu stron dziennie, nie zalewaj. Gdyby tak pisał, to wydawałby dwie książki w miesiącu... — zaproponowała, ale wiedziała, że Rudy miał rację. Brakowało jej czasu na pisanie. Żeby dobrze opracować pomysł, trzeba zebrać kupę materiałów, przeczytać stopy starych gazet, dopracować idee. Przez pół roku napisała nędznych trzydzieści siedem stron legendarnego bestsellera i w dodatku zaczęła tracić wiarę w swoje siły. A jeżeli powieść się nie spodoba? Ona machnie trzysta stron drobnym maczkiem, a w redakcji ją wyśmieją jako grafomana, a jej dzieło zostanie poddane oczyszczającemu działaniu płomieni... „Łeee, nie można tak myśleć” — skarciła siebie samą.

Ostatnio przeczytała, że jakaś czternastoletnia gwiazda hip-hopu pisze autobiografię, powieści napisali już chyba wszyscy, nawet jeden polityk tworzy bajki dla dzieci. Dlaczego jej miałyby się nie udać?

Choćby dlatego, że nie miała czasu. Albowiem życie matki nie jest łatwe.

Tak rozmyślając, Laura ani się obejrzała, a stała się członkiem (członkinią) zespołu redakcyjnego „Głosu Che Gevary”.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Seks astralny

A: Seks astralny. Czy ktoś wie, jak się przed tym bronić?

B: Nie wiem, jak się przed tym bronić, bo nawet nie wiem, co to jest ten seks astralny. Seks w gwiazdach?

C: Nie, seks z kosmitą! Do głowy przychodzi mi jeszcze dziadek Tuska.

D: To pewnie seks w opłu astra...

E: Czyli jedyna obrona: nie wsiadać do astry! A poważnie — na czym sprawa polega?

A: To się zdarza co noc. Zapachu żadnego nie czuję, gwałt odbywa się w pozycji klasycznej o 4 rano. Zaprosiłam egzorcystę do domu, podobno przegnał jakiegoś ducha esesmana, ale to dalej leci. Co robić?

F: Kobieto, na co czekasz? Idź na policję i oskarż tego ducha o gwałt. To może być duch, seryjny gwałciiciel. Ileż on przez te wieki musiał kobiet zgwałcić!

G: Duch esesmana powiadasz, rany!

F: Pewnie w czarnym mundurze i oficerkach... Z pejczem?

H: A nie lepiej seksić się w realu???

I: Można w Realu, ale fajnie też jest w Biedronce...

J: Ło matko i córko. Umarłam ze śmiechu. Ja też chcę seksu astralnego. Czy to się gwiazdy w oczach widzi, czy coś?

K: Zakładaj mu astralną prezerwatywę, żeby nie złapać jakiegoś astrowenerycznego syfu!

L: Co robić? Leczyć się!

STRASZNE WYDARZENIE

Pewnego dnia Laura jak zwykle wracała z parku ulicą Wesołą. Ciągnęła Byłego Niemowlaka za rękę, bo taki powrót zabierał im obecnie mniej więcej czterdzieści pięć minut (w wózku dziesięć), bowiem Młodzieniaszek musiał dotknąć prawie każdej płyty chodnikowej, zanurzyć się w absolutnie każdej kałuży, obskubać każdy krzaczek. Zatrzymali się właśnie przed domem z numerem 36, jedynym na całej ulicy, który nie posiadał jeszcze ozdobnego ogrodzenia. Był to bardzo zaniedbany dom — tynk obłaził, a okna na półpiętrach korytarza w ozdobnym stylu art deco były od lat nie tylko nieodnawiane, ale i niemyte.

— Chodź już, grzdyłu mały, — niecierpliwiła się Laura, którą czekały jeszcze zakupy, gotowanie i sprzątanie.

W tym momencie czuła się mniejszością bardzo uciskaną — nie dość, że musi eskortować z parku wolnobiegacza wzrostu osiemdziesiąt sześć centymetrów, to po powrocie do domu, zamiast, jak każdy uczciwy człowiek po trzech godzinach gmerania w piachu, zaleć z kawą i gazetą na sofie, będzie musiała od razu rzucić się do podgrzewania zupy. Dziecko bowiem wyciągnie oskarżycielsko rączkę w kierunku kuchenki i wyrzeknie solennym głosem: „Mamma, mniam, mniam”.

Ale Dziecinka puszczała wszelkie prośby matki mimo uszu. Aktualnie była pochłonięta skubaniem żywopłotu. Laura czekała tylko, aż zza firanki na parterze wychynie oburzona twarz, po niej pojawią się nie mniej oburzone ręce, które otworzą okno, a oburzone usta zrugają ich bezwzględnie. Nic takiego się nie stało, tylko z domofonu zaczął wydobywać się nieziemski głos. Znała już takie przypadki - dokładnie taki sam głos wydobywał się z domofonu u jej rodziców. I nie był to wcale duch czasów ani żadna inna nadprzyrodzona istota, ale jakieś zwarcie w instalacji.

Tym razem nie było to zwarcie. Z dziwnego rżenia udało się wyodrębnić słowa. Ktoś ewidentnie wzywał ratunku. Zaintrygowana Laura pociągnęła Byłego Niemola za rękę i podeszła do domofonu.

— Ratunku! Czy jest tam ktoś? Czy ktoś mnie słyszy? — odezwał się spośród szmerów instalacji ten sam drżący głos.

— Ja pana słyszę — powiedziała i od razu uświadomiła sobie, jak idiotycznie to brzmi. — Jestem na dole, pod domem.

— Czy może mi pani pomóc? Leżę na podłodze, nie mogę wstać, strasznie mnie boli...

— Na którym piętrze pan mieszka?

— Na czwartym...

— Czy może mnie pan wpuścić? — spytała, szturmując drzwi wejściowe z Byłym Niewolakiem na rękach. Drzwi się otwarły i znaleźli się w środku.

„Pal sześć wózek” — pomyślała — „i tak nie jest już potrzebny, skoro Smród sam chodzi”. Trzy piętra pokonali w ekspresowym tempie, na półpiętrze czwartego dostała zadyszki. Dziecko, zupełnie nie zdając sobie sprawy z grozy sytuacji, nuciło wesoło pod nosem melodyjkę z reklamy telefonów komórkowych.

— Muszę odpocząć — stwierdziła, stawiając Młodego na schodach i ocierając pot z czoła.

Wszystko jej przeszkadzało: za długa kurtka, założony pomimo słonecznej pogody szalik i wreszcie torba przewieszona przez ramię. Po minucie poczucie obowiązku zwyciężyło i dowlokła się na ostatnie piętro. Nie było mowy o pomyłce — były tu tylko jedne drzwi. Zapukała.

— Jest pan tam?

— Jestem — odpowiedział bardzo słaby głos. — Nie wejdzie pani, bo zamknięte, a ja nie mogę sięgnąć do zamka...

Laura obejrzała drzwi. Tak jak myślała — cuchały. Na blokowisku, gdzie spędziła większą część życia, wszyscy mieli takie zamki, otwierało się je łatwo, spinką do włosów, grubą igłą, cienkim szydełkiem lub drutem. Dzieciaki nagminnie gubiły klucze i był to jedyny sposób, aby dostać się do środka.

— Pan poczeka, otworzę spinką — powiedziała, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu odpowiedniego sprzętu.

Nie nosiła co prawda przy sobie akcesoriów szopenfeldziarskich (bo i po co), ale wreszcie po długim grzebaniu znalazła spinacz biurowy. Zagięła go fachowo i po kilku sekundach manipulowania w zamku zasuwa puściła. Na podłodze w korytarzu leżał starszy mężczyzna w sztucznych spodniach i wełnianej kamizelce, na nogach miał skórzane buty, co należało poczytać za oznakę elegancji (spodziewała się raczej filcowych ciapów). Człowiek ten oddychał bardzo ciężko i ciągle się dusił.

— Spokojnie — rzekła, sama w stanie skrajnej paniki. — Podniosę pana, dobrze?

Były Niemowlak zaczął ciekawie zaglądać do wnętrza mieszkania, z radosnym uśmiechem na swym pogodnym dziobku. Starszy pan uśmiechnął się do niego z wysiłkiem.

— Chyba... Mam... złamaną nogę... panienko... Laura nie wdając się w dyskusję, wyciągnęła komórkę i wybrała numer alarmowy. Robiła to pierwszy raz w życiu i poważnie obawiała się, że zgłosi się straż pożarna lub policja. Zgłosiło się pogotowie i na szczęście nie trzeba było przez telefon dyktować numeru PESEL chorego, numeru dowodu oraz NIP-u, co miało miejsce, gdy Larwa we wczesnym dzieciństwie zatrula się czadem. Nieszczęsna właśnie odzyskała przytomność po dwuminutowej zapaści, a pani dyspozytorka zażądała PESELU i numeru legitymacji szkolnej delikwentki.

— Czy mogę jakoś panu pomóc? — zapytała. — Podać jakieś leki, zrobić zastrzyk może?

Nigdy w życiu nie robiła zastrzyku człowiekowi, kotu owszem, jak najchętniej, ale ko ty — o czym wiedzą wszyscy hodowcy — mają wyjątkowo grubą skórę.

— Nie, nie — wychrypiał chory. — Proszę tylko o poduszkę, jest w salonie.

Rozejrzała się po pomieszczeniu: długi, ciemny przedpokój prowadził do wnętrza wielkiego mieszkania, gdzieś na końcu korytarza majaczyła słoneczna plama. „Typowe światelko w tunelu” — pomyślała i poszła w tamtym kierunku.

Prawie od razu usłyszała wrzask Byłego Niemola, który w taki sposób reagował na utratę matki z oczu. Był w nieustającym okresie „lęku separacyjnego”

— jak uczyły fora internetowe — i nie znosił rozstania nawet na sekundę. Laura została całkowicie odarta z prywatności, nawet sikanie odbywało się „przy drzwiach otwartych”, żeby strawestować Sartre'a. Wróciła więc i wzięła dziecko za rękę, szybko przemierzali korytarz i znaleźli się w salonie wyładowanym od podłogi do sufitu obrazami. Zamiast szukać poduchy, zagapiła się na wielkie płótno Malczewskiego wiszące na wprost ogromnego okna z widokiem na ogrody.

Na szczęście w poszukiwaniu poduszek — jak nie przymierzając małe wieprzki w tropieniu trufli — wyszkolony był Młody. Stał obok matki z wielką haftowaną poduchą z sofy.

— Brawo, synku — pochwaliła go, na odchodnym rzucając okiem na Tamarę Łempicką wyzierającą znad drzwi, a od natłoku obrazów wprost kręciło jej się w głowie. — Może zapalę tu światło? — zapytała starszego pana, wkładając mu poduszkę pod głowę.

Pokręcił nią przecząco.

— Żarówka... się przepaliła.

— No cóż, poczekamy na pogotowie po ciemku — stwierdziła i by nie wydać się niegrzeczna, usiadła na podłodze, wzięwszy Miłosza na kolana.

— Zupa, maupa, mamma, mniem, mniem — nawiązał kontakt Młody, ale staruszek nie miał siły odpowiedzieć.

Laura poważnie się zaniepokoiła, że nie doczeka przybycia pogotowia.

Ogarnęła ją czarna rozpacz — sama z dzieckiem i z denatem w korytarzu — traumatyczne przeżycie...

Na szczęście, wbrew opiniom obiegającym prasę, pogotowie przybyło najpóźniej po dziesięciu minutach. Dwóch wesołych sanitariuszy wtoczyło się do przedpokoju, a za nimi wszedł zdyszany lekarz. Widać i jemu nie bardzo posłużyły cztery piętra truchtem.

— Noga złamana, zaburzenie rytmu serca. Zabieramy do szpitala — orzekł po chwili. — Pani jest krewną? — zapytał jeszcze Laury, ale ta pokręciła przecząco głową. — W takim razie nie może pani jechać. Proszę zamknąć drzwi.

Obleciał ją strach. Niby ma teraz wyciągnąć ten spinacz i zacząć majstrować przy zamku, rety!!! Na szczęście staruszek wymownie wskazał głową mały wieszak w kształcie podkówki, na którym wisały klucze, jak w każdym porządnym, mieszczańskim mieszkaniu. Laura starannie zamknęła drzwi, wsunęła klucze właścicielowi do kieszeni kamizelki, dopilnowała załadunku do karetki i poszła w swoją stronę. Co ciekawe, wózek

ciągle stał pod domem — używany od roku był widać całkiem nieatrakcyjny dla złodzieja. Dopiero po kilku minutach ochłonęła, historia wydała się jej tak niesamowita, że aż trudno uwierzyć.

— Bardzo dobrze pani zrobiła — ocenił Dziadek Weroniki, gdy następnego dnia opowiedziała wszystko w parku.

— No nie wiem — zasepił się Rudy. — To włamanie spinaczem. Stary może cię zaskarżyć, zwłaszcza jak mu te Kossaki gwizdną podczas nieobecności...

Laura przeraziła się nie na żarty.

— Skąd w ogóle u ciebie takie złodziejskie umiejętności? — Wyjaśniła, lecz Rudy nie był przekonany. — Całe życie mieszkałem na blokowisku i nikt czegoś takiego nie robił, chyba że element... To ty, Laura, element po prostu jesteś...

— Nie jestem żaden element, a ty chyba nie mieszkałeś nigdy na blokowisku!

— Mieszkałem, jestem z Huty, jak ten pisarz Sławek. Laura, która dobrze знаła Sławka (i wiedziała, że w wolnych chwilach lubi się on biczować parówkami — choć brzmi to zapewne dziwnie), wątpiła szczerze, by Rudy mógł się wywodzić z dzielnicy wielkopieczowników.

— Akurat z Huty jesteś — pokręciła głową — na pewno na Woli się urodziłeś albo na innym Salwatorze, rodzice willę mają, a ty udajesz proletariusza...

— Żeby tak zdechł, jak z Woli jestem. — Uderzył się w wątlą pierś. — Rodzice dalej w blokach na Złotej Jesieni, ja dziecko ulicy jestem...

— Chyba Sezamkowej — mruknęła nieprzekonana.

— Przestańcie bredzić — rozgniewał się Dziadek. — Laura dobrze zrobiła, włamała się, ratując życie człowiekowi, każdy sąd weźmie to pod uwagę, jakby co...

Laura była już bliska zapaści, jak wczoraj ten uratowany staruszek.

— Straszycie mnie? — spytała więc z nadzieją.

— No pewnie. — Rudy poklepał ją po plecach. — Ale ty to masz talent do ładowania się w takie sytuacje...

Przez kilka dni przechodziła koło domu z numerem 36 z dużym niepokojem.

Nic jednak nie wskazywało, że nastąpiła stąd wywózka dzieł sztuki w dużej ilości.

Po tygodniu z górą, gdy już się całkiem uspokoiła i znowu bez strachu wlokła ulicą dziecko za rączkę, okno na czwartym piętrze otwarło się z trzaskiem, ukazując głowę staruszka.

— Halo, halo, proszę pani — wydzierał się niedawny denat, co wyraźnie wskazywało, iż ma się lepiej.

Zadarła głowę i początkowo nawet się ucieszyła — staruszek wyraźnie zdrowiał, skoro był w stanie emitować takie dźwięki.

„O rany, pewnie go jednak obrobili!” — pomyślała zaraz i obleciał ją strach.

Wpatrywała się zatem z niepokojem w okno i czekała na rozwój wypadków.

— Czy może pani wejść na chwilę na górę?! — wrzasnął starszy pan, a Laura zadrżała z przerażenia — najpewniej w mieszkaniu nie ma już ani jednego obrazu, czeka natomiast detektyw Rutkowski, by zakuć ją w kajdany (tu obejrzała się w poszukiwaniu ekipy telewizyjnej, która lubiła filmować takie wydarzenia).

— Ueee, ja się trochę spieszę — rzekła, zaciskając rączkę Dziecka.

— Ale tylko na moment!

Staruszek zniknął z okna, a domofon zaczął brzęczeć nakazująco. Westchnęła ciężko i podeszła do drzwi. Tym razem cztery piętra pokonywała wolnym krokiem, taszcząc zachwyconego Potomka, który uwielbiał takie wycieczki.

Staruszek czekał w drzwiach, śladów włamania nie było, co trochę ją pocieszyło.

Starszy pan miał nogę w gipsie, ale opierając na lasce, poruszał się nader żwawo.

— Zapraszam, zapraszam panią — powitał ją radośnie, co prawie zupełnie ją uspokoiło.

— Pozwoli pani, że się przedstawię — powiedział, gdy wprowadził ich już do dobrze znanego salonu, w którym — co Laura skonstatowała z wielką ulgą — nie brakowało ani jednego arcydzieła rodzimego modernizmu i secesji. — Nazywam się Karol Lisiecki. — Laura wymieniła swoje nazwisko i uścisnęła dłoń staruszka.

— Chciałem pani podziękować za ratunek. Już od paru dni siedzę przy oknie i czekam na panią... Miałem ciasto, ale spleśniało... Napije się pani herbaty? Laura była nieco oszołomiona. Niesamowite, że ktoś może czaić się kilka dni przy oknie i inwigilować w sposób permanentny przechodniów.

— Ale lepiej się pan już czuje? — zapytała, siadając przy małym kawowym stolczku i biorąc Miłosza na kolana.

— O tak, dużo lepiej. W szpitalu zrobili mi wszystkie badania. Bardzo dobry szpital. Mam nowe leki, teraz nawet lekarz do mnie przyjedzie... Bo pani wie, ja nie wychodzę od lat, mam kłopoty z nogami...

— To jak pan robi zakupy? — zainteresowała się, z wdzięcznością przyjmując filiżankę herbaty, a Były Niemowlak z radością zaczął memlać podanego biskopka.

— Nie robię. Robi mi je służąca hrabianki Podkoreckiej, która mieszka pode mną... Tego dnia, gdy to się stało, szedłem właśnie do niej z listą zakupów, niestety, złapał mnie atak duszności, potknąłem się i upadłem...

— To bardzo przykre — powiedziała i przyjrzała się lepiej panu Lisieckiemu.

Był to dżentelmen starej daty, miał na sobie garnitur z pąsową chusteczką w kieszonce, chusteczka ozdobiona była mierzka. Starannie zaczesane siwe włosy i wesoły uśmiech. Toteż uspokojona całkowicie co do obrazów, uśmiechnęła się do niego, a za nią wyszczerzył zęby Były Niemol.

— Ma pan wspaniałą kolekcję obrazów — powiedziała, robiąc znaczący ruch ręką. — Malczewski ojciec i syn, Łempicka, Aneri Weissowa...

— Zna się pani na tym? Pokiwała głową.

— Jestem historykiem sztuki, obecnie bez pracy.

— Trudno znaleźć?

— Znaleźć łatwo, ale płace dosyć pieskie, niani za to bym nie wynajęła. — Starszy pan pokiwał głową ze zrozumieniem. — Jak mam dopłacać, to wolę sama dzieckiem się zajmować i szukać dalej...

— To co pani robi? — zainteresował się staruszek, popijając herbatkę rumiankową z filiżanki.

— Trochę tłumaczę dla różnych muzeów, piszę takie książeczki... — Tu Laura zawahała się (ostatnią książeczkę napisał Perec, a ona była autorem raczej perprocura). — Takie przewodniki — dokończyła.

— Zawsze coś dorobię, ale teraz z dzieckiem prawie dwuletnim jest mi dosyć trudno pracować...

— Uroczy jest. — Ocenił Byłego Niemowlaka pan Lisiecki. — Taki pogodny... Zauważyłem to już wtedy... Cały czas się uśmiecha... bardzo miłe dziecko, zupełnie nie takie, jak się to teraz spotyka.

Starszy pan był najwyraźniej widzem programu „Superniania”, bo własnych doświadczeń raczej chyba nie miał.

Już miała zaoponować i wyprowadzić go z błędnego przekonania o dobrym charakterze Młodziejowca, ale niespodziewanie trzasnęły drzwi w korytarzu i po chwili do pokoju weszły dwie damy.

Ogromnie dziwne osoby. Mała i duża. Chuda i gruba. Flip i Flap po prostu.

Duża bardziej rzucała się w oczy — ubrana w głęboką czerń, miała nienaturalnie czarne włosy z fioletowym połyskiem, spięte w gigantyczną kopułę, dzięki której wydawała się jeszcze większa.

Z koka groźnie wyglądały wielkie szpilki, którymi sto lat wcześniej spinało się chyba kapelusze. Na dokładkę osoba ta miała bardzo bladą cerę, wąskie wargi i co najmniej trzy podbródki. Mimo groźnego wyglądu uśmiechała się dobrotliwie.

Mniejsza dama, spowita w koronkowy jedwabny szal, preferowała kolor zielony, była szczupła, koścista i siwiuteńka jak gołąbek. Do pełnego obrazu brakowało tylko okularów, zamiast laski nosiła parasolkę z bambusową rączką, którą podpierała się wyraźnie od niechcenia.

Dwie postaci z zapomnianej dawno bajki. Laura czytała ją w dzieciństwie — Mary Poppins Pameli L. Travers. Jedną z postaci była tam niejaka Bajkosia, sprzedawczyni pierników, osóbką malutką, chuda, siwa i pomarszczona, która miała dwie córki-olbrzymki Anię i Franię. Dwie damy wyglądały właśnie tak: jak Bajkosia i Ania-Frania.

Tymczasem pan Karol podniósł się z wysiłkiem, by powitać gości i dokonać prezentacji.

— To jest panna Laura Byrska, a to hrabianka Jolanta Podkorecka i jej gospodyni Marianna.

„A więc raczej Mania” — zachichotała w duchu Laura, czekając grzecznie, aż hrabianka wyciągnie do niej rękę.

— A, to pani pozbierała Karola z podłogi — stwierdziła hrabianka, lustrując Laurę dokładnie. — Jak on na panią czekał, mój Boże, istna farsa z kupletami...

Mówiłam mu, że jest starym idiotą, bo na pogotowiu pewnie zanotowali pani dane, a ten uparł się, żeby czekać przy oknie... Marianna otrzymała specjalne instrukcje, by wypatrywać pani na ulicy... Niestety wątpię, czy coś by wskórała, bo rysopis był — oględnie mówiąc — niezbyt ścisły...

Pan Karol wyglądał na stropionego, zaś hrabianka wysłała Mariannę po herbatę. Ta ciągle gderwała i w co drugim zdaniu skarżyła się na swoją „panienkę”, obiecując rychłą dymisję.

— Agent wywiadu — kpiła dalej panna Podkorecka. — Na stare lata ludzi z okna podglądać, jak pani Dulska...

— Dulska nie podglądała z okna — ponuro wtrącił Lisiecki. — Dałabyś spokój. Rozmawiamy z panią Laurą o sztuce...

— O sztuce? — Hrabianka zaczęła wymownie wachlować się ręką. — Chyba lepiej o sztuce mięs... Musi pani wiedzieć — zwróciła się do Laury — że Karol o niczym innym nie potrafi mówić, jak o sztuce. Mógłby na akademii wykładać, taki jest nudny... Przed wojną byłam raz na wykładzie Husserla, to też było nudne jak flaki z olejem, ale Karol w tej dziedzinie mógłby zdobyć Palmy Akademickie...

— Jolanto, ile razy mam ci mówić, że w Polsce nie przyznają Palm... — zniecierpliwił się gospodarz.

— O la, la... To powinni, powinni, piękna nagroda dla nudziarzy, „zameczył słuchaczy na śmierć”, mogłaby głosić laudacja. Droga pani — znowu zwróciła się do Laury — studiowałam w Ecole Normale i nie takie przypadki widziałam: Weil była nudna, de Beauvoir mogłaby do śmierci doprowadzić, a Sartre to był nudziarz nad nudziarze... Jak dzisiaj czytam te zachwyty nad nimi, to na śmiech mnie zbiera! Panoptikum nudnych nudziarzy... Jeden Malraux był coś wart, ale ludzie go niszczyli, wiem, bo przyjaźniłam się z jego żoną Clarą...

— Joly, opowiedz lepiej o swej przyjaźni z Erenburgiem, jak świetnie na niej wyszłaś — dociął jej pan Karol, szczęśliwy, że może wsadzić szpilkę.

Hrabianka się zasepiła.

— Tak, masz rację, ten był najgorszy, bo kłamał... Kraj Rad, sprawiedliwość społeczna... A ja, młoda, naiwna, myślałam, że ZSRR zbawi świat... No, a potem przyszła wojna, ja w Wilnie, i jak to mówią, spędziłam cztery lata tam, gdzie wiecznie tańczą... Tu spojrzała na Laurę bystro.

— Tak, wiem — odpowiedziała. — Tam, gdzie wiecznie tańczą i śpiewają.

Czytałam Sołżenicyna. Tam, gdzie wiecznie tańczą i śpiewają — w Oddziale chorych na raka Sołżenicyna omówienie oznaczające GUŁAG.

— No proszę! — Hrabianka klasnęła z ukontentowaniem w dłoń. — Wreszcie trafił się ktoś do rzeczy! Karol wiedziałeś, kiedy się brać za umieranie!

Nareszcie mamy jakieś dobre towarzystwo... Co pani teraz czyta? — zwróciła się do Laury.

— Celine'a — wyznała ze wstydem.

Hrabianka z oburzeniem plasnęła dłonią w stół, aż podskoczyły filizanki.

— Niech pani rzuci tego faszystę! Nie warto marnować na niego czasu!

Degenerat. Jak on łka nad swoim trudnym dzieciństwem w Śmierci na kredyt, a naprawdę od początku był erotomanem, zбочeńcem, złodziejem i leniem...

Tak podsumowawszy francuskiego antyestety, wyciągnęła z kieszeni spódnicy cygarniczkę i zapaliła cienkiego papieroska. Laura wołała się nie przyznawać, że czyta właśnie Śmierć na kredyt i opisy dzieciństwa w paryskich slumsach obudziły w niej współczucie dla autora.

— Daj spokój panience — obruszył się pan Karol. — Ty jak się do kogoś przyczepisz, to nie daj Boże...

— Oj, nie truj, stary — rzekła hrabianka pojednawczo. — Naprawdę zmartwiłam się, że umrzesz, zżyłam się z tobą... Myślałam zawsze, że to ja pierwsza odwalę kitę, bo ty, jak każdy hipochondryk, będziesz żyć długo i szczęśliwie.

— Panna Jola jest niemożliwa — włączyła się gderliwa Marianna. — Co za wyrazy, co za język, świat się kończy...

— Milcz, sługo, bo cię posłę do pielienia ogródka — zachnęła się „panienka”.

— Będę mówiła, jak chcę, w Kraju Ałtajskim nauczyłam się pięknie kląć i na waterklozet mówić „kibel”. Wie pani — znowu zwróciła się do Laury — jak budowali Nową Hutę, to polecili mnie na tłumaczkę dla tych rosyjskich inżynierów. Nie raz i nie dwa mi się coś wymysknęło, aż się poskarżyli temu ministrowi od przemysłu, Kiejstut Żemajtis się nazywał... Minister mnie zrugał, że na robotników mogę sobie kląć, ile dusza zapagnie, ale inżynierów muszę oszczędzać. Tak, proszę pani wyglądała w naszym kraju dyktatura proletariatu...

Laura zachwycona rozmową, rada by ją kontynuowała, ale Były Niemowlak nagle przypomniał o swoich potrzebach — wyrodna matka przeraziła się głodem i zaniedbaniem higienicznym Dziecka, które od kilku godzin siedziało w tej samej pieluszce.

— Niech pani do nas przyjdzie na obiad — zarządziła hrabianka. — Marianno, proszę pójść do księgarni i kupić najlepszą książkę o żywieniu małych dzieci...

— A skąd ja mam niby wiedzieć, jaka książka o żywieniu jest najlepsza? — obruszyła się krnąbrna gosposia.

— Obejrzysz sobie dziś pogładową pogadankę w telewizji Style, tej, która pokazuje panią prezydentową w kraciastych garsonkach, jak tłumaczy, żeby nie wycierać nosa palcem i jeść widelcem i nożem, i będziesz wiedziała!

— Nie, nie, nie — zaproponowała Laura. — On już jest duży, je wszystko, najbardziej lubi zupy i ziemniaki z sosem...

— To kupisz książkę o zupach — wydała dyspozycję pani Podkorecka. — W życiu nie widziałam, żeby Marianna ugotowała zupę...

— Bo też nigdy panienka nie chciała — wytknęła oburzona olbrzymka. — Ja gotuję wspaniałe zupy, ale panienka kiedyś sama powiedziała, że ma dosyć zup na całe życie po wodziance z brukwi...

— Tak, tak, tak. Trajkocze trajkotka. — Machnęła ręką hrabianka. — Zakarbuy sobie w pamięci — zupa i ziemniaki z sosem dla małego panka. Dla pięknego — dodała, głaszcząc Byłe Niemowlę po płowej główce.

— Kakao — odpowiedziało dziecko, uśmiechając się promiennie.

— Kakao też będzie! Marianna, kakao kup dla dziecka!

— Wstrząsające towarzyszo — przyznał później Rudy. — Nie miałem pojęcia, że tacy ludzie jeszcze istnieją! To powiadasz, nie gwizdnęli mu tych antyków? To dobrze... Ale ta „czerwona hrabina"... Musisz mnie z nią poznać, napiszemy o niej w naszej gazecie... „Głos Che Gevary" aktualnie przeżywał skrajną zapaść. Co innego strona internetowa, ta kwitła, ale Rudy i Perec wcale nie byli zadowoleni.

Strona kwitła bowiem dzięki Przewodnikowi po tanich zakupach Laury.

Codziennie aktualizowane dane o promocjach przyciągnęły do serwisu całą masę użytkowników. Oburzony Perec przyniósł do parku wydruki około trzydziestu listów z żądaniami przedstawiania również promocji z dziedziny AGD, tanich wczasów, ofert kredytów konsumpcyjnych i innych. Wszystkie kartki oskarżycielsko wyciągnął w kierunku Laury.

— Coś ty narobiła! — powiedział, a ona wzruszyła ramionami.

— Sami chcieliście, żebym to prowadziła, robię, co mogę.

— Zrobiłaś z naszego poważnego portalu o polityce kącik zakupowy... Piszą jakies zwariowane baby, które chcą kupić tani papier toaletowy i krem Pani Walewska. To mnie obraża! Bardzo się czuję obrażony.

— Ile mamy wejść na stronę? — zainteresował się Rudy, pracowicie wykańczając babkę z piasku, którą usypali z małą Dolores.

— Pięć tysięcy dziennie... — przyznał z niechęcią Perec.

— No to, kolego, tylko pogratulować Laurze. To jest eksport rewolucji — wejdzie taki na stronę zobaczyć, gdzie tanie skarpety bezuciskowe, a zostanie, aby wczytać się w nasz manifest polityczny.

— Idealista — mruknęła, ponieważ szczerze wątpiła, by jakikolwiek poszukiwacz tanich okazji wczytywał się w cokolwiek na stronie Rudego i Pereca.

— W ogóle to chyba powinniśmy zacząć ci płacić — zadumał się głęboko Rudy.

— O, a to coś nowego — wyraziła swoje zdumienia Laura, pewna, że „Głos Che Gevary” musiał wejść w posiadanie gotówki w jakiś nielegalny sposób. — A skąd macie na to kasę?

— Dostaliśmy dotację z jednej takiej fundacji — przyznał się Rudy niechętnie.

— Jakiej? Brat Fidela Castro zaczął was sponsorować?

— Nie bądź durna i bezczelna!

— I nie kłó się, która cię karmi — moralizatorsko dodał Perec.

— No, na razie tylko obiecuje, że mnie pokarmi, więc mogę sobie być bezczelna, ile chcę... Rudy i Perec wymienili spojrzenia.

— Widziałeś ją — powiedział Rudy. — Ja się wcale nie dziwię, że ona nie może pracy znaleźć — jest tak okropna, że nie zatrudniliby jej nawet w przedsiębiorstwie zbierania runa leśnego...

— Obrażajcie mnie, proszę bardzo, sami sobie będziecie przewodnik po tanich zakupach pisać. Wydeła wargi i na wyraźne żądanie Natrętnego zaczęła wsypywać piasek do młynka (został zakupiony parę dni wcześniej w tanim sklepie i już wzbudzał zazdrość innych nieletnich na placu).

— O, co to, to nie! — oburzyli się zgodnie. — Musisz dalej pisać! To nam przyciąga masy ludowe...

— Jednym słowem proletariusze zaczęli się łączyć, tak? — uściśliła.

— Jak tam sobie chcesz... Jesteśmy uczciwi jak czekiści i wyznaczamy ci pensję stałą. Ale musisz pisać...

— Kapitalistyczny wyzysk — mruknęła znad młynka i od razu się przeraziła.

— Czy to oznacza, że mam brać udział w tych waszych niekończących się zebraniach?

— Musisz. — Perec pokiwał głową. — Zebrania są bardzo ważnym czynnikiem integrującym zespół...

— Chryste Panie, egzekutywa jak nic — jęknęła, a oburzony Perec wyglądał tak, jakby za chwilę miał doświadczyć ze złości spontanicznego samozapłonu.

— Ty to widzisz? — Zwrócił się do przyjaciela. — Ona nas w oczy obraża, a ty ją chcesz do zespołu dopuścić!

— Wyrobi się ideowo — zbagatelizował sprawę Rudy. — Ona jest wredna, ale dobry człowiek — onegdaj uratowała sklepik przed bankructwem, dziadka przed śmiercią i w ogóle — mucha nie siada na naszej Laurze. Poza tym — tu zastosował argument odwołujący się do rodzinnych uczuć Pereca — nie zapominaj, że za chwilę, kto wie, zostanie twoją szwagierką, więc lepiej daj żyć kobiecie, bo potem ona nie da żyć tobie...

— Słuchaj się go — pouczyła Pereca Laura. — I pamiętaj wiekopomne słowa Oscara Wilde'a, że szczęście żonatego mężczyzny zależy od osób, z którymi wcale się

nie żenił.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” >Wątek: Wybuchł mi obiad...

A: Czym oni karmią te kurczaki?? No, powiedzcie, czym? Dynamitem? Dziś na patelni z hukiem wybuchł mi obiad. Dokładniej była to nóżka kurczęca. Huk był taki, jakby ktoś petardę odpalił. Wchodzę do kuchni, a tam kuchenka cała w mięsie, na patelni sama kość... Coś tu jest nie tak, chyba... Wybuchł wam kiedyś kurczak? Może niepotrzebnie się dziwię?

B: Oczywiście. Notorycznie wybuchają mi w piekarniku. Ale jak się dobrze z temperaturą pokombinuje, to wybuch tak, że szkielet zostaje nienaruszony. Prezentuje się malowniczo w brytfannie. Mięso trzeba zbierać ze ścianek piekarnika — to jedyna niedogodność.

C: Pewnie ci się trafił egzemplarz z tych zagazowanych, co miały ptasią grypę, i ten gaz wyleciał w powietrze. Ciesz się, że miałaś tylko udko, a nie całego kurczaka, bobyś kuchni nie miała.

D: Metan? Kurczak przebite numery miał może?

E: A może kurczak miał w sobie jajo? Mnie jaja wybuchają.

D: To kurczaki mają jaja w nogach?

F: Kurczak mi nie wybuchł, ale za to ni stąd, ni zowąd wybuchł kiedyś bobofrut. Pizgnęło po całej kuchni, z odłamkami szkła włącznie, dobrze, że nikogo nie zabiło, no i że nie powstał np. lej w podłodze!

G: Słyszałam, żeby nie moczyć za dużo kurczaków w wodzie, i tak robię, i jest różnica [powodzenia].

A: Myślałam, że to grzyby suszone się moczy, ewentualnie karpie, ale żywe jak rozumiem, kurczak nie był ani żywy, ani suszony.

D: Chodzi o to, żeby nie moczyć za dużo kurczaków, tj. np. jeden czy dwa można moczyć, ale już pięciu lepiej nie — bo wybuchną.

H: Albo rozrywkowy był, to się rozerwał!

I: Kurczak miał gazy może? Mnie nic nie wybuchło, wątróbka czasem.

J: E, tam. Ćwiczył chłopak przed sylwestrem, bo wiadomo, impreza ma huczna być.

BABSKI WIECZÓR

Od czasu do czasu Laura powierzała Byłego Niemowlaka rękóm ojca lub babci i wychodziła na babski wieczór do Kaśki.

Kaśka mieszkała jakieś pięć przystanków od niej, w niezwykle funkcjonalnym bloku z lat siedemdziesiątych. Jego funkcjonalność polegała na tym, że mieszkanie Kaśki miało trzy pokoje i ślepą kuchnię — od lat podziwiali inwencję architekta — zaś jedno z okien było usytuowane pod sufitem, najwyraźniej po to, by wygodnie postawić pod nim szafę.

Na spotkaniach pojawiały się wciąż te same osoby: oprócz Laury i Kaśki, dwóch bezrobotnych matek, przychodziła singielka Ola oraz dwie mężatki Janka i Anka. Impreza zawsze zaczynała się identycznie: Laura zjawiała się o czasie, a reszta się spóźniała. Kaśka biegała między pokojem a kuchnią, znosząc knedle syczuanskie, sałatki egzotyczne oraz strucle z makiem, a goście schodzili się powoli.

Pierwsza nadciągała zazwyczaj Olga. Pracowała w banku, na wysokim stanowisku, i nieustannie narzekała na swoją pracę. Praca w dziale PR dawała jej nieograniczone możliwości bywania na atrakcyjnych imprezach, balach, festiwalach, gratisowe lunche i koktajle, ale „wykańczała emocjonalnie”. Ola była trwale wykończona. Emocjonalnie. Fizycznie. I pod każdym innym względem. Z tego też powodu nieustannie poddawała się jakimś terapiom, jak nie przymierzając, Tubby Passmore z powieści Lodge'a. Podobnie jak ten literacki bohater, Olga miała w głębokim poważaniu medycynę tradycyjną i leczyła się głównie u znachorów, szamanów i innych wróżów. Przeszła już kurację ziołami mongolskimi (cudem ją odratowano), terapię wodną (zapalenie płuc), holistyczną diagnostykę organizmu jakąś lampą przypominającą stroboskop (wyszło, że ma robaki jak donice) oraz multum innych dziwnych zabiegów (przy czym akupresura i leczenie moczem należały do najmniej szokujących). Laura podejrzewała, że tak naprawdę Olga uległa nawiedzeniu i przydałby się jej porządny egzorcysta, taki jak na przykład Jakub Wędrowycz z opowiadań Pilipiuka. W końcu sam autor tego bestsellera zapewniał, „że jak wszystko zawiedzie, to pozostaje jeszcze Wędrowycz”. Parę dni przed imprezą, wracając ze spaceru, Laura znalazła nawet na tablicy ogłoszeń parafialnych kartkę Spotkania z egzorcystą, codziennie po mszy, w naszym klubie, ale jakoś rozmowa z fachowcem tej specjalizacji w młodzieżowym klubiku przykościelnym wydawała jej się nieprzystojna.

Egzorcysta powinien urzędować co najmniej w katakumbach, a przynajmniej w pobliżu cmentarza.

Teraz też, zgodnie ze stałym scenariuszem, Olga zaczęła narzekać na swój kiepski stan zdrowia. Jak każdy hipochondryk wyglądała jak ćwik, była opalona, dobrze odżywiona i w świetnej formie, ale sama widziała siebie jako bliską śmierci. Wręcz stojącą nad grobem i czekającą, aż ktoś ją miłosiernie popchnie.

— Okropnie się czuję — powiedziała do Laury.

— To się napij! — zaproponowała ta, uważając, że porządny drink od razu zmieni optykę widzenia koleżanki.

— Nie mogę. Biorę teraz takie leki, wiesz, na odtrucie organizmu...

— A jak tam w pracy? — przerwała Laura, autentycznie przerażona, że Olga zacznie zagłębiać się w szczegóły, jak wtedy, gdy jej przybliżyła, na czym polega płukanie okężnicy (wierzcie mi, nie chcielibyście tego wiedzieć). — Może byś w tym banku coś dla mnie znalazła? — dodała jeszcze, nokautując Olę całkowicie.

Nie żeby Olga była nieużyta koleżanką, absolutnie nie, ale hołdowała zasadzie „nie sraj tam, gdzie jesz” i nigdy nie polecała znajomych na żadne stanowiska.

Miało to plusy (mogła do woli wrzeszczeć na podwładnych, łudząc się, że obgadują ją jedynie we własnym, wąskim gronie) i minusy (nie miała do kogo gęby otworzyć podczas przerwy na kawę).

Następna ante portas pojawiła się Janka. Tej zawsze dopisywał wyśmienity humor, jak bohaterce powieści dla dzieci Pollyannie. Janka była właśnie taką osobą — we wszystkim dostrzegała dobre strony — nieuleczalna optymistka.

Gdyby przykładowo przeżyła wypadek i straciła obie nogi, na pewno ucieszyłaby się, że jest kupiec na jej buty. Gdy Laura ponuro wykladała jej powody swego psychicznego dołka (brak pracy i perspektyw), Janka zachwycała się wolnością ducha i możliwością przeznaczenia czasu na pisanie rozpraw naukowych bądź hołubienie rozlicznych hobby. Każdy wylew żalu, który prezentowała Laura, Janka kwitowała nieodmiennie: „Widzę, że nie jest tak źle. Cieszę się, że lepiej się czujesz”. Laura poważnie podejrzewała, że gdyby oświadczyła Jance: „Zostało mi jeszcze pół roku życia”, to ta poradziłaby natychmiast: „Musisz się więc szybko zdecydować, gdzie spędzisz wakacje”.

Anka — zgodnie z obowiązującą w każdej dziedzinie życia zasadą kontrapostu — była zupełnie inna od reszty. Mało się odzywała, nie komentowała, ale zawsze udzielała duchowego wsparcia. Gdy zebrały się już wszystkie i Kaśka naląła po wstępnej lampce wina, Ola, odstawiając kieliszek, powiedziała oskarżycielsko:

— W ogóle nie powinniśmy pić! Alkoholiczki się z nas zrobią!

— Akurat — skomentowała niespodziewanie Anka, wychylając duszkiem połowę zawartości.

— Czytałam taki artykuł w brytyjskiej prasie, że kobieta może wypić maksymalnie czternaście jednostek alkoholu tygodniowo, bo potem już alkoholizm, rak wątroby i równia pochyła...

— A ile to jest w przeliczeniu na flaszki? — zainteresowała się Laura, która miała perfidny zwyczaj zachęcania wszystkich do picia, podczas gdy sama cały wieczór tkwiła nad jednym drinkiem. Od kilku lat (starość nie radość) wypicie dwóch drinków kończyło się bólem głowy nieznanym literaturze medycznej.

— Jedno piwo dziennie — wyjaśniła tymczasem Anka, która dobrze znała się na rzeczy.

— Wcale nie! — zaprotestowała Ola. — Piwo ma trzy jednostki, więc możesz wypić niecałe pięć tygodniowo.

— Jedno piwo dziennie z wyjątkiem weekendów — uściśliła Anka, wzruszając ramionami.

— Bo w weekend zaczynasz kroić spirytus bez dodatków — stwierdziła Kaśka.

— Albo denaturat, który zagryzasz tic takami — dodała Laura, a Ola się obraziła.

— Okej, okej, nie dbajcie o swoje zdrowie, jak chcecie... Ja natomiast...

— Rzucasz picie? — zainteresowała się Anka, bo Ola znana była z tego, że upijała się jednym kieliszkiem wina, a ponieważ okropnie bała się, że w stanie upojenia może zdradzić firmowe sekrety, unikała alkoholu jak ognia.

— Pewnie wyrzuciła dezodorant na spirytusie — to strasznie przesiąka przez skórę i można się upić dwoma sztachami dziennie... — dorzuciła Laura.

— Nie, pewnie przeszła na zioło, jak nasz premier kochany — dodała Kaśka, dolewając kolejne trzy jednostki koleżankom.

— Śmiejecie się, śmiejecie... — zaperzyła się Ola. — Po tym najlepiej widać, że macie problem... Faktycznie mieliście problem. Z nią.

Już od Bóg wie jak dawna próbowały ją zeswatać, ale po prostu nie szło! Olga była niewymownie wybredna i wszystkie randki w ciemno kończyły się po jednym spotkaniu. Trafił się co prawda bohater, który wytrzymał aż trzy spotkania, ale Laura z miejsca zakwalifikowała go jako matolka, który nie wie, co czyni. Kiedy się jednak dowiedział, czmychnął czym prędzej. Nie żeby Olga była jakaś ułomna, raczej nie, ale coś (ciekawe co?) zniechęcało do niej ludzi. Teraz jednak sprawy poszły jakby naprzód. Olga zapisała się na naszą klasę i odnalazła dawną miłość. Miłość wyjechała za granicę, ożeniła się i rozwiodła, a przez cały ten czas wspominała swą koleżankę ciepło i grzała jej miejsce w sercu.

— A sprawdzałaś, czy ma papiery w porządku? — zaciekawiała się Kaśka. — Bo wiesz, jakby go właśnie wypuścili od czubków, to sprawa może być groźna...

— Ale ty jesteś — powiedziała Olga. — Jakbyś mi źle życzyła...

— Właśnie bardzo dobrze ci życzy — poparła koleżankę Laura. — Facet mógł wcale za granicą nie być, ale dziesięć lat spędzić u czubków albo co gorsza w więzieniu...

— No — wtrąciła się Anka, niebywale dzisiaj rozmowna. — Kiedyś było takie czasopismo „Kobra”, no pamiętacie — znane z mrozących krew w żyłach historii kryminalnych w stylu „pasikonik zjadł rolnika” — i, wiecie, tam dawali ogłoszenia samotni, i w prawie każdym ogłoszeniu pojawiały się litery „ZK”. Ja się głowiłam co to takiego, aż mi kuzynka wyjaśniła, że to zakład karny... Ten twój nie ma przypadkiem „ZK” w adresie, na przykład, mailowym: fabian-szypuła@zk.białoleka.pl...

— On się wcale nie nazywa Fabian Szypuła i nie siedzi w Białolece... — wybuchnęła Ola.

— Nie? A gdzie? We Wronkach? — dopytywała się Anka, która wykładała literaturę angielską w szkole jezuitów i najwidoczniej miała tam za mało wrażeń...

— Dziewczęta, dziewczęta — upomniała je Janka. — Jak możecie? Olu, powiedz chociaż, jak on się nazywa...

— Szypuła! — nie rezygnowała Anka.

— Zenon Gęgawa — zaproponowała Laura.

— Alojzy Niepiórek — dodała Kaśka.

— Wszystkie są śliczne, ale on naprawdę ma normalne imię i nazwisko, nie był u czubków ani we Wronkach, całe lata mieszkał w Kanadzie i teraz wrócił — wyjaśniała cierpliwie Ola, bo znając przyjaciółeczki, nie chciała wdawać się z nimi w słowne utarczki.

— No to good luck and good night! — rzekła Anka, podnosząc kieliszek (kolejne trzy jednostki w plecy).

— A co u ciebie, Lauro? — spytała ni z tego, ni z owego Janka. — Słyszałam, że kupiłaś domek i masz pracę w jakiejś gazecie...

Niesamowite, co plotka może zrobić ze zwyczajnej wiadomości. Rudera na Przełęczy Knurowskiej kupiona do spółki z Larwą i w dodatku na raty została ochrzczona „domkiem” (dobrze, że nie willą lub letnią rezydencją), a strona internetowa anarchio-syndykalistów „gazetą”...

— Tiaaaa... Można to tak nazwać — powiedziała, starając się im wyjaśnić pokrótce nieporozumienie dialektyczne.

— O, to super — podsumowała długi wywód Janka. — Mówiłam ci, że nie ma się czym przejmować! Cieszę się, że tak dobrze sobie radzisz...

No, jakby to dziewczyny na forum powiedziały: „Ręce i cycki opadają do kolan”.

— Podobno twoja siostra wychodzi za mąż — zapytała tymczasem Anka, pochłaniając kolejne trzy jednostki.

— No...

Dla samej Laury było to kosmiczne zaskoczenie. Niby już od pewnego czasu Larwa i Perec prowadzali się razem, wspólnie imprezowali, a nawet wyjeżdżali z naszego pięknego miasta. Ale nie miała pojęcia, że doprowadzi ich to do ostateczności i tak desperackiej decyzji. Aż tu nagle, pewnego pięknego dnia Ilona jakby od niechcenia rzuciła, że w sumie stan małżeński nie jest taki zły i chyba da się na to nabrać.

Laura nie wierzyła własnym uszom. Oczywiście próbowała perswadować, ale zdało się to na nic. Z drugiej strony — biorąc pod uwagę żelazne do tej pory poglądy Larwy — mogła to być jedynie chwila słabości, na co Laura w skrytości ducha liczyła. Bynajmniej nie dlatego, że nie chciała mieć w Percu szwagra, o nie! Byłoby to jej wręcz na rękę, mogliby zupełnie spokojnie stworzyć rodzinną spółkę do pisania broszurek i przestałoby ją uwierać, że go tak bezpiecznie wykorzystuje (członków własnej rodziny się nie wykorzystuje — oni z radością świadczą usługi, o czym można się dowiedzieć na byle

jakim forum, piętnującym chciwe babcie domagające się odpłatności za niańczenie wnuków). Perec w takim układzie nie miałaby prawa kręcić na cokolwiek nosem (i tak nie kręcił), bo zawsze mogłaby go postraszyć wizją, że jeśli nie będzie pisał, nikt z rodziny mu na starość nie poda szklanki wody. (Tak bowiem straszono owe babcie — staruszka chcąc zarobić na niańczeniu, czy choćby otrzymać zwrot poniesionych kosztów, nie ma co się spodziewać owej szklanki, no, chyba że zapłaci). Nie chodziło o korzyści, było jej Pereca po ludzku żal. Ale w końcu — każdy sobie rzepkę skrobie i gdy Perce z Larwą przyszli uroczystie zaprosić na ślub, wzruszyła tylko ramionami i uściśnęła mu dłoń ze współczuciem. On tego oczywiście nie docenił i krępujące milczenie, jakie później zapadło, wziął za wyraz nieufności względem jego osoby i przekonań politycznych. Laura włożyła wiele trudu, by mu uzmysłowić, że kocha go ponad życie i jako szwagierka in spe przychyli mu nieba, co nie tylko nie odniosło spodziewanego rezultatu, a wręcz przeciwnie, zdwoiło nieufność przyszłego szwagra. Laury to jednak jakoś nie obeszło, bowiem od dawna wyznawała zasadę, że jeszcze się taki nie urodził, który by wszystkim dogodził, więc postanowiła olać sprawę, czekając na rozwój wypadków. Wypadki jednak rozwijały się bardzo szybko, o czym poniżej.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Prucianie

A: Teściowa zajmuje się moim dzieckiem, gdy ja pracuję (i chwala jej za to), ale doprowadza mnie do szału „prucianiem” — wszystkie szafki mam przejrzane na bank. Jednak co innego, jak człowiek się tylko domyśla (a raczej wie, ale nie tak namacalnie), a co innego, jak staje przed faktem dokonanym. Jak z tym walczyć, bo nie mam pojęcia?

B: A co to w ogóle jest „prucianie”? C: Szperanie, przeglądanie...

D: A skąd to „prucianie” pochodzi? Bo znalazłam na stronie ze słownikiem polsko-łódzkim.

C: Coś jest na rzeczy, jestem z Łodzi.

B: No coś ty, ja też, a nigdy o „prucianiu” nie słyszałam.

E: Myślałam, że to coś w temacie puszczenia bąków, szczerze mówiąc.

F: Przyznam, że po przeczytaniu tytułu wątku pomyślałam: „O co chodzi z tymi Prucianami, kto to, u licha, jest?”.

G: Ja też myślałam, że chodzi o bąki — jak zaczęłam czytać o teściowej, to już byłam prawie pewna, że „prucia” pod twoją nieobecność, a potem strasznie śmierdzi w domu.

H: Też tak myślałam. Ale myślałam, że teściowa puszcza bąki przy dziecku i dziecku szkodzą, bo ma astmę czy coś.

I: Ja też myślałam, że Prucianie to jacyś ludzie, jakaś grupa etniczna, ewentualnie subkultura.

J: He, he, ja myślałam, że to jak jacyś Słowianie i zastanawiałam się kto, u licha.

K: No, też mi pod Słowian podchodzili: Polanie, Wiślanie i Prucianie.

JAK SIĘ WESELIĆ? PRZEWODNIK DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Laura gmerała anemicznie patykiem w piasku, a Dziadek Weroniki i Rudy kłócili się namiętnie na temat: „Dokąd zmierza polski liberalizm?”, gdy Rudy syknął ostrzegawczo:

— Te, Laura, ta twoja Larwa idzie!

Podniosła wzrok: ścieżką, starannie omijają umorusane niemowlęta i dzieci starsze, kroczyła (bo jak to inaczej nazwać?) Ilona z Percem pod pachą.

— O, pani Ilonka! — ucieszył się Dziadek, któremu Larwa szczególnie się podobała.

— Witam — rzuciła ona i skinąwszy wszystkim głową, usiadła koło siostry. — Interes do ciebie mam...

— Ojej, nigdy bym się nie domyśliła.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Larwa pojawiła się w parku bezinteresownie, a ponieważ przyszła z Percem, musiało to być jakieś wyjątkowe szelmstwo lisa Witalisa.

— Chodzi o to — przejął pałeczkę Perce — że pomyśleliśmy sobie, że ten ślub mógłby być w ogrodzie Muzeum Archeologicznego...

— O! — powiedziała, dalej gmerając w piasku, bo doskonale wiedziała, do czego zmierza ta konwersacja, ale postanowiła robić z siebie głupa tak długo, jak tylko się da. — A macie tyle pieniędzy? To kosztuje jak za zboże...

Ilona kręciła się nerwowo na ławce, jakby miała owsiki.

— Nie... Chodzi o to, że ty znasz tych wszystkich dyrektorów, kierowników, może dałabyś radę to jakoś gratisowo załatwić...

— O! — powtórzyła Laura, a Rudy pokręcił głową z niesmakiem.

— Laura, nie daj się, wykorzystują cię obrzydliwie. Jak im się zamarzyło drobnomieszczańskie wesele w ogrodach — słowo to wymówił z wyraźnym obrzydzeniem — to niech ciująją, króliczki, grosz do grosza...

— Ciebie się nikt nie pytał! — ofuknęła go Larwa, opędzając się od Natrętnego, który zapragnął pomacać ją brudną łapką po kremowej spódnicy.

Laura rozważała różne opcje. Oczywiście może odmówić siostrze i nie dać się wrobić w cały ten pasztet, ale Larwa będzie niepokieszona i na pewno da jej to odczuć (oj, da!). W końcu wycieczka do dyrektora Mogielnickiego nic nie kosztuje, istnieje też duże prawdopodobieństwo, że — w obliczu zysków, jakie muzeum czerpało z wynajmu swoich ogrodów na takie imprezy — odmówi promocji gratisowej.

— Dobra, zobaczę, co da się zrobić — powiedziała więc, przewidując wielkie kłopoty.

Do dyrektora zadzwoniła jeszcze tego samego dnia. Pamiętał ją dobrze, bo tłumaczyła jego wystąpienie na konferencji folklorystów. Umówili się na następny dzień, więc Laura, zapakowawszy Byłego Niemowlaka do wózka, wyruszyła w drogę. Tym razem zdecydowali się na tramwaj i była to doskonała decyzja — w tramwajach praktycznie nie trafiała na waleczne babunie, ani razu nie oberwała lagą, a wjazd i wyjazd z niskopodłogowego środka lokomocji był wręcz bułeczką z masłem i samą rozkoszą.

Do muzeum także dostali się gładko. Laura powierzyła wózek opiece zdumionego portiera i ciągnąc Dziecko za rękę, ruszyła na poszukiwanie gabinetu.

Szybko jednak zamiast ciągnąć, musiała zacząć ścigać Potomka po salach, albowiem Dziecię zobaczyło mumie. Szczególnie interesujący wydał się Byłemu Niemowlakowi zabalsamowany kot.

Zaczął wspinać się na krzesło, ażeby go poklepać familiarnie po grzbiecie, co nie do końca mieściło się w kanonie kulturalnego zwiedzania wystawy. Gdy Laura spróbowała udaremnić mu misterny plan pod tytułem „Mamusiu, zabierzemy kotka do domu”, podniósł taki wrzask, jakiego mumie nie pamiętały od zburzenia Jerycha trąbami. Zbiegła się zaraz cała obsługa, z — niestety — dyrektorem na czele, który wyglądał na dość poruszonego. Laura pogratulowała sobie głupoty.

Ułożyła zgrabną przemowę, chciała zaoferować muzeum tłumaczenie strony internetowej w zamian za gratisowe wypożyczenie ogrodu, ale w obliczu zachowania Dziecka, wszelkie kalkulacje brały w łeb. Dyrektor na pewno się nie zgodzi. Co więcej, weźmie ją za kornierz i razem z Natrętym wyprowadzi za bramę, gdzie w dodatku może wymierzyć tradycyjnego kopa w wiadomą część ciała.

— A, to pani! — ucieszył się, nie wiedzieć czemu, dyrektor.

— Tak... Ja... Ja bardzo przepraszam za zachowanie mojego dziecka... Jemu po prostu odbiło z zachwyty, jak zobaczył tego kota...

Dyrektor zerknął na mumię, potem popatrzył na zasmarkane oblicze syna Laury, wreszcie machnął ręką.

— Nic nie szkodzi... Chodź, chłopczyku, w pokoju mam drugiego takiego, pokażę ci...

Laura była pełna obaw; jeżeli rzeczywiście chował w gabinecie drugą mumię, jej całość i dobry stan zachowania zostały poważnie zagrożone.

— Chyba będę musiała zapisać się do Partii Kobiet — mruknęła więc, wlekąc się za dyrektorem przez długi korytarz. Mogielnicki od razu się zainteresował.

— Do Partii Kobiet? Z powodu mumii kota?

— Poniekąd. Ostatnio oglądałam wystąpienie przewodniczącej, której w studiu telewizyjnym towarzyszyła córka.

Dziewczynka rozrabiała tak nieziemsko, że nie zapamiętałam z tego wywiadu ani jednej myśli liderki...

— Być może o to chodziło — skostatował dyrektor. — Wie pani, taka taktyka odwracania uwagi...

— Też o tym pomyślałam! Potem doszłam do wniosku, że jest to partia dla kobiet, które nie radzą sobie z własnymi dziećmi, czyli — jak raz — właśnie dla mnie...

— Przesadza pani. Synek jest uroczy, proszę, jak mu się podoba w moim gabinecie!

Bardzo delikatnie powiedziane. Miłosz, wpuszczony na dyrektorskie pokoje, od razu rozpoczął plądrowanie. Na pierwszy ogień poszła oczywiście kopia mumii kota (w rozmiarze dwa do jeden), którą dosyć szybko udało mu się zdjąć z postumentu i zawlec do drzwi.

— Silny, — stwierdził dyrektor. — Ale, kochaniutki, tego nie możesz zabrać ze sobą, bo jest zinwentaryzowane w protokole, więc urwaliby mi głowę za to truchło... Dam ci coś innego, taki gadżet dla ważnych gości...

Sięgnął do szafy i wydobył miniaturkę mumii na srebrnym postumencie.

Miłosz zagruchał zadowolony i wypowiedział gorące podziękowania w swoim języku.

— Po jakimu on mówi? — zainteresował się dyrektor.

— Nie wiem. Chyba w starożytnym sanskrycie...

— E, to na pewno nie, znam dobrze ten język i to brzmi zupełnie inaczej...

Jakby dialekt amhara albo staroperski...

Wolała nie dyskutować, bo to dyrektor był archeologiczną sławą od starożytnych języków i cywilizacji.

— Wie pani, dlaczego się tak zdenerwowałem tym krzykiem? — zapytał po chwili, gdy zaspokojony Były Niemowlak bawił się swoją zdobyczą w kątku. — Chodzi o tego Orbitowskiego, zna go pani?

— Osobiście nie — odpowiedziała zaniepokojona. — Ale czytałam...

— No właśnie! O mały zawału nie dostałem, jak mi dzisiaj pracownik przyniósł to opowiadanie, którego akcja dzieje się w podziemiach muzeum...

— A wiem! — ożywiła się Laura. — To z mordercą dzieci?

— Ciiiiiiicho! No właśnie to. Straszne. Sam sobie ten los zgotowałem!

Wpuściłem go z jednym z naszych archeologów do piwnic, bo mnie omamił, że chce jakieś historyczne opowiadanie pisać! Historyczne! Myślałem, że coś o więzieniu, które się tu dawniej mieściło... No ogólnie tak mi namieszał, że mu pozwoliłem... Potem jakoś o tym wszystkim zapomniałem, choć niby obiecał, że mi przyśle egzemplarz, jak się to ukaże... Ale sama pani wie — proces wydawniczy się wlecze, zupełnie mi to wyleciało z głowy...

I dzisiaj doktor Tumanek przynosi mi ten „Horror”, czy jak się to nazywa...

— „Fantastyka i groza” — podpowiedziała.

— Właśnie! I tam jest ten tekst... Boże wielki! Że niby u nas w piwnicach jakiś satanista morduje i pali dzieci!!! No to się w głowie nie mieści!!!

— To już dawno się ukazało — próbowała go uspokoić.

— I co z tego, że dawno? Ale ludzie to czytają i zaczynają się wypytywać, gdzie te piwnice satanisty...

— Wątpię, by Orbitowski miał aż tak wielką siłę oddziaływania na społeczeństwo — rzekła Laura, która naprawdę tak sądziła. Czytelników magazynu „Fantastyka i groza” była garstka, na pewno nie legion.

— Tak pani myśli? — z nadzieją spytał dyrektor.

— Tak. Ile ta gazeta może mieć nakładu? Parę tysięcy, z czego duża część idzie do zwrotu...

— Skąd pani wie?

— Bo kupuję takie właśnie zwroty, na placu koło mojego domu. Nawet jak to kilka tysięcy ludzi przeczyta, to ilu z nich mieszka w Krakowie? A ilu się przejmie opowiadaniem i przyjdzie do pana? Może z dziesięciu, jeżeli w ogóle... Z dziesięcioma chyba pan sobie poradzi, nie?

— Nawet ze stoma — solennie zapewnił dyrektor. Na chwilę rozjaśnił oblicze, ale później znowu, by użyć staropolskiego wyrażenia, się zasromał. — No, ale pani to czyta! W życiu bym o to pani nie podejrzewał! Wniosek z tego taki, że najdziwniejsze — pani wybaczy — osoby mogą tu przychodzić i wypytywać o tego satanistę...

— No, ale ja, na przykład, wcale nie przyszedłam o to wypytywać...

Wielce zaniepokojony dyrektor, który właśnie pokojarzył wszystkie fakty: magazyn „Fantastyka i groza”, opowiadanie Orbitowskiego, Laura i jej niespodziewana wizyta, apokaliptyczny krzyk dziecka w jednej z sal, zapytał:

— A w takim razie, co panią do nas sprowadza, jeśli nie to?

— Organizacja ślubu... — westchnęła.

— Przecież pani już chyba wyszła za mąż? A może mnie? — zainteresował się.

— To dla mnie nic dziwnego, ani zaskakującego — zapewnił żarliwie. — Wśród plemion starożytnych były takie zwyczaje, że związek małżeński zawierano dopiero, gdy dziecko miało dwa lata — mało które dożywały tak sędziwego wieku, więc było to pewnego rodzaju wydarzenie...

— Epokowe — wtrąciła.

— No, może nie epokowe, ale ważne. No więc?

— Chodzi o ślub mojej siostry.

— O, gratuluję! — Ucieszył się dyrektor. — Za kogo wychodzi za mąż?

— Za górala z Ochotnicy, uważającego się za przedstawiciela mniejszości narodowej, starozakonnego zresztą, który utrzymuje się z pisania do anarchistycznego pisemka — wyjaśniła ponuro.

— Cudownie! — rozentuzjasmował się dyrektor i docent Mogielnicki w jednej osobie. — Cóż za wyrafinowane połączenie! Starozakonny anarchista góral! Toż to w przyrodzie nie występuje...

— Niestety, muszę pana zmartwić. Występuje. I żeni się z moją siostrą, zwaną Larwą...

— Dlaczego nazywa ją pani larwą? — zainteresował się ogromnie dyrektor. — Czy to jakaś metafora? Siostrzyczka zmienia się w motyla? Transgresja?

Przemiana? Antropologia kulturowa zna wiele podobnych przypadków...

— Przykro mi, rozczaruję pana. Gdyby moja siostra miała zamienić się w motyla, to chyba w tę ćmę atropos, zmierzchnicę trupią główkę, wie pan, jak w tym kryminale...

— Cichym ścigałam go lotem" — Uwielbiam Joe Alexa. — Dyrektor prawie zaczął podskakiwać na fotelu. — Ile myśmy z panem Maciejem, Panie świeć nad jego duszą, godzin przegadali przy wódeczce! Pewnie pani nie wie, ale byłem jego konsultantem przy kilku powieściach, narzeczona detektywa, Karolina Bacon, jest w końcu archeologiem...

— Tak — stwierdziła Laura, która — jak na niedoszłego autora przystało — była wielbicielekłą klasycznego kryminału. — Moja ulubiona powieść to Zmącony spokój Pani Labiryntu. Dyrektor po prostu nie posiadał się z zachwyty. — Ale, ale! Proszę mi dokończyć, co z tym ślubem. Starozakonny i — pardonnes moi — Larwa, chcą może wynająć ogrody muzealne?

— Chcieliby — pokręciła się z niepokojem na krześle — ale pan wie, dyrektorze — koszty. Zdaję sobie sprawę, że to bardzo drogo kosztuje, tu się odbywają śluby śmietanki towarzyskiej, creme de la creme... Więc pomyślałam sobie, że może jakaś zniżka... Duża? Że może ja w zamian przetłumaczę dla pana stronę internetową muzeum?

Dyrektor zamyślił się głęboko i zlustrował Laurę wzrokiem. Potem popatrzył na Natrętnego, który w swoim kąciuku zajął się rysowaniem po jakichś ważnych papierach przygotowanych do archiwizacji.

— Nie, zrobimy inaczej. Ja państwu wynajmę ogrody na ten ślub, ale pani mnie wspomóż, jak pojawią się ci wariaci...

— W jaki sposób? — Przeraziła się. — Mam się przebrać za duszę potępioną i pohukiwać znacząco w podziemiach, kiedy miłośnicy Orbitowskiego zaczną pana nawiedzać?

— Nie. Napisze pani do tego piśmidła, niby od siebie, z wyjaśnieniami, że nic takiego tu nie miało miejsca, i w ogóle najlepiej, żeby pani im przedstawiła jakąś ciekawą historyjkę związaną z muzeum.

— Na przykład, że co noc mumie rozwijają się z bandaży i popijają okowitę na dziedzińcu? Dyrektor skrzywił się z niesmakiem.

— Chyba za dużo ogląda pani filmów w stylu Mumia powraca. Ja mam doskonałe materiały o Prasłowianach, o Swarozycu, Zadrudze, obrzędach równonocy... Chciałem

dać temu Orbitowskiemu, ale nawet o tym słyszeć nie chciał, tylko od razu pchał się do piwnicy... teraz oczywiście rozumiem po co, ale wtedy było to dla mnie niejasne...

— Dobrze. Chętnie napiszę taki list protestacyjny, zwłaszcza że te niby-dzieci porywano ze żłobka koło mojego domu. Wyobraża sobie pan, jaki stres musi mieć teraz kierowniczka tej placówki? xxx Dyrektor-docent był wniebowzięty. Na odchodnym obdarował Laurę swoją pracą naukową o starożytnych językach, nadbitkami artykułów o Prasłowianach oraz naklejkami przedstawiającymi mumie, które Młodzieniec od razu przykleił sobie na głowie. Wezwany w tempie ekspresowym doktor Tumanek wyprowadził Laurę wraz z całą tą karawaną-serajem na ulicę, zapewniając, że nigdy jej nie zapomni tego, co zamierza zrobić dla muzeum, i że osobiście dopilnuje dekoracji ogrodu na ślub siostrzyczki. Laurze zrobiło się po prostu głupio, że ukryła przed dyrektorem pewną straszną prawdę: sale muzealne posłużyły też za scenerię innej powieści — horroru Pilipiuka Księżniczka. Niestety, ten autor był dużo bardziej poczytny niż Orbitowski (bez obrazy) i Laura oczyma wyobraźni widziała już raczej pilipiuko-maniaków dokonujących nekromantycznych obrzędów przy mumiach niż orbitalnych fanów Orbitowskiego rojących się w piwnicach.

„Na Swaróżyca i Światowida, niech mnie młot Thora trafi w ten głupi łeb” — złożyła w myślach samokrytykę, przestępując z nogi na nogę na przystanku pod Filharmonią, gdzie zachwycone dziecko gruchało na widok okropnej rzeźby pod tytułem „fontanna Jaremiarki”, którą niedawno udekorowano Planty.

Fontanny stały się ostatnio obsesją Młodziaszka, który nie wyobrażał sobie spaceru bez odwiedzenia którejś (fontanna w Parku Krakowskim, fontanna na Plantach przy Basztowej, fontanna na placu Mariackim, fontanna koło pomnika Skargi, no i to dziwadło pod Filharmonią). Po chwili rozważań nad swym upadkiem moralnym (cyniczne ukrywanie prawdy o Pilipiuku) Laura doszła do wniosku, że postąpiła słusznie. Docent Mogielnicki nie był gotowy na szok, który mógłby wywołać u niego stan przedzawałowy albo nie daj Boże, zawałowy.

Wystarczy zobaczyć, jak zareagował na Orbitowskiego — prawie zemdłał. Doszła więc do wniosku, że właściwie wyświadczyła przełożonemu przysługę, nie informując go o przykrym incydencie. „A niech tego Pilipiuka!” — pomyślała jeszcze. — „Nie lepiej to umieścić akcję w urzędzie miasta? Tam to dopiero straszy”.

Święta prawda — w dawnym Pałacu Wielopolskich nie tylko straszyły duchy obecnych i przeszłych urzędników, ale i autentyczna Biała Dama, widmo bynajmniej niebędące zapowiedzią nadchodzącego kryzysu ani przestroga przed nierozważnym gospodarowaniem groszem publicznym, a duch jednej z dawnych mieszkanek tego budynku, zamurowanej żywcem przez męża.

Tramwaj wreszcie zamajaczył na zakręcie, Laura oderwała dziecko od fontanny i wyciągnęła telefon komórkowy.

— Załatwiłam ci — powiedziała ponuro, gdy już wpakowali się z Byłym Niemowlakiem do tramwaju. — Ale masz u mnie poważny dług. Będę musiała napisać opowiadanie fantastyczne o Prasłowianach i co gorsza umieścić je w jakimś piśmie.

— Co to dla ciebie — zlekceważyła jej zobowiązania Larwa. — Ty takie historyjki wymyślasz w pięć minut, nawet bez drinka... Mogłaś obiecać cały tomik!

— No, nie przeginaj, siostra, nie przeginaj... Bo każę ci przeczytać o kultach płodności... Wszystkie te wyrzeczenia i poświęcenia nie mogły jednak oddalić najgorszego — ślub Larwy zbliżał się coraz większymi krokami. Laura oczywiście żywiła niejaką nadzieję, że siostrzyczka rozmyśli się w ostatniej chwili i da w długą, ale nie zmieniało to faktu, że przygotowania zostaną dokończone, a uroczystość zorganizowana. Ślub młodszej siostry to okropieństwo samo w sobie, katastrofa wprost kosmiczna. Spróbujcie sobie to zresztą wyobrazić: czy ktoś mógłby wymyślić coś upiorniejszego? Ślub Larwy w muzealnych ogrodach, elegancki i bizantyjski, z widownią pełną byłych narzeczonych i ich zawistnych małżonek. Ślub, na którym ona miała być świadkiem. Wiadomo, taka uroczystość wymagała oprawy. I odpowiedniej sukienki. Sukni właściwie. Laura westchnęła głęboko, taszcząc wózek z Młodym po schodach.

„Sukni balowej nie dostanę w second-handzie” — kombinowała usilnie. — „Taka sukienka kosztuje najmarniej ze cztery stówy... Skąd ja tyle kasy wezmę?”.

W obecnej sytuacji finansowej, mocno nadwyrężonej inwestycją w ruinę na Przełęczy Knurowskiej, zdobycie podobnej sumy wydawało się zupełnie nierealne. W grę wchodziła jeszcze wypożyczalnia strojów teatralnych oraz występ w kreacji „bal gałganiarza”. Rozmyślając nad krachem swoich finansów, weszła do „Kop Ciuszka” i popchnęła wózek do stojaka z sukienkami. Tak jak podejrzewała — królował styl ciocia Klocia — bufiaste rękawy, nylon lub zielony aksamit ozdobiony srebrnymi aplikacjami. Dostrzegła też awangardową kreację z czerwonego plastiku, w której można z powodzeniem wystąpić na imprezie masochistów.

— Czego pani szuka? — zainteresowała się Piękna Mariolka, podając Byłemu Niemowlakowi swoją komórkę, co wzbudziło ogromną wdzięczność Dziecka.

— Sukienki wieczorowej na ślub siostry — westchnęła Laura. Piękna Mariolka wymieniła znaczące spojrzenie ze swoją asystentką Alicją.

— Mamy coś takiego. Przyszło w dzisiejszej dostawie, jeszcze niewycenione i niewystawione. Ala, skocz na zaplecze!

Ala ruszyła jak konik polny i za chwilę wróciła, tonąc w zwałach lawendowego, opalizującego szyfonu.

— Ale kolor — jęknęła nabożnie Laura, która uwielbiała lawendowy.

— Aha — potwierdziła Mariolka. — Do kompletu jest szal, torebka i buty, ale buty to sobie pewnie pani daruje?

Laura wyciągnęła drżące ręce.

— Za mała będzie — stwierdziła, jak to miała w zwyczaju, oglądając sukienkę.

— Gdzie tam! To rozmiar czterdzieści, wejdzie pani bez problemu, jeszcze trzeba będzie podłożyć...

— Zajmą się nim panie? — spytała proszalnie.

Piękna Mariolka wygrzebała ze stosu zabawek półmetrowego plastikowego robota R2D2 i pokazała Młodziankowi.

— Jasne, to nasz chłopak.

Laura weszła do przymierzalni i rozdziała się do rajstop. Suknia leżała idealnie, choć rzeczywiście w biuście trzeba było zwęzić. Bez ramiączek, mocno wcięta w pasie i udrapowana w stylu Domu Mody Balmain. Kompletny czad, zwłaszcza razem z torebką i szalem.

— Niech się pani pokaże — usłyszała głos właścicielki sklepu i niepewnie wyszła na salę.

— Nooo! Jakby dla pani szyta — zachwyciła się Ala.

— Mówiłam, że w biuście trzeba będzie podłożyć — z satysfakcją odezwała się Mariolka. — Ja to mam oko!

— Za długa. — Laura wykręciła się przed sklepowym lustrem.

— Bo to trzeba mieć buty na wysokim obcasie, butami się długość reguluje — pouczyła asystentka. — Może tylko trochę oldskulowa...

— Gdzie tam oldskulowa! — oburzyła się Mariolka. — Popatrz, jaki ma tren, to jest dopiero szyk!

— Właśnie, że moim zdaniem takie treny to były modne z pięćdziesiąt lat temu...

— Pani Ala ma rację. To jest suknia w stylu vintage, naśladująca lata pięćdziesiąte. — Starala się uniknąć chwytnych łapek Dziecka, które usiłowało złapać ją za brzeg sukienki. — Wzięłabym ją...

Ile to kosztuje?

Sprzedawczynie wymieniły spojrzenia.

— Hmm — powiedziała Mariola. — Kto by nam to kupił? Nie? — Ala gorliwie pokiwała głową. — To może dwadzieścia za sukienkę i dziesięć za torebkę i szal? Trzydzieści razem...

— Żartują panie...

Piękna Mariolka wzruszyła ramionami.

— Pani Lauro, gdyby to był dres z kreszu, bluzka z siatki albo malinowe futerko, to mogłybyśmy sobie policzyć jak za zboże... W ubiegłym roku miałyśmy tu suknię ślubną z autentycznej koronki, z trenem i wyszywaną kryształami Swarovskiego i nikt tego nie chciał... Ja w tej branży pracuję już osiem lat i wiem, że to jest wyjątkowa okazja, że trafił się klient na lawendowy szyfon balowy w rozmiarze czterdzieści...

— I niech się pani nad butami zastanowi — dodała Ala. — Numer pięć, wejdzie pani bez problemu, a z satyny w tym samym kolorze...

Laura zadumała się nad parą eleganckich czółenek, zupełnie nowych, bez najlżejszych śladów noszenia... Jednak nie. Pewnych rzeczy w życiu by nie zrobiła — nie

zjadłaby ślimaka, nie zabiła karpia i nie kupiła w second-handzie butów i bielizny. Brrr...

— Dziwna sprawa... — stwierdziła Alicja. — Te buty nawet podeszwy nie mają zadrapanej, jakby ich w ogóle nie włożyła... -

— Może się rozchorowała i nie poszła na ślub? — podsunęła Laura.

— A może panna młoda dowiedziała się, że narzeczony zdradził ją właśnie z tą przyjaciółką i ślub się nie odbył? — zastanowiła się Mariolka. — Co chcecie?

Oglądałam kiedyś taki film... Rewelacyjny! Panna młoda dowiedziała się, że świadkowa była kochanką jej faceta, więc wzięła inną koleżankę, no i okazało się, że ta inna też była kochanką niedoszłego męża...

— Super! Gdzie to takie pokazują? Na kanale Romans całą dobę? — zakpiła Alicja.

— Na pewno nie! — obruszyła się Mariolka i schowała buty na półkę. — Pani Laura przemyśli sprawę, buty czekają...

Laura wepchnęła górę szafonu do kosza pod wózkiem i tysiącrotnie dziękując, opuściła sklep. Miała fart jak rzadko. Zwykle, gdy szła kupić spodnie, wychodziła z kurtką, spódnicą dla siebie lub sweterkiem dla dziecka. To był pierwszy raz w życiu, kiedy udało jej się kupić dokładnie to, po co przyszła.

Sukienkę należy fachowo zwięzić i oddać do pralni. Niespodziewanie w zakresie przeróbek krawieckich przyszła jej z pomocą hrabianka Podkorecka, do której zajrzała z wizytą.

— Niech no pani się ubierze — zażądała „panna” Jola, gdy niezwykle z siebie dumna Laura pokazała jej nowy nabytek.

Z pomocą Marianny wdziała na siebie suknię i zaprezentowała się hrabiance.

— No, no. — Pani Podkorecka pokiwała głową. — Nader zgrabne, jakkolwiek na biuście wisi na kształt worka. Marianna! Przynieś no szpilek, zaraz to poprawimy! Powiem ci, drogie dziecko, że nie takie rzeczy umiem poprawiać!

Zawsze miałam do tego dryg, tylko nigdy nie zdołałam wykorzystać swych umiejętności. Kiedy byłam w Paryżu, pracowałam trochę w domu mody, podglądałam pokazy, projektantki. Ale w końcu doszłam do wniosku, że to nie dla mnie, wiesz, ja marksistka, a tu jakieś kapelusze, jedwabie...

— Przyjrzała się krytycznie sukni oraz Laurze w sukni i czterema szpilkami doprowadziła stanik do porządku. — Teraz Marianna to sfastryguje, a potem Marianna to przesyje, dyrygowała. — Tylko niech Marianna nic dobrze dobierze i uważnie szyje według fastrygi...

— Zupełnie jakbym kiedyś źle dobrała i szyła nieuważnie — obruszyła się gospodyni. — Panna Jola to zawsze wymyśla...

Hrabianka machnęła ręką.

— To straszne, co się z ludźmi dzieje na stare lata. Gderają, narzekają, okropni są. Mam tylko nadzieję, że nie zestarzeję się w ten sposób... Ale, ale, powiedz mi, Lauro, gdzie się podział ten miły wariat z gazety?

„Miły wariat z gazety” to oczywiście Rudy. Jakiś tydzień wcześniej zaciągnęła go do hrabianki celem przeprowadzenia wywiadu. Jak można było przypuszczać, Rudy i czerwona hrabina przypadli sobie do gustu wręcz niezwykle i spędzili miły wieczór przy wódeczce i śledziku.

Znaleźli oczywiście wspólny język i wymienili poglądy na temat całokształtu życia społeczno-politycznego. Pani Podkorecka udzieliła też obszernego wywiadu, który miał się ukazać w „Głosie Che Gevary” w następnym miesiącu.

— Niech się pani nie obawia — powiedziała wobec powyższego. — Nigdy go się pani teraz nie pozbędzie, będzie panią nachodził regularnie.

— I bardzo dobrze! — Hrabianka uderzyła końcem laski w stolik do kawy. — Potrzeba mi rozrywki intelektualnej. Ostatnio pogadaliśmy sobie miło o Lwie Szestowie... Ja co prawda nie lubię Dostojewskiego, bo to pijak i degenerat, ale porozmawiam zawsze chętnie.

Już dawno zauważyła, że w literaturze i nie tylko roiło się — zdaniem hrabianki — od degeneratów. Pomijając Celine'a i Dostojewskiego, wysoko na liście mieścili się Genet, Suskind, a nawet poczciwy Żeromski, którego pani Podkorecka podejrzewała o skłonności sadystyczne, co wyłożyła kiedyś Laurze przy herbacie, analizując Dzieje grzechu.

Laura i Rudy stali się więc częstymi bywalcami kamienicy przy Wesołej. Rudy (a później i reszta redakcji „Che Gevary”) znalazł spokojną przystań w apartamentach hrabianki, Laura skorzystała nie tylko z hojnej propozycji przeróbki weselnej sukni, ale i z oferty pana Lisieckiego, który wraz z Marianną chętnie pilnował Młodzieńca, gdy nieszczęsna matka musiała iść na niasiadówkę do Instytutu lub wykonać jakąś pilną pracę.

Stosunki zacieśniły się tak bardzo, że pewnego wiosennego dnia redakcja „Głosu Che Gevary” postanowiła w czynie społecznym wypielić zaniedbany ogródek należący do kamienicy pod 36. Panowie w strojach roboczych zabrali się rażno do pracy pod kierunkiem niez mordowanego Pereca, który zaintonował nawet pieśni w stylu Hej, młody junaku, Równać krok, przyjaciele! Komsomolcy na czele, czym doprowadził panią Podkorecką do śmiechu, zaś pana Karola do najwyższego oburzenia.

— No wiecie państwo, coś takiego — mruczał pod nosem. — Tyle lat walki z komuną, żeby mi teraz we własnym domu ZMP-owskie piosenki śpiewali.

Mimo tych zastrzeżeń pan Karol chętnie przebywał w ogródku i wdał się nawet z Percem w dyskusję na temat architektury modernizmu, podczas której Perce — mrugając znacząco do Laury i przy pełnej zgodzie hrabianki — stwierdził, że Hundertwasser to degenerat.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Dziwne rzeczy w lumpeksach

A: Ciuchy, buty, torebki, pluszaki, pościel, obrusy itp. — normalka. Czasem widziałam też wełnę, tkaniny na belach, dywany, zabawki edukacyjne i plastikowe, porcelanowe figurki, książki. Znalazłam budkę od wózka, nosidełko dla dziecka (takie na brzuch), ładny zestaw kosmetyków. Ale widok w lumpeksie naczyń — w tym kompletnego serwisu do kawy oraz ekspresu do kawy prawie zwałił mnie z nóg...

B: Sztuczne piersi. Serio, w Nowej Hucie na takiej wielkiej hali. Piersi były karykaturalnie wielkie, z jakiejś gumy w kolorze ciała i zakładane tak, że na plecach była gumka, taka do majtek.

C: Wibrator...

D: No, kochaniutkie, ja wczoraj na Puławskiej w sieci „Odzież na wagę” widziałam szczotkę do czyszczenia sedesu!!! I co wy na to? Chyba przebiłam nawet wibrator i sztuczny biust.

E: Rajstopy „lecnicze” wraz z receptą na nie...

G: Potnik (takie coś pod końskie siodło) i... tupecik.

H: Skórzany pejcz. Oczywiście kupiłam, mąż się ucieszył.

PIĘTA ACHILLESA

Ostatnimi czasy — oczywiście powodem była zbliżająca się uroczystość — Laura zaczęła zastanawiać się, ile czasu poświęca na upiększanie swej (wątpliwej) urody. Nie chodziło tu o mycie, makijaż i inne tego typu podstawowe i oczywiste zabiegi pielęgnacyjne.

Chodziło o detale.

Pewnego dnia przeczytała na jednym z portali, że wyznacznikiem zaniedbanej kobiety są brzydkie pięty. Tak właśnie, nie strój z second-handu, siano zamiast włosów i skóra spalona solarką, ale pięty właśnie. Wedle autora, statystyczna Polka chodzi w sandałkach lub nie daj Bóg japonkach, odsłaniając, żółte, popękane i zrogowaciałe jak pancerz chitynowy mastodonta pięty. Brak jej podstawowej kultury, czyli zabiegów na pięty właśnie. Brzydka pięta to obraz brzydkiej duszy. — grzmiał ów portal. Bez pięty zadbanej, to jak bez ręki, a nawet bez nogi. Przywołano nawet budujący przykład pewnej damy, która świecąc różowymi piętami w sandałkach, dostała stołek dyrektora, bo jej styl tak głęboko poruszył odnośnego prezesa.

Laura różne rzeczy z sobą robiła, ale z piętami nigdy nic. Spodziewała sieje zatem znaleźć w wielowiekowym zaniedbaniu, porośniętą krokodylą skórą jak mchem, przypominające bardziej zdrewniałe stopy hobbitów niż ludzkie nogi.

Ze strachem zzuła buty (klapory znaczy się) i spojrzała. Stopy miała ładne, różowiutkie i bez śladów chityny. Mimo to poczucie winy zagnało ją do supermarketu drogowego, gdzie za niewygórowaną cenę kupiła zestaw pielęgnacyjny: upiorną tarkę i krem natłuszczający. I tak do codziennych obowiązków kąpielowych (gąbka z peelingiem antycellulitowym, trzy różne mydła na trzy partie ciała, krem na suche łokcie, krem na pierwsze zmarszczki, żel pod oczy, szczotkowanie włosów i skrapianie ich jedwabiem w płynie, mleczko proteinowe na skórę wysuszoną oraz manikiur, pedikiur i depilacja) doszło pracowite piłowanie pięt tarką i późniejsze smarowanie ich kremem.

Wybuchła nerwowym chichotem, gdy trafiła (w rozmaitych piśmiślach i na licznych stronach kobiecych w internecie) na głęboką poradę: Weź relaksującą kąpiel. Jak kąpiel mogła być relaksująca, kiedy podczas niej człowiek musiał wykonać plan godny Wincentego Pstrowskiego (zapomniałam o maseczce z glinki oligoceńskiej do tłustej skóry, ale to co trzy dni, o mikrodermabrazji, ale to dwa razy w tygodniu przez miesiąc, nie częściej niż dwa razy do roku)? Kiedyś w wannie czytała, teraz nie miała na to czasu. Współczuła kobietom, które wszystkich tych zabiegów muszą dokonywać pod prysznicem. Nie dziwiła się też wątkowi na forum kobiecym pod tytułem „Nie lubię się myć wieczorem”. Ona też nie lubiła. Gdyby tylko chodziło o mycie — ale straszne było to „pielęgnowanie”.

I niby w imię czego? Szczerze wątpiła, że w piaskownicy jakiś trzylatek doceni jej różowe pięty i polakierowane paznokcie. Także wydepilowane stopy i brwi pociągnięte

henną. Obiegowa opinia głosiła, że takie rzeczy robi się „dla siebie”.

Brednia jak stąd do Władystoku łazikiem Jacka Hugo-Badera! Dałaby sobie głowę uciąć, że gdyby wylądowała na bezludnej wyspie, zapuściłaby się w try miga i z rozkoszą. Uwielbiała sobie to wyobrażać: włosy na nogach jak wodorosty, skóra na piętach jak kora dębu, włosy — jeden rozczochrany odrost, brwi jak Breżniew. No i byłaby chuda jak patyk. Bo na czym miałyby tyć? Na bananach i wodzie źródlanej? Wolne żarty!

Czasem przed snem, gdy zapadała w pościel obok Krzyśka, który z wieczornej kąpieli czerpał prawdziwą przyjemność, czytając gazetę i machając w wodzie owłosioną nogą, myślała o tej wyspie i swojej na niej degrengoladzie. Wychodziło zatem, że wszystkich tych męczarni nie znosi dla siebie, ale dla jakichś bliżej niesprecyzowanych odbiorców, którym być może wcale na tym nie zależy.

Laura po prostu bała się opinii publicznej. A nuż ktoś podda rewizji jej pięty i uzna, że są zapuszczone? A nuż odbędzie się lustracja paznokci czy konsylium nad skórą głowy? Trzeba być zawsze gotowym, immer bereit, jakby powiedzieli mili sąsiedzi. No więc ona była bereit, ale zżymała się za każdym razem, czytając babskie fora, z których dowiadywała się, jak zacofanym burakiem była przez całe życie. Nie wiedziała, na przykład, że dziecku lat dwa nie wolno zakładać na plażę bawełnianej koszulki celem ochrony przed poparzeniem słonecznym, lecz specjalną lycrę, dostępną w każdym markowym sklepie za około 100 złotych; nie wiedziała, że płaskie torebki są passę i zdradzają elegancję w stylu „wieś śpiewa i tańczy”; i nie wiedziała też najgorszego: po każdorazowym skorzystaniu z toalety winno się zmieniać bieliznę i szorować w wiadomym miejscu. Zachodziła w głowę, jak to robić w pracy lub publicznej toalecie, ale i na to znajdowały się rady — bieliznę trzeba nosić w praktycznym przewiewnym pojemniczku w torebce, zaś do umycia służą nawilżane chusteczki. Spróbowała kiedyś umyć się taką chusteczką Miłosza — porażka tak dotkliwa, że wynalazek wypadł z listy zakupów na zawsze. Otwartą paczkę wozila w wózku, a spryskane chemiczną substancją płatki cienkiej fizeliny służyły jej do wycierania butów. Wolałaby chyba się zaśmierdzić, niż wykorzystać takie coś w wiadomym celu. Nie zmieniało to jednak faktu, że była zacofana jak Piast Kołodziej.

Zazdrościła facetom: z wyjątkiem tych metroseksualnych, żaden nie przejmował się depilacją, epilacją, nawilżaniem i pielęgnacją. Pięty mieli jak żywe skamieliny, kłaki na nogach jak dżungla amazońska, a niektórzy nawet hodowali włosy w nosie i uszach. I co? I nic! Jakoś żaden facet nie stracił szansy na dobre stanowisko, strasząc żółtą skórą na piętach! Jednego takiego widziała nawet ostatnio w autobusie, wprost nie mogła oderwać oczu od jego zdrewniałych napiętków. Facet wesoło majtał sobie tragicznymi nogami w równie tragicznych klapkach i kpił z całego świata. Usiłowała spiorunować go wzrokiem, a w każdym razie oskarżycielsko spojrzeć na jego średniowieczną stopę; zrobiła nawet tragiczną minę i przewróciła oczami, co facet zinterpretował jako podryw i wyszczerzył się wdzięcznie. Tak, ten zaniedbany abnegat był na pewno szczęśliwszy od niej, albowiem nie musiał używać peelingu cukrowego do ciała oraz natłuszczać się w sześćdziesięciu pięciu miejscach. Co gorsza, nadmiar „dbania o siebie” — bo tak się

ponoć nazywały te mordercze tortury — jakby nie wychodził jej na zdrowie. Najgorsze rzeczy działały się z wzorowymi piętami. Po tygodniu regularnego skrobania zaczęły się pokrywać legendarnym pancerzem z naskórka, zrobiły się brzydkie i naprawdę wymagały reanimacji. Zwierzyła się z tego problemu siostrzyczce.

— Dochodzę do wniosku, że lepiej żyć w brudzie i w ubóstwie. Póki nie zaczniesz skrobać, masować, złuszczać i nawilżać, nic ci nie narasta i nie wysycha. Jak tylko rozpoczniesz jakieś działania, voila. Masz jaszczurcze skóry, zmarszczki i wory pod oczami...

— Wory to pewnie od skrobania pięt po nocach — prychnęła Larwa, demonstrując nową elegancką torebkę. — Po prostu źle to robisz. Powinnaś chodzić do fachowego salonu, a nie, pardon myfrench, skrobać się w domu...

Ha, Laura sama sobie winna. Jak zwykle zresztą. Dodatkowo załamała ją dyskusja przeczytana na forum Mężczyzna. Facecik o wiele mówiącym nicku Gryzilepek przedstawiał swoją wizję ogólnego zaniedbania rodu babiego: po trzydziestce każda — choćby nie wiadomo jaka wcześniej laska, foczka i tak dalej — zamienia się w mamuškę.

Mamuška jest gruba, krzywa na twarzy i w kręgosłupie, ma sflaczałe wielkie cycki, ubiera się w skórzaną kurtkę pożyczoną (zapewne) od pradziadka enkawudzisty, nosi krótką fryzurę z karkiem podgolonym jak u barokowego szlachciury, resztkami wyblakłych pasemek i trwałą. Laura zachodziła w głowę, gdzie Gryzilepek widywał takie okazy, podejrzewała nawet, że zbyt często bywa na przygranicznych targowiskach, bądź najął się jako przewodnik nielegalnych emigrantów. Sama znała ze dwadzieścia kobiet po trzydziestce i żadna tak nie wyglądała, co więcej, prezentowały się lepiej niż niejedna dwudziestoletnia „foczka” nadużywająca solarki, ubranek z cekinami madę in China oraz różu na policzkach. Dyskusja na forum była bardzo żywiołowa. Gryzilepek zagalopował się nawet, chcąc podać pozytywny przykład swej dwudziestoosmioletniej żony, która nie tylko się nie zaniedbała w wyżej wzmiankowany i na odrazę zasługujący sposób, ale nawet wygląda „jak Monica Bellucci”. Na co otrzymał natychmiastową ripostę od wrednej trzydziestoletniej mamuški: „Gratuluję żonie, że mając 28 lat, wygląda jak kobieta po czterdziestce!”. Mamuški zaczęły natychmiast obrabiać doopy powabnym trzydziestolatkom płci przeciwnej — zalegającym przed plazmą z pilotem w dłoni i hodującym sporą oponkę, zazwyczaj już mocno łysawych. Co ciekawe, im typ bardziej obrośnięty tłuszczem, a mniej włosiem, tym goręcej krytykował brzydotę i zaniedbanie koleżanek. W tym miejscu podnoszono wszelkie grzechy polskiego macho: niechęć do mydła i dezodorantu, strach przed dentystą, owocuający poważnymi brakami w użębieniu, brak gustu w ubieraniu się, strzyżenie metodą Adama Słodowego („zrób to sam”) oraz rozmaite niedostatki intelektualne i duchowe.

Rozmyślając zatem o cowieczornym piłowaniu pięty, Laura zrozumiała, że robi to dla Gryzilepka — tego wysublimowanego estety z forum. Jeśli go tylko spotka, będzie biegła za nim z krzykiem, by podsunąć mu pod nos swą gładką piętę, zarzucić grzywą wysilikonowanych włosów oraz poglądowo pokazać, jak wygląda dobrze zrobiony

manikiur. Warto było zatem i należało dalej usilnie pracować nad sobą, ażeby duch w narodzie nie zginął.

Tego dnia podziwiała właśnie (dyskretnie oczywiście) pięty w piaskownicy, ponieważ Młodzieniec zajął się przesypywaniem piasku przez sito (nowo przyswojone słowo „kamik”), kiedy w pole jej widzenia weszły dwie osoby, płci najwyraźniej żeńskiej. Siedziały na brzegu drugiej piaskownicy i rozprawiły z zapalem o nowej książce Bożeny Keff. Laura zagapiła się na nie z zazdrością.

Jedna miała krótkie czarne włosy postawione na mikroskopijnego jeża, zaś druga malinową fryzurę d la Mireille Mathieu, czy jak się nazywała ta gwiazda francuskiej piosenki lat siedemdziesiątych. Laura nie czytała Bożeny Keff. W ogóle ostatnio do zapuszczenia fizycznego doszło jeszcze intelektualne. Parę dni wcześniej zajrzała do księgarni, gdzie zobaczyła publikację Hannah Arendt.

Kiedyś rzuciłaby się na nią jak legendarny sęp miłości z pewnej piosenki, teraz minęła ją obojętnie. „Nie mam na to czasu” — pomyślała, żeglując ku półkom z romansami Danielle Steel. To oczywiście żart, bo nie czytywała Danielle Steel, no, może jeden jedyny raz, jak znalazła wiekopomne dzieło tej autorki pod tytułem Klejnoty w pociągu relacji Zurych-Bazylea, i wydało jej się, że to życie daje jej jakiś znak i romansidło koniecznie trzeba przeczytać, bo może chodzi o to, by z historyka sztuki przerobiła się na jubilera, o co w tym pięknym kraju nietrudno.

Laura czytała wyłącznie Dubravkę Ugresić, której nigdy nie miała dosyć, ale wstyd się przyznać — nie pasjonował jej w tych książkach feministyczny dyskurs czy zaangażowanie polityczne. Uwielbiała humor tej autorki, a jej największym marzeniem było Pisać jak Dubravka Ugresić. Jedni chcieli być jak John Malkovich, ona zaś chciała właśnie tego. Gdyby udało się jej uzyskać, nie, choć zbliżyć się do stylu Ugresić, jej ewentualny kryminał in spe zagościłby bez wątpienia na listach bestsellerów. Wyobraźmy to sobie: kryminał z sensacyjną, przykuwającą uwagę akcją plus wystrzałowy czarny humor! Stephen King może spokojnie powiesić pióro na kołku i zabrać się do pielęgnowania swego ogródka w Bangor w stanie Maine. Dwie feministki tymczasem kontynuowały wywód Utworze o matce i ojczyźnie, budząc w niej coraz większe poczucie winy.

Trzeba wrócić do księgarni i nabyć Arendt, należało też iść do Korporacji Halart i kupić (lub — to jeszcze lepsze — wyłudzić) Bożenę Keff. Wyłudzenie należało niegdyś do jej ulubionych zajęć — wyłudziła niezliczoną ilość książek od wydawców i nieszczęsnych autorów. Zwłaszcza z autorami było łatwo: „Bardzo chciałabym to przeczytać” już książka przechodziła z ręki do ręki — wydawca rzadko nabierał się na takie plewy. Zresztą szanujący się autor mierzył swą popularność liczbą wyłudzonych, a jeszcze lepiej — ukradzionych książek.

Rozmawiała kiedyś z pewnym zacnym pisarzem laureatem, który zwierzył jej się, że największą radość sprawiła mu wiadomość uzyskana od rozwścieczonego wydawcy, że na targach książki ukradziono dwadzieścia egzemplarzy jego najnowszego dzieła. Wtedy dopiero — opowiadał pisarz — odczuł swoją sławę.

(Znacie tę anegdotę o Wiktorze Hugo? Raz zapytano pisarza: „Kiedy najbardziej odczuł pan swoją sławę?”. Hugo w odpowiedzi przedstawił całą historię. Oto pewnego dnia wracał późno w nocy do domu i czekając na otwarcie bramy, poczuł, że musi szybko załatwić potrzebę fizjologiczną, więc zrobił to. Nagle ktoś złapał go za ramię i wrzasnął do ucha: „Ty stara świnio! Nie wstyd ci robić coś takiego akurat pod domem, w którym mieszka Wiktor Hugo?”).

Te wszystkie myśli przemknęły jej rącho przez głowę, gdy nadal wpatrywała się w dwie interesujące młode intelektualistki.

— Co się tak gapisz? — zapytała (naturalną kolejną rzeczą) ta z malinowymi włosami.

— Słucham, o czym gadacie — odpowiedziała z prostotą.

— Aha — stwierdziła ta druga, obcięta na jeża. — I co ci z tego wyszło?

Czytałaś Keff?

— Nieeee — wzruszyła ramionami Laura — nie czytałam. Czytam wyłącznie Dubravkę Ugresić. Dwie wymieniły między sobą znaczące spojrzenia.

— No tak, Ugresić. Ta bałkańska, pożał się Boże, damulka — prychnęła malinowłosa i mało brakowało, a splunęłyby do piasku z pogardą.

— Dlaczego? — zainteresowała się niepomiernie Laura.

— Nic jej, hrabiance, nie pasuje. Czytałam jakiś jej esej o tym niby, że na ulicy brudno, bo dzieci rzucają popcorn, w windzie śmierdzi szczyną-uryną, a w kawiarni laska wyklada nogi na stół i Ugresić to zbrzydza.

— Mnie też raczej zbrzydza — przyznała nieśmiało Laura. Dwie popatrzyły na nią w taki sposób, że doszła do wniosku, że ona też je zbrzydza.

— No jasne. To widać po tobie — powiedziała ta z jeżem.

— Że niby co?

— Tę całą niby-kulturkę. Popatrz, kochana, jak ty wyglądasz. Jak nieszczęsna ofiara patriarchy: wypilowane pazury, lakiery, jakieś dziwaczne kłapeczki i jeszcze, dam głowę sobie uciąć, że masz peeling zrobiony na całym ciele.

— No — przyznała z satysfakcją Laura. — I pięty mam zrobione. Zzuła kłapek i pokazała. Dwie wyglądały na zbrzydzone do granic.

— Patriarchat. Kobieto, ty gnijesz od środka. Stałaś się zabawką w rękach samców alfa! Poczytaj sobie coś twórczego, choćby Waginę Blackledge, a nie zawracaj sobie głowy nudną Dubravką!

— Dubravka skończy jak Fallaci — wieszczyła nawiedzonym głosem ta z różowymi włosami. — Już jej muezzin przeszkadza, bo się za bardzo wydziera...

— O, przepraszam bardzo... — wtrąciła Laura.

— Ty nie przepraszaj, ty spróbuj się wyzwolić. Za chwilę zaczniesz czytać pisarzy, którzy uważają, że każda kobieta to cierpiąca na migrenę dwulicowa dziwka...

— Musisz walczyć. — Pokiwała głową ta druga. — Damy ci zresztą broszurę.

Tu sięgnęła do swej przepaścistej torby i podała Laurze coś słabo odbite jako setna kopia kserograficzna.

„Pochwała Matriarchatu” — przeczytała Laura. — „Pismo Wielka Bogini”.

Wpatrzyła się w dwie wzrokiem pełnym rozpaczy.

— Spokojnie — powiedziała ta różowa. — Najważniejsze, żeby się określić. I nie wpaść w sidła tych pseudołowicowych pseudojdeologów. Nie wiem, czy wiesz, ale tu przychodzi taki jeden...

— Redaktorek... — prychnęła druga.

— Potworek. Niby lewicowy portal prowadzi... — I gazetę — dodała ta na jeża.

— Guzik prawda! Zbawiają świat na sposób patriarchalny. I jeszcze ta laska, co tam u nich pisze...

— Jaka laska? — słabo jęknęła Laura, mając już pewien obraz tego, co usłyszy.

— Panienska „Poradnik Domowy”, żebyś widziała, jakie to żałosne...

— Do szpiku zeżarta przez patriarchat, wypisuje o tanich zakupach, second-handach. — Tu zachichotały jak hieny. — Gdzie można kupić towar z promocji, kremik, pieluszki, podkoszulki...

— Tragedia — podsumowała ta z jeżem. — Ta ciocia dobra rada, to największy obciach tego ich portalu... Obok oczywiście treści ideologicznej, która jest nikczemna...

Niestety, nigdy nie dowiedziała się, dlaczego treść ideologiczna „Głosu Che Gevary” wydaje się przedstawicielkom „Wielkiej Bogini” nikczemna. W bramie pojawił się bowiem Rudy i wesołym krokiem zmierzał do piasku.

— Cześć, Zmory — powitał malinową i tę na jeża. — Jak się macie? Eksport rewolucji? Czy zaczynacie głosić jak badacze pisma? Widzę, że poznałyście już Laurę, podporę naszej redakcji... Dwie rzuciły jej zabójcze spojrzenia, wysyczały: „Zdrajczyń!” i zmyły się w mgnieniu oka.

— Zwariowane baby — podsumował Rudy. — Mają coś z głową. Albo leki źle dobrane, albo wcale nie biorą...

— Ueee — zaprotestowała Laura, która choć dotkliwie spostonowana, chciała być sprawiedliwa. — Mają rację: same u was samce alfa...

— Jakie samce? Jakie alfa? Kto samiec? Może ja, co? — Wymownie pokazał ręką na wózek z Dolores i całą baterię niemowlęcych gadżetów w koszyku. — Albo Perce zdominowany przez twoją, tfu, siostrunię?! Ja to, wiesz, chciałbym być alfa, nie powiem... Ale chyba jestem jakiś samcem beta, jeśli nie omega w ogóle...

Laurze zrobiło się go żal. W sumie nienawidziła go za całokształt, ale trudno go też było nie lubić.

— Ale, ale — odezwał się samiec omega. — Masz śliczne pięty, takie różowiutkie jak Dolores, już dawno cię miałem pytać, jak ty to robisz? Ja mam okropne, skóra jak u

krokodyla, no koszmar, popatrz...

— Wiesz co? Ty chyba nie jesteś samiec omega, ale gej — stwierdziła, posłusznie poddając ogłędzinom pięty kolegi. — Zapuściłeś się — zawyrokowała.

— Zaraz ci wytłumaczę, co masz robić. Wyłuszczyła dokładnie, o jakie zabiegi chodzi. Rudy wybałuszył oczy ze zdziwienia, odsapnął, a potem powiedział:

— Jak mam to wszystko robić, to wiesz, ja się zapisuję do tych alfa.

— „Każda kobieta to cierpiąca na migrenę, dwulicowa dziwka” — zacytowała natchnionym głosem. — No, nie gap się tak, Zmory mówiły, że tak uważa każdy alfa.

— „Każda kobieta to cierpiąca na migrenę, dwulicowa dziwka” — wypowiedział z namaszczeniem Rudy i w tym momencie oberwał zza pleców torebką.

— Ja sobie wypraszam, mój panie! — wrzeszczała czerwona jejmość. — Od dwudziestu lat cierpię na migreny, nie jestem dwulicowa ani tym bardziej — niestety, mój drogi — dziwka...

— Mnie też jest przykro — zapewnił ją Rudy i za tę deklarację dostał po raz drugi.

— Kobieta cię bije. Zwycięstwo Wielkiej Bogini, trzeba zawołać Zmory, żeby zrobiły wywiad z tą napastniczką...

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Czy wierzycie w „cioty”?

A: Mój mały ryczał w nocy... Myślałam, że to zęby, nawet watek tu dałam o tym. Pisałyście mi, żebym dała viburcol, to o 11 w nocy wysłałam męża po te czopki... 2 dni temu, będąc u mojej mamy, poszłam z małym na spacer i sąsiadka do mnie podeszła, mówi, że fajny chłopak, a potem, że jest zaciotowany... Poszłam do mamy, a ona zlizwała mu czółko i pluła w cztery kąty (he, he), nie wierzyłam, ale nie dałam małemu czopka na noc, a on mi spokojnie przespał pierwszy raz!!! Całą noc bez krzyków... Teraz to mi spokoju nie daje... Co o tym myśleć??? Bujda, czy coś w tym jest???

B: A co to znaczy zaciotowany???

C: Zaciotowany to inaczej zauroczony. Kiedyś też miałam taki przypadek, myślałam, że synuś ma kolkę. Do akcji wkroczyła moja mama, sprawdziła mu językiem czoło — było słone, a skąd u takiego maluszka, który tylko na cycusiu, który nawet jeszcze łez słonych nie ma, sól na czole. Wygoniła nas z pokoju, urok odczyniła i cudowne dziecko. Podobno czerwona kokardka z bozinką nie wystarcza; jak ktoś zachwycy się dzieckiem, to w duchu należy powtarzać: „W dupie dziura od uroku”. Ja choć w zabobony nie wierzę, to tak robię cały czas, nawet teraz, jak dzieci większe, żeby grzeczne były.

D: Niby nie wierzę, ale kokardkę czerwoną mam na łóżeczku i w wózku zawiązaną. A tak poważnie, to chyba coś w tym jest, a kąpiel w czarcim źebrze to nigdy nie zaszkodzi.

E: I tak internet dotarł pod strzechy...

F: Do pieca wciąż wsadzają swoje dzieci?

G: Nie, kochana/kochany, teraz albo do mikrofalówki z funkcją grilla, albo do piekarnika z termoobiegiem, są też nowe wytyczne odnośnie zdrowasiek: mikrofalówka — 1 zdrowaśka (wszak tam wszystko szybko się robi), piekarnik z termoobiegiem — 2 zdrowaśki (ponoć on szybszy ciut jest od piekarnika bez termoobiegów), dla posiadaczy pieców kaflowych bądź piekarników bez termoobiegów zalecane jest odmówienie 3 zdrowasiek.

H: U mnie w rodzinie było kilka przypadków, że zadziałało odczynianie uroku. Co do chorego dziecka, to słyszałam, że powinno się przelać jajko z wodą w szklance — tak ze szklanki do szklanki przelać i postawić pod główką dziecka pod łóżeczkiem. Jak się zburzy jajko, to znaczy, że ktoś na dzidziusia urok rzucił.

I: Błąd. Należy dziecko włożyć do pieca na trzy zdrowaśki. Źródło: nowela pt. Antek B. Prusa.

J: Razem z jajkiem — będą jaja na bekonie.

K: Widzę, że jedna z nowel poważnie zryła psychikę narodowi. Z drugiej strony można stwierdzić, że jednak lektury szkolne są czytane.

L: Ja nie rozumiem tych sceptyków, co to w cioty nie wierzą! Jacyś zacofani są, telewizji nie oglądają! Przecież cioty przynajmniej raz do roku urządzą parady w większych miastach i robi się o nich głośno. No, ale faktem jest, że TV kłamie i nie tylko cioty można tam zobaczyć, ale i yeti, Jozina z Bazin czy inną Głodzillę.

Ł: Jozina z bozinką chyba.

AMEBA KORPORACYJNA

Zapisanie się do portalu nasza-klasa okazało się strzałem w samo sedno tarczy (jak mawiał pewien generał w Rozmowach kontrolowanych). Laura, zachęcona SMS-em dawnej koleżanki, założyła sobie profil i wpisała się do swojej byłej podstawówki. Natychmiast szerokim strumieniem zaczęły napływać zaproszenia do listy znajomych: od psiapsiółek, dawnych wielbicieli, a nawet — co szczególnie ją zdziwiło — od niegdysiejszych wrogów.

W ten sposób w jej życiu po raz kolejny pojawił się Antoni. Trudno dociec, do której z wymienionych grup się zaliczał — chyba jednak do ostatniej. Laura i Antoni siedzieli w podstawówce w jednej ławce i szczerze się nienawidzili, to znaczy ona nienawidziła kolegi, między innymi za to, że zwykł wypisywać do niej podczas lekcji liściki, w których jej imię występowało jako „Lała”.

Charakterystyczna była rozmowa, którą matka Antoniego odbyła na wywiadówce z matką Laury: „Proszę pani, Antek nie może siedzieć z Laurą, bo ona ciągle go bije”, matka Laury zaproponowała zatem zgłoszenie sprawy wychowawczyni i rozsadzenie tej niedobrej pary. „W tym rzecz, że Antoni nie chce się przesiąść”

— stwierdziła jego zboląła rodzicielka. I tak, Antek i Laura dosiedzieli razem do końca podstawówki, kiedy to rozstali się na wieki wieków amen i jakoś nie tęsknili za sobą. Teraz jednak Antoni wysłał koleżance ze szkolnej ławy zaproszenie do listy znajomych, poparte osobliwym mailem. Donosił w nim, ni mniej, ni więcej, że dobrze obejrzał sobie jej zdjęcie w portalu, bo gdyby była gruba, nie chciałby jej wśród swoich znajomych — zaprasza bowiem tylko te dziewczyny, którymi może się pochwalić przed żoną. Laura z przykrością skonstatowała, że Antoni ma dalej narobione w głowie, jak za dawnych czasów, i odłożyła sprawę ad acta.

Jednak Antek nie rezygnował, wysłał kolejny list, w którym dowodził, że portal nasza-klasa to socjologiczne świadectwo umysłowego ubóstwa jego uczestników: panny brzydkie lub mało popularne fotografują się z narzeczonymi lub w dniu ślubu, ci, którym się nie przelewało, demonstrują domy, samochody i inne dobra materialne. Laura z ciekawości zajrzała na profil Antoniego — główna fotka przedstawiała koleżkę w towarzystwie... korzenia, inne były sprawozdaniami z wycieczek zagranicznych: Wenezuela, Dominikana, Wyspa Wielkanocna.

Zastanawiając się nad freudowską interpretacją korzenia, napisała Antoniemu, że jest głupi. On jak zwykle się na nią nie obraził, tylko wysłał jej zdjęcie swej żony i sześciotygodniowego syna Eryka. Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Antkiem, która miała miejsce kilka lat temu. Po zwyczajowych: „Cześć, co u ciebie”, wyznała, że jest mężatką, lecz dzieci nie ma. Antek natychmiast zaczął rozwijać teorie rodem z portalu Nienawidzę dzieci — sam niedawno się ożenił, nie zamierzał ubierać się w niemowlaka, planeta jest przeludniona, ludzkość nieszczęśliwa, po co więc sprowadzać

na ten padół leż kolejne dziecko? Poza tym firma mu świetnie prosperuje i niby dlaczego miały się teraz skupić na kupie (z tego ostatniego kalamburu Antoni był szczególnie dumny).

„Firma” — pomyślała Laura, którą nagle olśniło.

Antek prowadził dużą hurtownię budowlaną o dźwięcznej nazwie „Haus Factory”. W przewidywaniu nadchodzącego remontu posiadłości w Ochotnicy, odnowiona znajomość wydawała się cenna. Przemogła się, zadzwoniła do Antka i wprosiła na kawę — hurtownia, cudownym zbiegiem okoliczności, znajdowała się na trasie codziennych spacerów z Byłym Niemowłędziem. Z pewną trudnością wepchnęła wózek na plac, gdzie uwijali się robotnicy przerzucający cegły, i znalazła biuro. Nie był to wcale — jak podejrzewała — budynek z praktycznej melaminy, ale solidna architektura. Antek powitał ją na progu, nic się nie zmienił: pozostał długi, chudy, z wystającą szczęką.

— Laura! — zawołał od razu. — Nic się nie zmieniłaś! Poczula się mocno urażona.

— To ja zawsze taka stara byłam? Nie zalewaj! Wprowadził ją i Byłego Niemola do eleganckiego biura, gdzie Dziecię zostało pozbawione wierzchniego okrycia i zajęło się pilnym łożeniem po pomieszczeniu, zaś Laurę uraczono kawą.

— Pięknego masz synka — zagaił Antoni. — Ale mój też jest śliczny! Po Paulince... Z niedowierzaniem pokręciła głową.

— Jak się widzieliśmy ostatni raz, to mówiłaś, że nie chcesz dzieci...

— Coś ty! Uwielbiam dzieci! Na Eryka to mogę godzinami patrzeć! Na tego twojego też... — Ta uwaga była akurat na miejscu, bo Miłoz właśnie dobrał się do sterty segregatorów i zaczął wprowadzać swoje porządki.

— Chodź tu, Trutniu! — powiedziała matka. — Dostaniesz ciasteczko...

Na dźwięk lubego słowa „ciasteczko” Dziecko porzuciło niszczycielskie zajęcie i posłusznie podeszło do matki.

— Dzieć je! — oświadczyło radośnie, wbijając nieliczne zęby w herbatnik.

— I mówi! — zachwycił się Antoni. — Jaki fajny!

— Tiaaaa... Jak śpi i jeść nie woła... Ale, ale, ja tu do ciebie tak bezinteresownie nie przyszłam...

— Domyślam się — stwierdził. — Przez moment zaświtała mi myśl, że sumienie cię ruszyło i chcesz mnie po latach za to bicie przeprosić, ale to nie w twoim stylu...

— Chłe, chłe, chłe. Chodzi o to, że razem z Iloną, moją siostrą... Pamiętasz Ilonę?

— Tak, okropne brzydactwo, co u niej?

— Obecnie jest bardzo ładna i właśnie wychodzi za mąż...

— Ładna? — zdziwił się. — To chyba niemożliwe? Taki chudy wypłosz z niej był, ale ludzie mają dziwne gusta.

— Okej, nieważne — skapitulowała. — Razem z Iloną kupiliśmy dom na wsi.

Domek śliczny, okolica też, ale wszystko trzeba remontować... Nie ma łazienki, chcemy adaptować strych...

— Rozumiem. Forsy nie macie — skonkludował.

— No tak, wszystko się do tego sprowadza. Wydałyśmy całą kasę na ten dom, zadłużyłyśmy się nawet... Ale jak ja mam tam z Dzieciakiem jeździć, jak łazienki nie ma?

— Nie ma sprawy. Policzę wam po cenach hurtowych i dam na raty... — zgodził się Antek, rozrzuwionym wzrokiem obserwując Namolnego Dzieciaka.

— Coś ty... — Laura nie posiadała się z wdzięczności.

— Masz jakiś projekt? Coś, na czym można się oprzeć, wyliczając ilość materiałów budowlanych?

— Nie...

— Wspaniała organizacja... No to, kochana, musimy tam pojechać, żebym mógł zrobić projekt i kosztorys...

Laura była w siódmym niebie.

— Jedźmy, jedźmy, nie ma sprawy...

W następną niedzielę na podwórku pod domem Laury zebrało się dziwaczne towarzystwo: Larwa z Perecem, Agata i Rudy, który miał występować jako pomoc budowlana, Antoni z Paulinką oraz Laura i Krzysiek. Były i obecne niemowlęta oraz noworodki zostały oddane w fachowe ręce babć, a matki — z wyjątkiem jedynej w tym towarzystwie karmiącej — aż przebierały nogami w oczekiwaniu na libację. Zdecydowanie najciekawszą osobą w tym towarzystwie była Agata, żona Rudego. Miała krótko obcięte czarne włosy („To moda z lat dwudziestych, a Za garson" — wyjaśniła zdumionej Paulince), gigantyczne kolczyki ze srebra w kształcie kół i cudaczną artystyczną przyodziewę, składającą się z kwiecistej spódnicy, szala i koronkowej bluzeczki. Paulinka z kolei nosiła się na sportowo: rude włosy spięła w gigantyczny koński ogon, a oprócz tego w jej obrazie dominowały adidasy, sportowa bluza i czapka z daszkiem. Laura od razu poczuła sympatię do żony Antka, która była najwyraźniej zachwycona, że na kilka godzin pozbyła się swego Świeżaka, to jest nowo narodzonego synka. Zanotowała taką rozmowę pomiędzy Agatą a Paulinką:

— Jesteś koleżanką Laury? — zapytała Agata, a Paulinka pokręciła przecząco rudą głową.

— Laura to jakaś dawna miłość mojego starego... z podstawówki. .. A ty skąd ją znasz?

— To aktualna miłość mojego starego, z parku...

— Bez jaj — włączyła się do rozmowy Laura. — Z Antonim się nienawidziliśmy w szkole, ciągle go biłam, a twój mąż, Agata, to świr...

— Tiaaa — potwierdziła Agata, wyciągając papierosa, na którego Paulinka spojrzała pożądliwie — za to właśnie go kocham... Ale nie zalewam. Jak mi powiedział, że siedzi

na ławce w parku z jakimś dziadkiem i z tobą, to najpierw myślałam, że wy jakąś sektę tworzycie... potem że wszyscy zgłupieliście, bo kto by się z Piotrkim chciał przyjaźnić...

— No tak, to rzeczywiście podejrzanе — przyznała. — Potem pewnie doszłaś do wniosku, że jakaś zwariowana wariatka chce ci odbić faceta...

— Ueee, żeby tak, to nie... — zaprzeczyła Agata, wyciągając paczkę fajek w kierunku Paulinki, która głośno przełknęła ślinę.

— Nie mogę, karmię...

Laura i Agata wybuchnęły złośliwym śmiechem.

— Zygu, zygu, zyg — powiedziała Laura, a Agata pocieszyła znękaną Paulinkę:

— Spoko, pokarmisz trochę, a potem dasz sobie na wstrzymanie...

Mniej więcej w tym momencie Ilona zakończyła przegląd vana Antoniego i zarządziła wsiadanie. Antek, pomagając umeścić się Paulince na siedzeniu obok kierowcy, teatralnym szeptem zwrócił się do Laury:

— Dobrze, że ta twoja siostrzyczka sobie kogoś znalazła... Brzydactwo straszne, chudzina, więc pewnie nie było łatwo...

Laura nic na to nie odpowiedziała, tylko zapadła się w kanapę koło Agaty. Ta, ledwo samochód ruszył, wyciągnęła z przepastnej torby piwo.

— Ty chyba nie karmisz? — zwróciła się do Laury, która już wysuwała chwytną łapkę, dając jednocześnie kuksańca Larwie, która też pożądliwie spoglądała na torbę.

— Przymalujemy się dzisiaj — z zadowoleniem stwierdziła Agata, wyciągając nogi przed siebie. — Nie macie pojęcia, jak mi brakuje takiego porządnego sponiewierania się w damskim towarzystwie... W firmie prawie sami faceci, trzeba się zawsze pilnować...

— Biednaś... — powiedziała Larwa, ale w jej głosie nie było wcale współczucia.

Agata zachichotała z aprobatą i stuknęła się z Iloną butelkami. W przedniej części samochodu panowie rozprawiali na temat remontu, zaś Paulinka co chwila obracała się za siebie, z nadzieją i smutkiem patrząc na dziewczyny. W końcu, po dobrej pół butelce piwa, aluzję zrozumiała Laura.

— Paulina, chodź tu do nas pogadać! Co będziesz z chłopami siedzieć!

Paulinka dosłownie wyprysnęła z przedniego fotela, który natychmiast zajął Rudy, perorujący z wielkim znanstwem o cegle klinkierowej.

— Napij się — zachęciła ją Agata, ale Paulinka pokręciła głową.

— Nie mogę, bo wiecie, ja...

— KARMIE!!! — chóralnie wrzasnęły pozostałe trzy.

— Dzisiaj nie karmisz, więc wyluzuj. Jedno piwko cię nie zabije, a w ciągu dnia wypłucze się z organizmu — objaśnił szatański kusiciel w osobie Agaty.

Paulinka z wahaniem sięgnęła po butelkę.

— Myślicie, że mogę?

— Możesz, możesz, najwyżej dasz Erykowi sztuczne mleko... — podsunęła Laura. Paulina wzdrygnęła się jak porażona przez prostownicę do włosów.

— Sztuczne? Coś ty?

— To nie cyjanek — siorbnęła znad butelki Agata.

— Ani klej do tapet — dodała Laura. — Miłosz od siódmego tygodnia na Papilonie Super i ma się świetnie...

Paulinka wygłądała na formalnie wstrząśniętą.

— Co wy mówicie? Mnie położna w poradni laktacyjnej powiedziała... Laura i Agata wymieniły znaczące spojrzenia.

— Najpierw zainkasowała sto złotych, a potem zabroniła ci dawać mleko modyfikowane? — spytała Agata.

— Zainkasowała siedemdziesiąt, ale poza tym wszystko się zgadza.

— Siedemdziesiąt złotych to cztery puszki Papilonu Super — podliczyła Laura. — Przeinwestowałaś...

— O czym wy w ogóle pieprzycie? — spytała sympatyczna jak zwykle Larwa.

— Od tych gadek matek to się na rzygi zbiera... Może jeszcze coś o połogu lub defekacji niemowlęcia? Czekam z zapartym tchem...

— No, żebyś przez to zaparcia nie dostała — zauważyła życzliwie Agata.

— Na zaparcia najlepsza herbatka z kopru włoskiego — dodała Paulinka, rozkoszując się pierwszym łyżkiem piwa. — Boże, jak mi tego brakowało... A Antek to mi na nic nie pozwala. Piwa nawet bezalkoholowego, lodów, ciastek...

Tylko indyk gotowany, marchewka i ryż... Wściec się można! Tak mu ta z poradni rozpisała...

— Niech sam zje ryż z marchwią! — powiedziała Laura. — I pokarmi trochę — zachichrała Agata.

— Chłe, chłe, chłe — zaśmiała się buntowniczo Paulinka, która dossała się do butli, jak nie przymierzając, Niemowlę do piersi.

W miłej i rodzinnej atmosferze dojechały do Ochotnicy Górnej, gdzie Agatę trzeba było prawie wynosić z auta i targać na plecach przez las. Domek zachwyił wszystkich. Antoni przy pomocy Pereca zajął się planami technicznymi, Rudy z Krzyśkiem opukiwaniem fundamentów, zaś lejdis wybrały się na pouczającą wycieczkę do lasu. Wieczorem odbył się wyjazdowy bal samców u braci Pereca, zaś koleżanki — zgodnie z przypuszczeniem — raczyły się kolorowymi drinkami na podłodze nawiedzanej chałupy. Zwłaszcza Paulince wyszło to na zdrowie — po wypiciu czterech lajtowych koktajli zaczęła wygłaszać feministyczne przemowy godne Wandy Nowickiej lub przynajmniej Kazi Szczuki i deklarować, że nie da się zniszczyć Antoniemu. Jej manifest został przyjęty oklaskami, ale potem osłabła i zapadła w niebyt na karimacie Larwy, więc Agata sięgnęła do torby i wyjęła butelkę mętnego płynu.

— Dobra, to by było na tyle, jeżeli chodzi o Matkę Polkę — podsumowała, odkręcając butelkę.

— Co to jest? — zainteresowała się Ilona.

— Mojito — z dumą powiedziała Agata, rozglądając się za szklankami. — Zrobiłam to w domu przed wyjazdem.

— Daj spokój. — Laura była kompletnie zrezygnowana. — Tego szajsu nie da się pić. Smakuje jak pasta blenda-med complet z subtelną nutką domestosa...

— Niestety, wszystko inne się skończyło. — Larwa wystąpiła w nietypowej dla siebie roli, czyli jako głos rozsądku. — Możemy walnąć domestosa, postarać się wytrzeźwieć lub ruszyć przez las do najbliższej meliny — innych możliwości nie widzę.

— Wszystkie ogromnie kuszące — stwierdziła Laura, sięgając z westchnieniem po mojito. Płyn wyglądał dziwnie, w słabym świetle lampki opalizował dosyć upiornie. — Nie piję tego, jakiś obcy w tym pływa — rzekła, odstawiając szklankę.

— Żaden obcy, to mięta — uspokoiła ją Agata, wychylając swoją porcję jednym wprawnym łykiem. Larwa patrzyła na to z otwartymi ustami.

— Dobra jesteś, nie ma co...

— Wprawa, sestro, wprawa. Jako ameba korporacyjna nie takie gówna musiałam pić na kolacjach biznesowych i nauczyłam się łykać bez skrzywienia...

— Mięta powinna być pokrojona — odezwała się nie d propos Laura, oglądając wnikliwie szklankę.

— Wyłuskaj sobie, bo nie miałam czasu na krojenie, a w mikserze się nie przetarło... Laura przyjęła to tłumaczenie i umoczyła usta w drinku.

— Boże, myślałam, że najgorszy na świecie jest jager-meister z coca-colą o smaku syropku tussipect, ale to jest dużo, dużo gorsze...

— Nie narzekaj, bo pójdziesz przez las po wódkę — pogroziła Agata.

— W sumie mogłybyśmy zadzwonić do chłopów, niech nas który zaopatrzy — powiedziała Ilona, wyciągając komórkę. — Oni tam u wujka na pewno mają bezpośredni dostęp do wyciągu z żyta...

— Nie da rady. — Agata pokręciła głową. — Próbowалам. Piotrek odezwał się jakimś dziwnym głosem, a reszta czekała za jego plecami. Podejrzewam, że są już gotowi i przebywają w rajskiej dziedzinie ułudy, a my jesteśmy skazane na domestos...

— O rany... — jęknęła Laura i upiła nieco koktajlu. — E, nawet nie takie złe, idzie wytrzymać, tylko nie należy za długo trzymać w ustach...

— No widzisz — ucieszyła się Agata. — Wszystko ma swoje plusy, nawet mojito.

— Poza brakiem pracy — wypuściła zatrutą strzałę Larwa. Laura zmarszczyła brwi ostrzegawczo.

— A już tak miło było, musiałas mi przypomnieć?

— Szukasz pracy? — zainteresowała się Agata, sącząc wytwornie płyn do czyszczenia toalet.

— Tiaaa — odpowiedziała za Laurę Ilona. — Szuka od pół roku, obja się po rozmowach w jakichś kretyńskich firmach, nie chcą jej zatrudnić i się dołuje.

Widzisz — zwróciła się do siostry — i co ci przyszło z tych studiów na uniwersytecie w Bazylei? Trzeba było księgową zostać, miałabyś dobrą pracę jak ja...

— Tak. I po dziesięciu latach księgowości chciałabym zostać treserem lwów, jak ten facet w skeczu Monty Pythona...

— Studiowałaś w Bazylei? — Agata podniosła się ze swego gniazda uwitego z koca i kurtki na materacu piankowym, i z wyraźnym zainteresowaniem przyjrzała się Laurze. — Co studiowałaś?

— Historię sztuki — odpowiedziała Larwa, najwyraźniej występująca teraz w roli adwokata. Laura smętnie pokiwała głową.

— Ale klub piłkarski mają naprawdę słaby, to już lepszy ten Pasikonik z Zurychu...

— Rany boskie! — Agata odstawiła swoją szklanke i zapatrzyła się w Laurę jak sęp miłości z legendarnej piosenki Ich Troje.

Ta z kolei wzruszyła ramionami — pierwszy raz w życiu widziała, żeby kimś tak wstrząsnęło stwierdzenie, że FC Basel jest nędznym zespołem.

— Rany boskie! — powiedziała raz jeszcze ameba korporacyjna i Laura doszła do wniosku, że chyba zaszkodziło jej mojito, bo wyraźnie się powtarza.

— Słuchaj, Laura, mój szef pochodzi z Bazylei, ma istny kult dla tamtejszego uniwersytetu...

— Biedny człowiek — stwierdziła z troską Laura, łykając ze szklanki.

— Biedny, nie biedny, to już szczegół. Chodzi o to, że korporacja postanowiła pokazać ludzką twarz. Wiecie, te wszystkie afery i tak dalej osłabiły naszą wiarygodność. No i prezes wymyślił sobie, że będziemy inwestować w sztukę. Od pół roku szukamy kogoś, kto byłby takim łącznikiem między nami a muzeami i galeriami sztuki, żeby miał kontakty z tymi wszystkimi wariatami, kustoszami, kuratorami i innymi. Oni by podpowiadali naszemu człowiekowi, co kupić do muzeum, on by to akceptował lub nie, a firma błyszczałaby w mediach...

— Sprytny plan — pochwaliła Larwa. — Laurę powinniście zatrudnić, ona zna tych wszystkich wariatów muzealnych, z profesorem Malanowskim na czele...

W tym miejscu Ilona przerwała, uświadomiwszy sobie, co powiedziała. Obie z Agatą patrzyły wyczekująco na Laurę.

— Ueee, ty to poważnie mówisz? — spytała niepewnie, bo od domestosa zrobiło jej się raczej mdławo.

— Poważnie. Z nieba mi spadasz, może mi po premii nie polecą w tym miesiącu, bo prezio jest na mnie mocno wkurzony, że nikogo nie mogę znaleźć.

Przyjdiesz na rozmowę?

Laura ochoczo pokiwała głową.

— Jasne, umów mnie i daj mi znać. — Pogrzebała w torebeczce i wyciągnęła wizytówkę.

— Trzeba się napić za to — radośnie oświadczyła Larwa, nalewając drinki.

W tym momencie obudziła się Paulinka i rozmazując sobie makijaż, usiadła na posłaniu.

— Co straciłam?

— Nic wielkiego. Agata właśnie załatwiła Laurze pracę — wyjaśniła Ilona, mrugając do koleżanki.

— O, to świetnie, gratuluję! — Ucieszyła się, wężąc jednocześnie w kierunku butelki. — Co macie? O, mojito! To mój ulubiony koktajl, dajcie trochę...

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Czy możliwe jest czucie oddechu płodu?

A: Jestem w 24 tygodniu ciąży, czy możliwe jest, żebym czuła, jak oddycha?

B: Raczej nie, bo ono nie oddycha w taki sposób jak my. Nie ma jeszcze wykształconych płuc i znajduje się w środowisku wodnym.

C: A co, z pępka ci wieje? Czy z pochwy?? Jak płód może oddychać??? No, pomyśl trochę, kobieto...

D: A czym ono ma tam oddychać? Wodą??

E: No, skrzela ma!

F: Może to wczorajsza kolacja daje o sobie znać?

WIADOMA RZECZ — STOLICA

Mina Larwy wyrażała krańcowe przygnębienie.

— Zapomniałam zaprosić na ślub Baškę.

— O rany! — jęknęła Laura, wcale nie dziwiąc się siostrze, że zapomniała.

Typowy mechanizm wyparcia, jak u Freuda. Baška to osoba, którą każdy chciałby wyprzeć, przede wszystkim ze swego życia. Niestety, to również ich najbliższa kuzynka i prawie rówieśnica Laury. We wczesnej młodości Baška była całkiem do rzeczy. To prawda, nie lubiła się brudzić, chodziła w lakierkach i podkolanówkach, jadała nożem i widelcem, gdy wszyscy wsuwali rękami, ale większych odchyłów od normy nie zdradzała. Potem jednak Barbara — bo tak należało się do niej zwracać, na wyraźne i stanowcze żądanie — ukończyła Krajową Szkołę Administracji Publicznej i wtedy się zaczęło.

Jako pracownica Ministerstwa Spraw Zagranicznych Baška (tfu, Barbara) odnalazła swą ekologiczną niszę, zaczęła wyzywać się w etykiecie i z żelaznym uporem przestrzegać królewskich manier, zmuszając do tego innych. Doszło do tego, że Laura — a nie zaliczała się do strachliwych — przestała jej wysyłać życzenia na święta, obawiając się, że czymś urazi Jej Wysokość. Na ślubie Laury Barbara wyglądała na więcej niż zniesmaczoną, cały czas krzywiła się jak po occie siedmiu złodziei i miała za złe jak stara ciotka. Potrawy źle podane i przyrządzone, goście zajmowali się „płaską i przyziemną” konwersacją, a tańce były za mało eleganckie (w jej mniemaniu goście powinni raczyć się kawiozem ze srebrnych półmisek i płaszać menuety). Laura naprawdę odetchnęła, gdy Baška, okropnie urażona i niezadowolona, wreszcie wyszła. Uznały wtedy z Larwą, że kuzynce odwaliło do reszty, i postanowiły nie zaprzętać sobie nią głowy. Dwa lata temu za mąż wychodziła Barbara. Laury nie było na ślubie, bo akurat leżała w szpitalu tuż przed urodzeniem Młodzianka. Ilona wspominała uroczystość jako nieustającą traumę. Pomijając fakt, że musiała wystąpić w morelowej sukience uszytej przez krawcową kuzynki (wszystkie drużny miały takie), zrobić sobie paznokcie na morelowo i ułożyć włosy w kok, była nieustannie napominana i obrażana przez pannę młodą. W końcu musiało się stać to, co nieuchronne, i Larwa wygarnęła kuzynce, co o niej myśli (jak również jej morelowych sukienkach). Nieszczęsny mąż Barbary, Francuz z urodzenia, stał przerażony, gdy Larwa miotła gromy, a na koniec odpruła „kretyńską falbanę” od sukni wyrzuciła ją przez okno. Ślub nie zakończył się skandalem tylko dlatego, że ciotka zaczęła mediować, Larwa ochłonęła, Francuzowi wytłumaczono, że słowiańska krew jest gorąca, zaś Baška śmiertelnie się obraziła. Resztę wieczoru Ilona spędziła w płasach, kończąc zabawę nad ranem bez butów i pokazując wszystkim morelowy lakier na paznokciach u stóp. Oczywiście więc, że biorąc pod uwagę zażyłość między kuzyneczkami, Larwa winna teraz zaprosić na swój ślub Baškę.

— Chłe, chłe, chłe, masz zgryza — zarechotała Laura, wcale nie współczując siostrze.

Znacznie boleśniesz, że będzie musiała użerać się z Jej Królewską Wysokością, która na pewno raczy skomentować jej strój i fryzurę.

— Weź, daj spokój. — Larwa była wyraźnie zgnębiona. — Tak sobie pomyślałam... Może ty do niej zadzwoń?

— Nic z tego, siostrzyczko. — Laura pokręciła głową. — To państwo młodzi zapraszają na ślub, a nie świadkowie. Jak znam Barbarę, i tak się na ciebie obrazi, że nie robisz tego OSOBIŚCIE i z przykłękiem...

— Jasne. Mam do Warszawy dymać, żeby Basiulkę zapraszać, choć wcale nie mam ochoty jej widzieć... Jedyne nadzieje, że może po tym, co zrobiłam na jej ślubie, odmówi...

— Nie liczyłabym na to. Przyleci tu nawet na miotle. Ona uwielbia się obrażać, a będzie miała doskonałą okazję, której na pewno nie przepuści.

Larwa westchnęła ciężko i naprawdę wyglądała marnie. Laurze zrobiło się jej żal.

— Wiesz co? Mogę do niej zadzwonić i wybadać grunt... A nuż małżeństwo jej służy i znormalniała?

— Oczywiście od razu pożałowała swego dobrego serca, bo siostra odniosła się do propozycji wręcz entuzjastycznie.

— Naprawdę? Mogłabyś? To fantastycznie!

— Mam jej powiedzieć, że gości obowiązują przebrania? Stroje tematyczne z Gwiezdných wojen? Może Lord Vader. Jak Baśka się wkurza, to też takie dźwięki wydaje...

— Niech się lepiej przebierze za coś ze Star Treka... Komandor Data będzie w sam raz. Zaśmiały się mściwie, ale w sumie nie było im wesoło.

Po południu, gdy Pan Dwulatek udał się na ożywczą drzemkę, Laura z ciężkim westchnieniem wybrała warszawski numer. Zastanawiała się, czy kuzynka nie odbierze przypadkiem, wygłaszając niezapomniany szlagier z filmu Co ludzie powiedzą? (Rezydencja państwa Bukiet, mówi pani domu), ale wcale nie polepszyło się jej od tego. Baśka odebrała, ale mówiła jakimś dziwnym, niewyraźnym głosem.

— Basiu, to ja, Laura...

— Laura — chlipnęła do słuchawki, bo właśnie tym — chlipaniem — był ów niewyraźny głos. — Strasznie ci dziękuję, żeś zatelefonowała... Właśnie sama miałam do ciebie dzwonić...

— Rany boskie, co się stało?! — Przeraziła się nie na żarty Laura.

Skoro kuzynka miała do niej dzwonić, oznaczało to jakąś międzykontynentalną katastrofę. Na pewno nie utratę męża lub pracy — z tym poradziłyby sobie sama.

To musiało być coś dużo gorszego — przyzwolenie na jedzenie ryby nożem albo zmiana kolejności dygania przed królową matką (która chyba już nie żyła, ale Laura nie miała pewności).

— Chyba jestem w ciąży — rozszlochała się Barbara.

— Chyba? A testu nie robiłaś?

— Robiłam. Nawet pięć po kolei...

— I co?

— Wszystkie wyszły pozytywny...

— No to raczej jesteś — stwierdziła przytomnie, choć do pewnego stopnia rozumiała kuzynkę.

Nie znała się na sprawach ginekologicznych, wciąż stanowiły dla niej zagadką.

Gdy zaczęła rodzić, była pewna, że dziwaczny ból, który odczuwa, spowodowany jest niestrawnością i wmawiała to po kolei trzem lekarzom, aż otrzymała ksywę „ta, którą żołądek boli”. Kiedy zaś — nieco wcześniej oczywiście — doszło do poczęcia („zafasolkowania” — już przyswoiliśmy sobie ten osobliwy slang), w pierwszych tygodniach żyła w przekonaniu, że cierpi na jakiś nowotwór jajników, czy coś w tym guście, bo ciągle ją kłuło w dole brzucha. Też zrobiła ze trzy testy, zanim dotarła do niej prawda. Gdy kupowała kolejny, zniecierpliwiony Krzysiek powiedział jej, że choćby wykupiła całą fabrykę „przepływowych testów paskowych” — jak stało na ulotce — wynik już raczej inny nie wyjdzie. I miał rację, ale w końcu to tylko facet.

— No to się powinnaś cieszyć, stara — powiedziała krzepiąco i od razu przeraziła się, że dotknie kuzynkę do żywego. Ale ta okazała się dziwnie odporna.

— Cieeeeezyć! — wyłkała. — Czym ja się mam cieszyć??? Ja się tak boję porooooouuuuu... Buuuu...

— Słuchaj, do porodu masz jeszcze dobre osiem miesięcy... W ogóle niech cię o to głowa nie boli.

— A jak trzeba będzie robić cesarskie cięcie?! Mogę umrzeć! Albo mnie sparaliżuje po znieczuleniu... Buuu...

— Ty chyba na głowę upadłaś — orzekła zdumiona Laura, zapominając, że ciężarnej należą się pewne względy. — Miałam cesarskie cięcie i żyję w dobrym zdrowiu, i nawet sobie to chwale... Nie męczysz się czterdzieści godzin, wyjąc jak prosię, tylko kulturalnie po trzech kwadransach mówisz: „Ja was pazdrawlaju”... — Za późno zorientowała się, że popełniła błąd.

— Jak prosię!!! Buuuuu... Będę wyła jak prosię, sama mówisz... Buuu... Laura usłyszała wycieranie zasmarkanego nosa i postanowiła zmienić taktykę.

— Basiu, proszę cię, uspokój się... Naprawdę nie przejmuj się tym, co powiedziałam... Wszystko będzie dobrze... Załatwisz sobie dobrego lekarza, w Warszawie są dwa prywatne szpitale, tam możesz urodzić, jak chcesz, siłami natury, przez cesarkę, co sobie wybierzesz... Jak nie dajesz rady, to możesz pójść do

psychologa... Na kanale Discovery są super filmy o rozwoju dziecka w życiu płodowym, o porodach. .. — nawijała tak bez przerwy, zauważywszy, że Baśka przestała smarkać w słuchawkę. — Nawet o bliźniakach... — Kolejny błąd. I to tym razem bardzo duży.

— Buuuuu... A jak będę miała bliźniaki?!!! Na pewno umrę... .Buuuuu... Ja się tak boję!!!

— Nikt nie umrze!!! — wrzasnęła Laura, aż z pokoju obok dobiegło radosne gruchanie Pana Dwulatka: „Mamusiu, obiadek, mniem, mniem!”. — Opanuj się, kobieto! Moja koleżanka ma bliźniaki, urodziła i nic jej nie jest. I jeszcze sobie chwali, że ma dwoje dzieci od razu i nie musi dwa razy w ciąży chodzić...

— Naprawdę? — spytała niepewnie kuzynka, ale wyraźnie przestała już smarkać w słuchawkę. — Laura, strasznie cię proszę, przyjedź do mnie do Warszawy. Muszę z kimś porozmawiać... Jeszcze nie widziałaś naszego mieszkania... Wiesz, że kobiecie ciężarnej się nie odmawia!!! Wiedziała...

Życzenie ciężarnej to jak ostatnia wola skazańca, jak się go nie spełni, można narazić się na zjedzenie przez myszy (w związku z tym rozwiązana zostaje zagadka Popielą — najpewniej nie wypełnił zachcianki kobiety w ciąży). Tak czy inaczej, trzeba było „przepasać swe lędźwie” (jak napisano w Biblii) i udać się na dworzec po bilet na ekspres do stolicy. Ponieważ jednak od dawna nie jeździła już pociągami, nie wiedziała o najnowszym wynalazku PKP, czyli bilecie weekendowym. Można taki nabyć za umiarkowaną cenę, a potem „wsiaść do pociągu byle jakiego” — jak głosiły słowa dawnego hitu — i jeździć tam i z powrotem najdłuższą trasą, bodaj Przemysł -Szczecin.

„Swoją drogą, świetne rozwiązanie dla desperados lub bezdomnych” — pomyślała, kupując wczesnym przedpołudniem miejscówkę do Warszawy.

Piątkowy pociąg do Warszawy i dalej do Gdyni świecił pustkami — ani posła, ani popularnych osobowości telewizyjnych. Wyciągnęła się wygodnie w przedziale i zaczęła czytać najnowszy numer „Fantastyki i grozy” (na szczęście bez Orbitowskiego) i życie wydało jej się całkiem znośne. Dwa dni bez Pana Dwulatka i ciemnych sprawek jego, dwa dni bez matkowania, wycierania i biegania za dzieckiem. Wolność i swoboda. Piętnaście minut przed odjazdem w przedziale Laury siedziały już trzy dodatkowe osoby: starszawy jegomość o aparycji zaaferowanego biznesmena, czytający ostatnią powieść Caroline Graham Duch w machinie, co od razu zaskarbiło mu sympatię Laury; Kobieta z Wielkim Cycem, która bez przerwy coś przeżuwała, patrząc w okno; i Samotny Weselnik.

Ten ostatni miał około trzydziestki, nosił dziurkowane sandały, jakie można dostać już chyba tylko w Desie, i jak dowiedziała się Laura z prowadzonych przez niego rozmów telefonicznych — jechał na ślub kuzyna do Warszawy. Mniej więcej do Włoszczowy Samotny Weselnik wydzwaniał do wszystkich kobiet, które miał w książce telefonicznej, zapraszając je na wesele kuzyna. Każda z nich wykrecała się artystycznie, co wskazywało, iż osobnik cieszył się powodzeniem mniej więcej takim jak Jim z popularnego komiksu o Garfiełdzie (choć ten umówił się w końcu z lekarką swego kota). Po kolejnym nieudanym telefonie do Zosi (czyli dobił już do końca książki telefonicznej)

Samotny Weselnik rozejrzał się po przedziale; szybko zrezygnował z miłośnika klasycznego kryminału, po chwili namysłu odpadła też Kobieta z Cycem. Sokoli wzrok powędrował w kierunku Laury, która zasłoniła się „Fantastyką i grozą” i skurczyła do rozmiarów miętowego dropsa.

— A pani dokąd jedzie? — zagaił, dla pewności pukając w gazetę Laury.

— Do Warszawy — odpowiedziała słabiutkim głosikiem, dalej zasłaniając się magazynem i żałując, że nie powiedziała: „Do Gdyni”, ale wtedy uroczy młodzian zaproponowałby zapewne przygodę w stylu filmu *Przed wschodem słońca*, choć do Ethana Hawke'a było mu daleko, oj, daleko.

— O, to świetnie — ożywił się. — Ja jadę na ślub mojego kuzyna do Warszawy...

— Tak, wiem, słyszałam... — przerwała mu, składając gazetę.

Miała nadzieję, że widok trzydziestoletniej matki Pana Dwulatka będzie dlań tak porażający, że zrezygnuje z dalszych podchodów. Niestety, jak zwykle trafiła na wariata (bo przeważnie tacy do niej ciągnęli) i desperata w jednej osobie.

— Może wybrałaby się pani ze mną na ten ślub? Miałem jechać z dziewczyną, ale w ostatniej chwili mamusia jej zachorowała...

— Zosi mamusia? — spytała złośliwie.

— Nie, nie Zosi, Kasi... Zosia to koleżanka z pracy, ale ona też ma w tym samym terminie wesele, co za zbieg okoliczności...

— Rzeczywiście podejrzane. Na pana miejscu prześwieciłabym tę sprawę, bardzo śmiesznie... Wspominała wcześniej o tym ślubie?

— No nie — zaniepokoił się Samotny Weselnik. — Ma pani rację, to dziwne, bo nawet wczoraj nic w pracy o tym nie mówiła...

— No widzi pan, miałam rację... Coś tu jest nie tak. Miałabym się na baczności. Wie pan, jak to jest: „Nic nie jest tym, czym się wydaje”, to motto naszej agencji...

— Jakiej agencji? — zaniepokoił się nie na żarty.

— Centralnej Agencji Śledczej, w skrócie CAŚ... Samotny Weselnik odsunął się od niej na bezpieczną odległość, cycata kobieta zamarła z połową wafelka w ustach, zaś miłośnik kryminału podniósł wzrok znad Ducha w machinie. Laura, niezwykle zadowolona z siebie, obdarzyła wszystkich uśmiechem w stylu agentki Scully i agenta Muldera w jednej osobie i wróciła do lektury magazynu. Do samej Warszawy nikt się nie odezwał, Kobieta z Wielkim Cycem nie odważyła się zjeść nawet darmowego ciasteczka serwowanego przez Wars jako dodatek do kawy, a Samotny Weselnik nie molestował już nikogo telefonicznie.

Na Dworcu Centralnym Laura pełną piersią zaczęła wdychać zdrowe, stołeczne powietrze. Kiedy tu była ostatnio, metro dojeżdżało do Politechniki, a teraz nie dość, że sięgało samego dworca, to można się nim było dostać na Bielany. Prawie. Barbara mieszkała przy Marymonckiej, toteż Laura wsiadła do jedynej linii (bardzo praktyczne, nie można zablądzić, ryzykuje się tylko ciekawą wycieczkę w przeciwnym kierunku,

czyli na Kabaty) i zaczęła studiować rozkład trasy. Tak, stacja Marymont była w rozkładzie, tylko, nie wiedzieć czemu, zaznaczona dziwnie bladym kolorkiem. Laura rozsiadła się wygodnie i zabrała do czytania ostatniego artykułu z „Fantastyki i grozy”. Kiedy pan — znany jej jako lektor filmów przyrodniczych — ogłosił głębokim głosem nazwę stacji Plac Wilsona, wszyscy wysiedli, a ona została, chciała wszak jechać dalej, na Marymoncką. Niestety, dalej nikt już nie jechał, i w ten sposób wyjaśniła się zagadka bladego koloru następnych stacji. Były to przystanki in spe, żeby nie powiedzieć wishful thin-king. Westchnęła ciężko i wyszła na powierzchnię. Miała duży problem z tramwajami — błyskawicznie traciła orientację i jechała jakimś pojazdem, zupełnie nie wiadomo gdzie. I tym razem, jak zwykle, biegała z jednej strony torów na drugą, sprawdzając „którędy na Bielany”, aż wreszcie, jakimś cudownym zrzędzeniem opatrności i świętego Antoniego znalazła właściwy tramwaj. Gorąco było straszne i ludność autochtoniczna, całkiem rozsądnie zresztą, nie wystawiała nosa z klimatyzowanych biur i przewiewnych mieszkań.

Laura też by na ich miejscu nie wystawiała. Czuła się niepewnie, bo słabo znała tę część miasta. Jej najlepsza przyjaciółka, Anabelle, mieszkała bowiem na Mokotowie (metro Wierzbno!) i tamtą trasę Laura mogła cytować z pamięci.

Odkąd jednak obie stały się statecznymi matkami (Anabelle poszła zresztą w ilość i miała już trójkę dzieci), weekendowe wyprawy do stolicy się skończyły. Laura myślała o nich z wielką nostalgią, były to czasy jej młodości, okres burzy i naporu, i czas niustannych resetów.

Czego by o warszawskich imprezach nie mówić, były raczej śmiercionośne.

Kończyły się tragicznym kacem i odmiennymi stanami świadomości. Podczas jednego z nich Laura, wróciwszy do domu o całkiem przyzwoitej godzinie (czwarta nad ranem), zapragnęła się wykąpać. Głupi pomysł. Blok na Mokotowie, budowany w socjalistycznym czynnie społecznym, przy wykonaniu 400 procent normy, odznaczał się niemiłosierną akustyką. Laura nie raz i nie dwa, układając w łazience misterną fryzurkę, słyszała, jak sąsiad męczy się z zaparciem bądź ruga krnąbrną żonę. Teraz więc, gdy o czwartej nad ranem, w godzinie wilka, puściła wodę do wanny, cała kamienica została poderwana na równe nogi. Lecz ona bynajmniej nic sobie z tego nie robiła, jak i z pukania w rurę i dziwnego schrypniętego głosu: „Jeszcze mnie popamiętacie, gnojki jedne!” (w miejsce wyrażenia „gnojki jedne” proponuję wstawić bardziej adekwatne słowa, lepiej obrazujące stosunek rozwścieczonego mieszkańca do niej). Po kąpieli czyściutka i zadowolona położyła się spać, by w dwie godziny później obudzić się z koszmarnym bólem głowy i katzenjammerem godnym Witkacego (czyli musimy zacząć nazywać go głątwą). Wyżej wzmiankowana głątwa zapędziła ją do łazienki w poszukiwaniu łyka wody. Jakież było jej zdumienie, gdy w wannie ujrzała klatkę z papużkami Anabelle, które po zapaleniu światła rozpoczęły poranne jodłowanie. Przeraziła się. Wróciła do domu w stanie kompletnego zamroczenia.

Poszła się kąpać. W wannie stała klatka. Nie zauważyła jej. Wzięła zatem prysznic z papużkami. Wprawdzie to papugi nimfy, ale nie miała pewności, czy lubią wodę.

Dokładnie obejrzała oba ptaki, nie wyglądały na mokre, ale przez dwie godziny mogły już dobrze wyschnąć.

„Kota nie wolno moczyć, bo dostaje kataru” — główkowała nerwowo. — „Ale czy można moczyć papugę?”.

Oczami wyobraźni widziała już zdechłe ptaki i Anabelle, która po wykonanej u weterynarza sekcji zwłok oskarża ją, Laurę, o morderstwo. Oczywiście, takie papugi da się odkupić, ale przyjaciółka darzyła je sentymentem — prowadziła coś w rodzaju hodowli i oba okazy były rozplodowe. „Rany boskie” — pomyślała Laura, obgryzając z nerwów paznokcie, czego zwykle nie robiła. Drzwi się otwały i stanęła w nich przeciągająca się Anabelle.

— O Jezu, wyłaż, siku mi się chce... O której to się do domu wraca, co? — zapytała głosem starej ciotki. — Opinię sobie popsujesz, nikt cię za żonę nie weźmie... Papugi wyniosłam do łazienki, jak zaczęły się drzeć o piątej, żebyś mogła dłużej pospać...

Inne resety były jeszcze gorsze, więc nawet nie chciała ich wspominać... Dość powiedzieć, że mąż Anabelle, żegnając Laurę na dworcu, zwykł był mawiać: „Kiedy znowu przyjedziesz? Z tobą jest tak wesoło”. Brrrr!!!

Mąż Barbary był Francuzem o niewielkich gabarytach i w niczym nie przypominał Jeana Reno ani tym bardziej Belmonda (nie miał takiego kulfona), nie był też gruby jak Depardieu. Biorąc to wszystko pod uwagę, wyglądał raczej swojsko.

— To jest Laura, siostra Ilony — przedstawiła ją Baśka, gdy już wychlipała się kuzynce na ramieniu.

— Tej od sukienki. — Tu zrobiła wymowny gest, obrazujący odrywanie falbany.

Bernard, który już zbliżał się do Laury z wyciągniętą ręką i zachęcającym wyrazem twarzy, cofnął się niespokojnie.

— Bez obaw. Ja nie jestem agresywna. Agresywność jeden.

Francuz rozpromienił się jak kineskop w telewizorze marki Rubin (kto je jeszcze pamięta?) i odpowiedział bez namysłu:

— Szekszmiszja! Uwielbiam ten film.

Mieszkanie Barbary i Bernarda było piękne i luksusowe. Miało z pięć pokoi, taras i pewnie jeszcze kilka innych gadżetów, ale pani domu nie pozwoliła na zbyt długie zwiedzenia (w innych okolicznościach Laura zaczęłaby ją podejrzewać, że żałuje, iż nie skasowała jej za bilet). Miała do kuzynki ważne sprawy. Wepchnęła ją do stylowego saloniku, starannie zasunęła Bernardowi drzwi przed nosem, wysyłając go do kuchni, i rozsiadła się na kanapie.

— Widzisz, co ja muszę przechodzić? — Rozzaliła się. — Jestem w ciąży, mogę umrzeć, a ten się cieszy...

— Wolałabyś, żeby się martwił? — zainteresowała się Laura, która po prostu marzyła o kawie, ale nie wiedziała, jak to delikatnie wpleść w tok rozmowy.

— Wolałabym, żeby się martwił o mnie, mogę umrzeć...

— Tak, już to mówiłaś. Ale chyba ustaliłyśmy przez telefon, że nikt nie umrze...

— Zawsze byłaś niepoprawną optymistką. Czytałam w internecie materiały WHO, na świecie przy porodach umierają tysiące kobiet...

— Tak, ale w krajach Trzeciego Świata... Zdaję sobie sprawę, że Polska to nie jest pierwszy świat i może też nie drugi, ale do takiej Angoli to nam jeszcze trochę brakuje... Choć oczywiście rząd robi, co może...

Dowcip o rządzie, dla którego bądź co bądź pracowała, wcale nie ubawił Barbary. Wyciągnęła tylko z szuflady jedwabną chusteczkę z monogramem i zaczęła w nią smarkać, bynajmniej nie jak dama.

— Kurczę blade, Baśka. Rozumiem, że jesteś w ciąży, masz syndrom Castorpa, ale mogłabyś mi kawę zaproponować...

— Syndrom Castorpa? — Zainteresowała się, chowając chustkę do kieszeni i wydając odpowiednie instrukcje mężowi, który czujnie przyczajony dyżurował pod drzwiami. — Nigdy o tym nie słyszałam. Kępiński gdzieś o tym pisał? W Schizofrenii czy w Psychopatologii nerwic?

Laura westchnęła ciężko.

— To nie Kępiński, a słynny niemiecki psychiatra, Jurgen Klinsmann, może słyszałaś?

— Jurgen Klinsmann? — wysiliła szare komórki Barbara. — Chyba coś mi się o uszy obilo... Tak, na pewno gdzieś słyszałam to nazwisko, tylko gdzie? Może ktoś mi wspomniał na forum ekonomicznym w Davos?

Laura westchnęła ponownie. To straszne, jak niektórzy się nie interesowali piłką nożną. I to ich gubiło!

— Jaki mamy plan? — zapytała więc Barbary, która od razu, na sam dźwięk słowa „plan” ożywiła się nadzwyczajnie i wyjęła elektroniczny terminarz. — Na siedemnastą trzydzieści jesteśmy umówione w klinice „Lim-fit” na badanie USG...

— Umówione? — przerwała jej Laura, której najwyraźniej nie pasowała końcówka gramatyczna. — Chyba UMÓWIENI?

— Nie, nie — zaprzeczyła gorąco Baśka — Bernard nie idzie, nie zniosłabym, gdyby podglądał mnie na USG...

— Podglądał? Chodzi ci o to, że małżonek nie ma prawa zobaczyć twych wielce szanownych flaków?!

— No, ja bym to ujęła nieco delikatniej. — Wydęła wargi. — Ale w sumie o to chodzi. Wiesz, jakoś zniesmacza mnie myśl, że tam wszystko widać... Wszystko, co mam w środku...

— Jessssuuu — wysyczała Laura. — Ty to masz naprawdę narobione... Prawie nic nie widać, widać za to zarodek, może Bernard chciałby zobaczyć swego potomka w życiu utajonym?

— Nie widzę powodów. — Wzruszyła ramionami i była na tyle nieugięta, że smutny Bernard pozostał sam w progach bajeranckiego mieszkania, machając z żalem Barbarze i Laurze pakującym się do taksówki.

Klinika „Lim-ftt” mieściła się na Marszałkowskiej i łączyła dwie najbardziej dochodowe specjalizacje: ginekologię i chirurgię plastyczną. Laura uznała to za pomysł wprost genialny. Gdzie najlepiej zoperować obwisnięte po karmieniu cycki lub wielką oponę z brzucha? Ano, u swego ukochanego ginekologa, zwanego przez bywalczyńnię CiP-y poufale „ginem”. Doktor Rzemyczek już na nie czekał. Laura musiała jeszcze przeżyć upokarzającą przepychankę z Barbarą, która na siłę wlokła ją do gabinetu, i już znalazły się w środku.

— Panie doktorze — powiedziała od razu i bez wstępów. — Może ja bym hm, hm, hm, wyszła? To kuzynka jest pacjentką. ..

— Nigdzie nie pójdziesz. Obiecałaś mi! Mogę umrzeć!

Laura westchnęła po raz trzeci. Doktor Rzemyczek obserwował je z rozbawieniem, przenosząc wzrok od jednej do drugiej, jak bywalcy Wimbledonu.

— A tak w ogóle, panie doktorze, ona uważa — Baśka wskazała ją głową — że ja cierpię na syndrom jakiegoś Castorpa, bo się boję umrzeć... To podobno opisał psychiatra niemiecki Jiirgen Klinsmann... Słyszał pan o tym?

— Jiirgen Klinsmann... — zadumał się doktor, popatrując na Laurę, która z powagą skinęła głową.

— No, wie pan, ten Castorp, co to był w szpitalu, bał się śmierci, ale jednocześnie jej pragnął i chodził odwiedzać umierających...

Baśka była wstrząśnięta wyjaśnieniami kuzynki.

— Odwiedzać umierających? W szpitalu?! O niczym takim ci nie mówiłam!!!

Panie doktorze — zwróciła się wprost do Rzemyczka, który wyciągnął z kieszeni chusteczkę i z ogromnym zaangażowaniem ocierał nią oczy — pan na pewno nie słyszał o żadnym kompleksie Castorpa, a jeżeli nawet, to ja na pewno na to nie cierpię. Po prostu powiedziałam jej, że mogę umrzeć przy porodzie...

Doktor Rzemyczek po raz kolejny popatrzył na Laurę z — jak się jej zdawało sympatią.

— Pani kuzynka ma rację, istnieje coś takiego jak syndrom Castorpa, jest nawet dobrze opisany w literaturze. — Tu uśmiechnął się złośliwie. — O ile wiem, w dwóch tomach...

— Aż w dwóch? — Zachwyciła się Barbara. Syndrom opisany w dwóch tomach był znacznie poważniejszy niż ten jednotomowy, jak nerwice Kępińskiego.

— Tak. A teraz proszę się przygotować do badania.

— Do jakiego badania? — Przeraziła się nie na żarty. — Myślałam, że będzie pan robił USG.

— No właśnie, do USG proszę się przygotować. Proszę włożyć tę koszulę i położyć się w gabinecie na leżance...

— Ale — rzekła niepewnie — myślałam, że podwinę po prostu bluzkę i pan doktor przyłoży ten aparat...

— To jest USG dowcipne — nie wytrzymała Laura. — Nie będzie żadnego przykładania głowicy...

— Jak to dowcipne? Ja w tym nie widzę żadnego dowcipu — denerwowała się Baśka, popatrując na doktora Rzemyczka, który nie mogąc się opanować, śmiał się w kułak.

— Tak, madame... — potwierdził, ponownie wycierając załzawione od śmiechu oczy. — Pani kuzynka ma rację, to jest USG dopochwowe. Na tym etapie ciąży nie badamy przez powłoki brzuszne...

— Matko Święta i Józefie!!! Trzymajcie mnie! — wrzasnęła Baśka, która z koszulą w rękach zaczęła cofać się do wyjścia.

— USG dowcipne! Teraz rozumiem!!! A to żmija, nic mi nie powiedziała...

— Przecież nie chciałam z tobą wchodzić — wytłumaczyła się Laura.

— Poczekaj ty... A właśnie, że ze mną pójdiesz... Sama nigdzie nie idę!!!

Będziesz stała obok i patrzyła na ekran!!!

Laura z niepokojem spojrzała na doktora Rzemyczka, który kiwał wesoło łysą głową jak bańka z choinki.

— Ależ nie ma problemu. Stanie pani za parawanem. Wszystko mamy przewidziane, na każdą okazję.

I gdy Baśka poszła się przebierać, popatrzył jeszcze na Laurę i powiedział:

— Syndrom Castorpa, Jurgen Klinsmann... Wesoła z pani kobieta, przydałaby mi się pani w klinice... Nawet pani nie wie, ile ja mam dziennie pacjentek z tym syndromem... Odstąpi mi go pani?

— Całkowicie gratisowo — ucieszyła się Laura.

— No nie, to by było nieuczciwe. Możemy pani w zamian zrobić jakieś badania. USG, cytologię, urografię...

— Nie, dziękuję — odpowiedziała z ogromną powagą. — Pan wybaczy, ale nie chciałabym wchodzić w aż taką poufałość... Zresztą cierpię wyłącznie na schizę ciążową...

— To też jednostka Klinsmanna?

— Nie, ta jest raczej mojego własnego wyrobu....

Nie ulega wątpliwości, że zmagania z ciężarnymi są wyczerpujące. W drodze powrotnej Barbara bezustannie przeglądała listę planowanych badań oraz wszystkie ulotki i informatory, które dostała od lekarza.

Na pierwszy ogień poszło czasopismo „Twoje Zdrowie w Cięży” z niezwykle ciekawym artykułem o toksoplazmozie.

— Boję się — stwierdziła Barbara, składając gazetę.

— A to coś nowego. Czego znowu?

— Że mam tę toksoplazmozę... Laura wzruszyła ramionami.

— Jakoś nie słyszałam, żebyś miała hodowlę kotów, albo pracowała w schronisku...

— No wiesz, tu piszą, że toksoplazmozą można się zarazić wszędzie, wystarczy, że kot cię polize...

— Toksoplazmozą można się zarazić przez długie i uporczywe gmeranie w kociej kuwecie, czego — jak mniemam — nie robisz. — Laura popatrzyła na nią badawczo, a Barbara zaprzeczyła z zaangażowaniem. — Co do lizania... Myślę, że fakt, iż kot cię polize, nie ma żadnego znaczenia, natomiast gdybyś ty zaczęła lizać koty, o, to już sytuacja byłaby dużo poważniejsza...

— Ale tu piszą...

— Nie słuchaj tego. I błagam cię, nie czytaj żadnych forów ciążyowych, na których piszą, że nie wolno jeść makreli i serka brie...

— Dlaczego serka brie? — zainteresowała się Baśka.

— Bo listerioza... — wyjaśniła niechętnie Laura, a Baśka, zgodnie z przewidywaniem, zaczęła wertować swoje ulotki.

— Nic o tym nie ma — rzekła po chwili, wyraźnie zawiedziona.

— I bardzo dobrze. Im mniej wiesz, tym krócej siedzisz, jak powiadał klasyk.

Tak czy owak, dwudniowy „relaks warszawski” zamienił się w nużącą psychoterapię ciężarnych. Laura miała niewielkie doświadczenie jako grupa wsparcia, więc szybko poczuła pewien dyskomfort i urwała się Baśce w sobotnie przedpołudnie. Pod pretekstem odwiedzenia księgarni, postanowiła rzucić okiem na stołeczne second-handy. Podjechała sobie kawałeczek tramwajem i wysiadła przy ulicy Główniej, na której — co było dosyć zastanawiające w dobie zbliżającego się kryzysu — królowała bankowość detaliczna. Deticznie bankowość zajmowała chyba każdy budynek i wciskała się w każdą wolną przestrzeń, sprawiając, że dla uczciwego second-handu prawie nie było miejsca. Prawie robi jednak wielką różnicę, bo nagle, tuż za wietnamską knajpką, której iście orientalny zapach ciągnął się do następnej przecznicy, odkryła gigantyczny sklep. W ogromnej witrynie wisiała zachęcająca wywieszka Tylko markowe końcówki serii — zatem weszła. Oczywiście, jak można się było domyślić, anons był mocno przesadzony, bo sklep prezentował zwykłą w takich miejscach zbieraninę absolutnej bryndzy i nielicznych perełek. Laura fachowym okiem obrzuciła wieszaki, a potem obecną w sklepie klientelę. Klientela była nie od macochy — kobiety w garsonkach i płaszczkach wiosennych znanych firm polowały na ciekawe dodatki. Ceny też były „warszawskie”, a zatem przynajmniej o 50 procent wyższe niż w Galicji (ale w rodzinnym makroregionie larwy zawsze panowała bieda — kiedyś w jednym z antykwariatów nabyła pozycję z

XIX wieku pod znaczącym tytułem Nędza Galicji w cyfrach i stąd czerpała dokładne wiadomości historyczne). W jednym z pomieszczeń Laura wygrzebała arcyciekawe spodnie sztruksowe, które natychmiast postanowiła nabyć. Sztruksy w kolorze gorzkiej czekolady miały metkę „Free Cotton”, a załączona do nich propagandowa ulotka głosiła, że zostały wyprodukowane w ekologiczny, czysty sposób, bez kapitalistycznego wyzysku, niewolniczej pracy, w ramach spółdzielni socjalnej z Ameryki Południowej.

„Super” — pomyślała, pakując gorzką czekoladę (w formie spodni) do koszyka.

Zwróciła jeszcze uwagę na cudaczną apaszkę w odcieniach turkuszu — poprosiła o nią i na piętnaście minut zajęła się wiązaniem jej przed lustrem.

W zamierzonych czasach szkolnych nosiła apaszki do wszystkiego i jako wszystko: paski, bransoletki, obróżki na szyję, a nawet opaski do włosów. Miała przebogata kolekcję apaszek, z których obecnie Miłosz robił sobie fantazyjne chusteczki na głowę. Czas wrócić do apaszek. Wypróbowując kolejny skomplikowany węzeł, poczuła, że ktoś się jej przygląda. Odwróciła się i zobaczyła laskę ubraną w satynową spódnicę bombkę w kolorze stalowym (zazdrość rzuciła Laurę niemal na kolana) oraz przyciasny sweterek.

— Cześć — powiedziała dziewczyna w bombce. — Patrzyłam, co kupujesz.

Laura wyjaśniła jej ideę kupowania spodni z farmy Free Cotton, co zostało przyjęte z dużym zrozumieniem, a nawet, można powiedzieć, z entuzjazmem.

— Często kupujesz w takich sklepach? — zainteresowała się dziewczyna w bombce, z której koszyka bezwstydnie wyglądała marynarka Moschino („Gdzie ona to wygrzebała? Ale i tak rozmiar za mały”). Laura wyjaśniła i tę oczywistą oczywistość.

— Jakież ciekawe zdobycze? — zainteresowała się przyszła posiadaczka Moschino, a Laura wzruszyła ramionami i jeszcze raz zerknęła w jej koszyk. — Na pewno nie takie jak twoje, ale ostatnio na ślub kupiłam sukienkę w autentycznym stylu Balmain...

— Żartujesz!

Laura pokręciła głową.

— Wcale nie. Wiesz — dodała — uwielbiam odjechane ciuchy. Nie zależy mi na marce, ale na wyglądzie.

Tu pomyślała o tym, co miała na sobie: spódnicy w fioletowe kwiaty, która co prawda pochodziła z sieciówkowej firmy Papaya, ale za to jak sprytnie uszyta!

Ukrywała wszystkie fałdy, opony i inne niedoskonałości figury.

— No, ja mam to samo — potwierdziła tamta. — Choć powiem ci, że nie jestem obojętna na Thierry Muglera, jak mi wpada do ręki...

Laura roześmiała się.

— No. A kiedyś czytałam na forum o second-handach, jak laski przechwalały się swoimi zdobyczami, uznając za prawdziwe skarby sweterki Atmosphere, bluzki H&M i koszule z Marks&Spencer. W końcu Atmosphere to submarka Pen-neys, a to przecież bardzo tani sklep. Najbardziej ubawił mnie tekst: „Sukienka renomowanej firmy Dunnes Stores”.

— Ahaaa. Popatrz na te bluzeczki River Island i Mexxa. Za tę cenę w Londku by nowe miały... Roześmiały się obie z aprobatą i wtedy Laura postanowiła zdradzić bombce swoją tajemnicę. Odwiązała apaszkę z szyi i pokazała jej charakterystyczny wzór przedstawiający konie skaczące przez przeszkody.

— Hermes Jumping — westchnęła dziewczyna i popatrzyła na Laurę z podziwem.
— Goodforyou, sister! Po ile to?

— Trzy złote — szepnęła.

— Rany boskie. — Pokręciła głową tamta. — To ze trzysta dolców kosztuje, nie?

— Jak nie lepiej.

— Idę poszukać, może mają tego więcej.

Niestety dla niej — nie mieli. Laura ustawiła się w kolejce do kasy i gdy ekspedientka zapytała ją: „Te konie też pani bierze?”, nowa koleżanka przewróciła oczami w znaczący sposób. Sama zapłaciła za swój bajerancki żakiecik i wyszła za Laurą ze sklepu.

— Może wpadniemy gdzieś na kawę? — zapytała, gdy już obie wepchnęły zdobycze do przepaścistych toreb.

— Chętnie, tylko ja nietutejsza jestem.

— Nie ma sprawy, ja cię zaprowadzę, a w ogóle to jestem Angella von Heli, to oczywiście pseudonim artystyczny...

— Żartujesz... — jęknęła Laura, ściskając jej rękę i wymieniając swoje imię.

— Angella von Heli była w internecie wyrocznią w sprawie mody vintage, prowadziła najpopularniejszy portal na ten temat i była po prostu guru od stylu. — Wyglupiłam się przed tobą tą rozmową — powiedziała tylko i zaczęła ze wstydu powłóczyć nogami. Też się wybrała z wykładem o tanich markach przed ikoną vintage'u.

— No coś ty! Chodzę po sklepach i szukam takich ludzi jak ty — świadomych odbiorców. Masz na sobie Papayę, i to jest okej, bo krój jest całkiem jak Miou Miou. Naprawdę nie mam nic do sweterków George czy przecenionej Żary, bo sama mam pełno ciuchów tych firm. Ten sweter jest od Dorothy Perkins, na przykład, i chodzi o to, że pasuje do bombki Banana Republic w stylu vintage...

Laurę to nieco pocieszyło, więc już raźniejszym krokiem udała się na obiecaną kawę.

— Vintage robi się modny — powiedziała Angella, gdy już dostały swoje latte machiato. — I to jest jak najbardziej w porządku, ale dobija mnie, jak jakaś niunia robi sobie błoga czy, nie daj Boże, stronę z ciuchami vintage, które są naprawdę szmatami z sieciówki sprzed roku...

— No — potwierdziła Laura, zanurzając nos w aromatycznym płynie. — Vintage dobił serial Seks w wielkim mieście, że niby Parker jest ubierana w tym stylu, a tak naprawdę chodzi o to, że stylistka wygrzebała jakąś Pradę w second-handach dla bogaczy w Nowym Yorku.

Angella pokiwała głową ze zrozumieniem.

— No właśnie, mało kto to chwyta. Vintage to jest ciuch, który ma dwadzieścia lub pięćdziesiąt lat, albo wygląda, jakby tyle miał. Ditta von Teese to jest vintage.

Pin-up, rockabilly to jest vintage, a nie torebka z chińskiego plastiku w kolorze czerwonym, która udaje lata siedemdziesiąte. Ani nie Dior z poprzedniej kolekcji.

— No wiesz, dla niektórych Dior z tej kolekcji jest vintage — zauważyła Laura i znowu się roześmiały.

— Wyślij mi zdjęcia tej twojej sukienki d Za Balmain, dobra? Jeśli pozwolisz, opiszę cię w moim cyklu „kaskaderki vintage'u” i dam fotkę...

Laura była wniebowzięta. Po raz pierwszy w życiu ktoś docenił jej wysiłki w kolekcjonowaniu „dziwnych okazów” z lumpków. W radosnych podskokach wracała do domu Baški, która na progu powitała ją ze zboląłą miną.

— Gdzieś ty się podziewała? Zamartwiałam się pół dnia... — Najwyraźniej podejrzewała, że prowincjusz może zabłądzić w wielkim mieście, i, jak to z kolei mawiają na wsi małopolskiej, „stracić się”. — Co masz taką torbę wypchaną?

Książkami? — Indagowała dalej, a Laura z niechęcią wyciągnęła spodnie i apaszkę. — Spodnie jeszcze jeszcze, jak ktoś lubi sztruks, ale ta chustka jest po prostu okropna. Na Wielką Pardubicką ją możesz co najwyżej założyć — powiedziała Barbara i udała się na zasłużony odpoczynek.

Laura pogratulowała sobie, że już następnego dnia wyjeżdża. Pobyt u kuzynki, choć trudno powiedzieć, że neurozmaicony, okazał się jednakowoż kiepskim wypoczynkiem.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Czy mogłam uszkodzić dzidzię?

A: Przy schylaniu coś mi chrupło po lewej stronie w brzuchu? Czy mogłam złamać dzidziusiowi nogę lub rękę? Pomóżcie!

B: Nie mogłaś...

C: Nie chce mi się wierzyć, że można się zastanawiać nad takimi rzeczami... Obstawiam, że nie złamałaś dziecku nogi, problem tkwi raczej w najwyżej położonej części twojego ciała.

D: Chodzi ci o włosy? Myślisz, że dziecko może urodzić się łyse?

E: A czy przypadkiem nie uderzyłaś się w głowę podczas schylania?

WARIACJE NA TEMAT MODY DAMSKIEJ

Ślub miał się odbyć już za trzy tygodnie, a figura dalej jakby nie ta. Laura w majtach i staniku wyginała śmiało swe ciało przed lustrem, ale nawet mimo wciągnięcia brzucha tak głęboko, że poczuła żołądek na plecach, nie wyglądało to najlepiej.

Nie żeby była gruba, o, co to, to nie. Po schudnięciu nosiła wszakże rozmiar 38, więc chyba nie mogła być gruba? A może mogła? Kaszalot w rozmiarze 38 też się przecież trafia, 38 to nie 34, prawda?

„Co by tu zrobić?” — kombinowała usilnie.

Na treningi nie miała zdrowia, raz w życiu próbowała biegać, ale wytrzymała tylko do skrzyżowania, potem poszła sobie... wolniutkim krokiem. To nie dla niej.

Podobnie jak rolki, rower, sztanga, fitness i inne. Najbardziej odpowiadałoby jej odchudzające łóżko. Widziała kiedyś reklamę czegoś takiego. Wystarczyło się tylko położyć, a sprytnie legowisko machało delikwentem we wszystkie strony, ćwicząc mu mięśnie i spalając tkankę. W supermarketach sprzedawano też kiedyś taką elektrodę przyczepioną do czegoś, co do złudzenia przypominało folię do pieczenia. Folię przyklejało się na brzuchu, a elektroda trzęsła tłuszczem (procent porażień był zapewne wysoki). Słyszała też o ziołach, ale te ostatnio okazały się toksyczne, podobno wykańczały wątrobę tak, że nawet hepatil nie pomagał.

Odwołała się do niezawodnego rozwiązania i zajrzała na forum. Tam polecali coś zupełnie niesamowitego, a mianowicie supermajtasy, sprzedawane w przystępnych cenach na Allegro. Dziewczyny nie mogły nachwalić się tych gaci — po zakuciu się w nie znikał cały tłuszcz, tyłek się podnosił, brzuch spłaszczał, nawet grube uda wyglądały jak patyczki. Majtasy musiały spowijać ciało przynajmniej od kolan do biustu, co rozpałiło ciekawość Laury do białości.

Zajrzała na Allegro. Aaaaaa! Czegoś takiego nie wymyśliłby nawet ruski wynalazca (majtki były zresztą włoskie). Straszne! Atrakcyjna modelka w owych majtach wyglądała jak przedwojenny kirasjer w bieliźnie — gorset, bo tak się owo cudo nazywało w opisie, miał beżowy, raczej trupi kolorek i był wzmacniany tu i tam (czyli na udach i siedzeniu). Producent zachwalał „efekt brazylijski”

(cokolwiek by to nie znaczyło) na tyłku oraz dawał gwarancję na „nierulonowanie się gorsetu” („Słowotwórstwo na piątkę” — podsumowała). Majtasy znacznie wykraczały poza to, co zaprezentowała na firmowym balu nieśmiertelna Bridget.

Majtki panny Jones to marna namiastka gaci z Allegro. Nie gaci! Całego wdzianka odchudzającego, chomąta, stroju pływackiego do nurkowania w Oceanie Lodowatym, kosmicznych półkalesonów do fruwania w nieważkości. Zajrzała do komentarzy wystawianych przez klientów sprzedawcy. Były entuzjastyczne, lecz trafiło się kilku

malkontentów. „Rozmiarówka znacznie zaniżona” — przeczytała przerażona Laura. Wcześniej wyliczyła, że dla niej pasuje rozmiar M (38-40).

„Rozmiar 52 jest tak mały, że w gorset nie weszła nawet moja siostra, która nosi co najwyżej 48” (wstrząśnięta Laura zerknęła na tabelkę — rozmiar 52 to XXL7, czyli do 150 centymetrów w biodrach!).

„Jezus Maria” — pomyślała z przerażeniem. Nawet gdyby ta olbrzymka była w stanie wcisnąć się w owe nylonowe super stringi, ściśnięty tłuszcz musiałby się jakoś z niej wylać! — „Może wyszedłby uszami?” — kombinowała. — „Albo poszedł w stopy i okazałoby się, że baba ma nagle numer buta 178”.

To ją trochę uspokoiło, reklamowano zazwyczaj — jako nieskuteczne — największe rozmiary majtasów. Jeden komentarz wprost ją zachwycił: „Jestem niezadowolona i wystawiam negatywa, bo gorset bardzo ciasny. Trudno się weń wcisnąć, co w sumie nieźle rokuje, ale i tak jestem zawiedziona, myślałam, że to inaczej działa”.

Tak czy siak, zaczęła pożądać tych gaci. Już widziała siebie — w gaciach oczywiście — z tyłkiem brazylijskim i płaskim brzuchem, na którym lawendowa sukienka leży jak chleb na desce, i w ogóle otoczenie jej zazdrości, a to wszystko za jedyne 30 złotych (plus przesyłka). Teraz tylko jeden problem — jak to zrobić?

Konto na Allegro było zarejestrowane na Krzyśka — cała korespondencja przechodziła przez jego pocztę mailową. Nawet jeśli by po cichutku zamówiła majtasy i zapłaciła szybciej ze swojego konta, to i tak mąż się dowie. I zabije ją śmiechem, jak zobaczy ten gorset.

„Albo, o zgrozo, nie będzie potem mógł spokojnie spać” — medytowała.

Można by poprosić Ilonę. Nie, to jeszcze gorszy pomysł, — wołała przyznać się do tych gaci Krzyśkowi niż Larwie, która wyśmiałaby ją z całym okrucieństwem, na jakie ją stać.

Mogła oczywiście wykorzystać którąś z koleżanek z forum, podejrzewała, że wiele z nich nabyło te gacie lub zamierzało je zamówić... Tylko której zaufać, którą zagaić? Znalazła się w kropce.

Męczyła się przez kilka dni, aż, wreszcie, po kolacji, pokazała gorsecik Krzyśkowi. Mąż był głęboko wstrząśnięty. Gorset go formalnie zafascynował.

— Ty, a z czego to jest? Z azbestu? — Zainteresował się, oglądając zdjęcia na lewo i prawo. — I wiesz? Tu pisze, że te gacie „poprawiają samopoczucie”. Skoro tak, to ja też takie chcę...

— Pójdiesz w nich na wieczór kawalerski do Pereca — stwierdziła Laura, której wyraźnie ulżyło.

— Słuchaj, kupmy ten gorset! Tylko obiecaj, że będziesz w nim po domu chodzić!

— Ueeee, nie wiem, to chyba strasznie grzeje, to jakiś plastik jest...

— No to sobie coś wsadzisz pod spód, bluzkę na przykład... — doradził.

— Zwariowałeś? To się na gołe wkłada...

— A jak się sika? — Zaciekawiała go ta podstawowa sprawa. Hmm, no i mamy problem. Gacie pozbawione były zatrzasków w kroku. Dodatkowo, by zapobiec sławnemu już „rulonowaniu się”, wyposażono je w parę silikonowych ramiączek.

Laura nie widziała w ogóle możliwości rozpięcia tego podczas korzystania z toalety. Trzeba chyba zdjąć sukienkę, odwiesić ją na klamce, po czym wyłuskać się z majtasek. Mission Impossible, jednym słowem (w takich galotach nawet Tom Cruise nie dałby sobie z niczym rady).

— To powinni w programach antyalkoholowych reklamować — ucieszył się Krzysiek. — Na przykład w niezapomnianej audycji Halszki Wasilewskiej Wódko, pozwól żyć. Nie możesz sikać, to i nie pijesz, nie pijesz, nie jesteś nietrzeźwy. Gacie na silikonowych ramiączkach zamiast esprału! Menele spod śmietnika w majtasach z Allegro. Muszę w tej sprawie napisać do ministra zdrowia...

— Lepiej napisz do Palikota, on cię na pewno zrozumie — mruknęła z przekąsem.

— Nie dałbym głowy, czy Palikot nie ma takiego wdzianka — rozmarzył się.

— On zawsze tak zgrabnie wygląda...

Tak czy siak, gatki zostały zamówione i przyszły w ekspresowym tempie (poczta znowu groziła strajkiem). Krzysiek przyniósł paczkę triumfalnie i nie zważając na to, że Laura karmiła akurat Natrętnego zupą, kazał jej rozpakować.

Majtki były... dziwne. Dość powiedzieć, że wyjęte z opakowania, wielkością przypominały spodenki Młodego w rozmiarze 92.

— To chyba na Miłosza jest — zgłosił to samo zastrzeżenie Krzysiek. — Tego się chyba nie da włożyć... ale próbuj, próbuj, ja go pokarmię.

Głupi pomysł. Dziecko zareagowało na zmianę karmiciela wrzaskiem i jak strzała wypruło za matką do drugiego pokoju. Tam Młodzieniaszek zatrzymał się na progu, najwyraźniej nie wierząc własnym oczom. Laura też nie wierzyła, kiedy zerknęła w lustro. Naciąganie majtów było procesem bolesnym. Nieszczęsna ciągnęła nogawki i jednocześnie wykonywała węzowe ruchy tułowiem. Szybko się zorientowała, że „gorsetu” nie da się włożyć na rajtki. A więc to, co się udało wcisnąć, idzie na straty, gacie w dół, rajty zdjęć i apiat od nowa. Teraz poszło dużo lepiej, nie minęło czasu mało wiele, a stała już w galotach przed lustrem.

— Wyglądasz szczupłej — stwierdził Krzysiek, wyjadając zupę Dziecku. — Strasznie cię to spłaszczyło, po prostu płaszczka jesteś...

Wyciągnęła z szafy swoją najlepszą sukienkę, w której niestety, za bardzo było jej widać oponkę. Teraz leżała doskonale, a coś dziwnego stało się z tyłkiem, który nie wyglądał już jak rozlazła grucha.

— Niesamowite — mruknęła do siebie.

Majciochy były epokowym odkryciem na miarę Nobla. „Pampersy i te gacie, powinni za to co najmniej Nagrodę Leninowską przyznać” — pomyślała w zachwycie.

— Ale do mini tego nie wkładaj — pouczył ją mąż. — Nogawki wystają.

Rzeczywiście wystawały, zwłaszcza kiedy Laura usiadła. „No cóż, nie można mieć wszystkiego. Pod kostium bikini na pewno tego nie włożę” — zadumała się.

Najważniejsze, że gacie spełniały swoje zadanie, efekt brazylijski był godny piłkarza Ronald Inho (skuteczny i szybki) i w ogóle — mucha nie siada na tych galotach!

— Powiem ci, że to jest straszne — ciągnął Krzysiek, gdy wyłuskała się z majtek i zasiadła do obiadu.

— Wbije się taka baba w gorset wyszczuplający, piersi wsadzi w stanik push up, treskę sobie przypnie, umaluje się i biedny facet ma wszelkie prawo czuć się oszukany! Rozbierze się później taka, zdejmie te hajdawery z azbestu, te staniki i łups! Tłuszcz się wylewa wszystkimi możliwymi otworami... Okropne...

— Tak, a jak jeszcze zmyje makijaż, odepnie treskę, to się okazuje, że to facet — dodała, niezwykle usatysfakcjonowana z nowego nabytku.

— Tylko jak ty sikać będziesz? — Zatroczył się o żonę. — Sukienkę będziesz za każdym razem ściągać?

Laura się zasępiła. Nie dalej jak wczoraj zwierzyła się ze swego zakupu koleżance z forum. Okazało się, że koleżanka też już ma takie wdzianko i nawet wystąpiła w nim na imprezie. Zabawa była szampańska i do rana. O świcie nieco trącona koleżanka udała się do toalety. Tam nieszczęście! Nie dość, że wucety koedukacyjne, to w dodatku drzwi się nie domykają. Koleżanka — jak już nadmieniliśmy w stanie wskazującym — stwierdziła, że nie ma dla niej nic trudnego ani wstydlivego. Majtki, jak wiadomo, pozbawione były zatrzasków w strategicznym miejscu, dziewczyna musiała zzuć bluzkę (miała zapięte ramiączka) i powoli „zrulonować” gorset. Wyszło nawet niezłe, koleżanka załatwiła, co tam trzeba, i ponownie zaczęła wdziewać galoty. Traf chciał, że pod drzwiami pojawił się kolejny użytkownik ustępu, który z rozdziawioną gębą obserwował te wysiłki. Niezrażona koleżanka wcisnęła na siebie chomąto, włożyła bluzkę i wyszła z dumną miną.

Oszołomiony podglądacz pogratulował jej oryginalnej bielizny i najwyraźniej kompletnie nie chwycił, o co w tym wszystkim chodzi.

— Jakoś sobie poradzę — odpowiedziała półgębkiem, ale wcale nie była tego pewna. Jednak jak Scarlett O'Hara nie zamierzała o tym myśleć jakoś natychmiast.

Przyjdzie co do czego, będzie się martwić.

Późnym wieczorem, gdy Pan Dwulatek leżał już szczęśliwie w łóżeczku, Krzysiek zagadnął Laurę o majciochy.

— Coś ty się tak uczeplił? — zniecierpliwiła się. — Pożałowałeś trzydziestu złotych?

— Nie — odpowiedział. — Zupełnie i bynajmniej. Chciałbym przymierzyć to cudo, jak to działa. Popatrzyła na niego z powątpiewaniem, ale gorset dała. Mąż obejrzał go wnikliwie, chcąc się zorientować, gdzie tył, a gdzie przód („Tu jest chyba tył, bo jakies takie półdupki wzmocnione są”) i zaczął powoli wdziewać go na nogi. Miał zupełnie inną technikę niż Laura, która bez sensu ciągnęła galoty od poziomu łydek w górę, narażając je na poprucie. Krzysiek zrolował fachowo nogawki i od razu wciągnął je na

uda, potem założył silikonowe ramiączka i stanął w pozycji strongmana. Wyglądał w tym ubranku jak przedwojenny atleta z cyrku.

Laura omalże nie posikała się ze śmiechu.

— Bosko wyglądasz! Idź tak do pracy! Albo wiesz co? Będziemy to po jarmarkach pokazywać! Kiedyś była Anna Csillag, pierwsza kobieta z brodą, a teraz będzie pierwszy mężczyzna w wyszczuplającym gorsecie.

— Ale fajny jest — pochwalił Krzysiek. — Naprawdę zapewnia dobre samopoczucie! I na kręgosłup dobrze robi... Fantastyczny! Jak mi w pracy trochę wrzody na żołądku pomasują, to mi pożyczysz te pantaloney i będę sobie paradował dla poprawy nastroju...

— Oczywiście. Ty po prostu chcesz, żeby cię zamknęli do czubków...

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi — forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Domestos a ciąża

A: Witajcie, dziewczynki. Zaczęłam 20 tydzień ciąży. Ogólnie jestem ostrożna, bardzo dbam o siebie. Dzisiaj coś mi jednak odbiło i umyłam podłogi domestosem (oczywiście dobrze rozcieńczonym), przy otwartym oknie. Jak skończyłam, pomyślałam, że to może być mocny środek. Napiszcie mi, proszę, czy na pewno nie zaszkodzi to dziecku.

B: Chyba naprawdę ci odbiło. Podłogi w domu myjesz domestosem??? Jest tyle środków do mycia, które tak nie śmierdzą, a przy okazji są mniej szkodliwe. Myślę, że jednym myciem nie zaszkodziłaś dziecku, ale nie rób tego więcej.

C: Ja nie mogę po prostu!!! Czemu miałyby zaszkodzić? Przecież go nie piłaś!

D: Szkodzi tylko dopochwowo.

E: Domestos generalnie jest szkodliwy, i dla kobiet w ciąży, i dla kobiet nie w ciąży.

F: Zgadzam się, jest szkodliwy. Dlatego myje się nim kible (a niektórzy podłogi), a nie dolewa do herbaty.

G: Jak się go nie dolewa do herbaty, też jest szkodliwy. W połączeniu z niektórymi środkami chemicznymi oraz moczem wydziela trujące gazy.

H: Wniosek: nie sikać po podłodze umytej domestosem...

BAL SAMIC

Hasło brzmiało: wieczór panieński Larwy. Pewność można było mieć tylko co do jednej rzeczy — że z wspomnianej uroczystości wyjdzie się poharatany duchowo i cieleśnie — zwłaszcza to drugie było więcej niż pewne.

W antycypacji nadchodzącej poniewierki Laura ubrała się stosownie w bordową tunikę i czarne spodnie — strój praktyczny, niegniotaący się i niebrudzący.

Po przekroczeniu progu apartamentu siostrzyczki od razu wpadła w szpony jej najlepszej koleżanki Moniki. Laura uwielbiała koleżanki Larwy, które różniły się od niej pod każdym względem. Na plus oczywiście. Monika była jedną z nich, ale miała poważną wadę — upijała. Jej specjalnością były tak zwane lajtowe drinki składające się z wódki i soku w proporcjach pół na pół. Produkowała też lajtowe poncze — ofiarą jednego z nich Laura padła na urodzinach Ilony dwa lata wcześniej. Była wtedy krótko po porodzie, a przez dziewięć miesięcy ciąży i dwa miesiące heroicznego karmienia piersią odzwyczała się od napojów z promilami.

Kiedy zobaczyła poncz — a wyglądał bardzo podejrzanie: w bursztynowej cieczy pływały niezidentyfikowane owoce — jakoś nie miała ochoty go pić. Monika wyjaśniła jej, że jest lajtowy: sangria z sokiem i pomarańczkami. W rzeczywistości wzmocniła miksturę spirytusem. Laura padła po dwóch szklaneczkach i nie bardzo pamiętała przebieg imprezy, a później ledwo rozpoznała się na zdjęciach (szklistookie zombie w niebieskiej bluzeczce). Teraz też postanowiła się pilnować, wzięła więc drinka podanego ochoczo przez Monikę i obwąchała go starannie. Jechał wódą nieprzyzwoicie. Odląła nieco do zlewu i dopełniła sokiem, obiecując sobie jednocześnie, że nigdy, przenigdy nie nabierze się na lajtowe cokolwiek przyjaciółki siostry.

— Co słyhać? — zapytała Monikę, gdy już osiadły na kanapie. Monia wzruszyła ramionami — Zmieniłam pracę...

Robiła to tak często, że Laura już dawno straciła rachubę. Co ciekawe, za każdym razem dostawała ważniejsze i lepiej płatne stanowisko, co wybitnie świadczyło o jej wrodzonym geniuszu. Jeżeli jednak ktoś by pomyślał, że imperatywem kategoriycznym popychającym ją do zerwania z niesatysfakcjonującą posadą były kasa lub stółek, bardzo by się pomylił. Monika rzucała robotę i szukała lepszej z powodów czysto estetycznych. W jednej z prac przestało jej się podobać, gdy podczas przerwy na kawę wszyscy zaczęli omawiać aktualny stan wydarzeń w pewnym serialu (w roli głównej panienska z wielkim biustem), w drugiej pracy zniesmaczyli ją faceci rozprawiający o szminkach, w trzeciej też przeżyła podobny szok estetyczny. Obecnie pracowała w firmie sprzedającej gwoździe.

— To chyba nudne, nie? — spytała Laura, upijając trochę ze swego drinka. „Ile to może mieć jednostek” — zastanowiła się przy okazji. — „Pewnie ze siedemdziesiąt”.

— Coś ty! To bardzo fajne! Wiesz, ile jest rodzajów gwoździ?

Nie miała pojęcia, ale jakoś nie wydawało jej się, żeby ta wiedza na coś mogła jej się przydać, więc nie ciągnęła tematu. Bardziej ciekawiło ją, kiedy Moni rzuci gwoździe i znajdzie sobie coś innego. Co by to było? Mogłaby na przykład zostać menedżerem w ogrodzie zoologicznym albo szefem zakładu przetwarzającego surowce wtórne — prawdziwe wyzwanie. Jak się okazało, następną posadę Monika znalazła w urzędzie państwowym.

— A co u ciebie? Co robisz? — zaciekawiała się Monika. Laura wzruszyła ramionami.

— Postanowiłam się przebranżowić.

Koleżanka z entuzjazmem pokiwała głową, ona sama przebranżawiała się kilka razy do roku.

— A co będziesz robić?

— Zapisalam się na kurs grafiki komputerowej.

Czysta prawda. Laura znalazła ogłoszenie w prasie, z którego wynikało, że za marne pięć stów (bo resztę dopłaca Unia) można stać się fachowcem, co się zowie.

Nabyć praktycznej znajomości Corela i Photoshopa i świadczyć usługi dla ludności — tu odchudzić gruby tyłek, tam dodać blasku wyliniałym włosom, ówdzie powiększyć marny cycek do rozmiarówki, której nie powstydziałaby się Pamela Anderson.

Kurs jednakowoż całkowicie przekroczył jej wyobrażenia. Nie żeby nie uczyli, o, co to, to nie! Uczyli jak diabli, ale kadra była po prostu... zastanawiająca.

Głównym macherem od programów graficznych był niejaki pan Czesio, który charakteryzował się tym, że czy to rano, czy wieczorem ciągnął się za nim znajomy zapach wyborowej. Pan Czesio zbytnio się z tym faktem nie krył, mówiąc nawet do Laury — gdy ta nie mogła sobie poradzić z jakimś trudniejszym rysunkiem — „Strzełiłyby sobie pani setę i od razu poszłoby lepiej”. Pana Czesia szczególnie brzydziły doniesienia policyjne o pijanych matkach, atakowanych alkomatem w zaciszach domowych, oraz o legitymowaniu na ulicy, co zdarzyło mu się osobiście, gdy wykręcając zgrabne ósemki, zdążył do domu po wyczerpującym dniu pracy.

Asystentem pana Czesia, wręcz jego prawą i lewą ręką, był niejaki Wacuś.

Człeczyna chudziutki i niepozorny. Szybko jednak dał się poznać jako wyrafinowany wielbiciel programów telewizyjnych oraz komentator polityczny.

Miał straszny zwyczaj siadania koło Laury, zaglądania jej przez ramię, kiedy cyzelowała fotomontaż przedstawiający papugę z twarzą kobiety (lub odwrotnie) i monologowania. Tematyka była bardzo złożona, ale punkt wyjścia stanowiło zwykle doniesienie, które Wacuś wyczytał w internecie.

— Ojciec porwał dziecko — dywagował kiedyś na bazie dramatycznego wydarzenia, które rozpałiło do białości cały kraj i stało się newsem głównym wszystkich

telewizji, bez wyboru, czy prywatna, czy państwowa. — Jak ojciec może porwać własne dziecko? Ja tego nie rozumiem, a pani? Ojciec po prostu zabiera dziecko, bo jest jego.

Nudziły ją te czcze rozważania, więc gdy pewnego razu Wacusz podsunął sobie krzesło i zerkając na hipopotama przerobionego na Leonardo DiCaprio, rzucił:

— A ogląda pani taki program Sędzia Anna Maria Wesołowska?

Laura wykorzystała swą szansę. Odchyliła się na krzesło, a potem — udając głęboki namysł — rzekła:

— Tak, jeden odcinek widziałam W KOLEJCE DO GINEKOLOGA.

Nie trzeba mówić, że Wacusz zmył się i tyle go widziano przy jej stanowisku.

Trzeci jegomość nauczający trudnej sztuki grafiki, pan Jędrus z kolei, przypominał Laurze postać z powieści czytanej w dzieciństwie — Niewiarygodne przygody Marka Piegusa. Występowało tam dwóch bandytów, których po latach już nie odróżniała, Albert Flasz i Wienieczysław Nieszczególny. Jeden z nich, melancholik, ciągle pachniał walerianą. Taki właśnie był pan Jędrus (bez waleriany). Miał on z kolei zwyczaj nagłego pojawiania się za plecami kursantów i komentowania wykonanego dzieła dwoma słowami: „Ameryka, co?”. Nie miała pojęcia, o co właściwie chodzi — czy praca była tak dobra, czy też tak kiczowata.

Trzech wykładowców, jak nie przymierzając trzy osoby boskie, wprawiało ją w niekończące się zdumienie.

Moniki jednak wcale to nie zdziwiło. Zaczęła się rozwodzić nad jej nowymi szansami: może zostać freelancerką webmasterką, lecz Laura szybko poskromiła te rojenia. Sama wiedziała, że nie ma za grosz talentu i wszystkie jej prace są odtwórcze. Zatem z freelancerstwa nici.

— Może powinnaś spróbować w dziele HR? — podsunęła Laurze Karła, druga przyjaciółka Larwy. Karła była dyrektorem HR w dużej zachodniej korporacji, żoną Anglika, z którym miała open marriage, i generalnie ciekawą osobą. Laura pokręciła przecząco głową.

— Wybacz, Karła, ale nie mam ambicji na personalną. Wolę już pisać broszurki dla Instytutu Badań nad Folklorem.

— A ja osobiście chciałbym być personalną — wtrącił się niespodziewanie Maciuś, ukochany koleżka Larwy z pracy, traktowany jako kolejna przyjaciółka i z tej racji zaproszony na wieczór panieński. Maciuś był osobą ogromnie oryginalną. Sięgał Laurze gdzieś w okolice łokcia, ważył połowę tego co ona, za to wyglądał niezwykle malowniczo. Tego dnia miał na sobie amarantową koszulę z kaszmiru, lśniące srebrzyste dżinsy, buty za kolana (typu koty) z jakiegoś dziwaczного, połyskującego brokatem tworzywa, na głowie opaskę z organdy w kolorze różowym i brązową torebkę.

— Ciebie nikt się nie pyta — zgasiła go tymczasem Larwa, polewając nowe drinki.
— A w ogóle to gdzie jest Patrycja?

Patrycja to trzecia najlepsza koleżanka Ilony. Kontestowała wszystko i wszystkich, pracowała za marne grosze w jakimś biurze i była z tego kosmicznie zadowolona. Z góry patrzyła na koleżanki zasuwające w korporacjach i gromadzące forszę na kontach, albowiem ona uwielbiała biurowe gadki szmatki, odpoczynek z nogami na biurku i sześć niespiesznych kawek dziennie. Jej biuro bowiem jak u Franza Kafki — istniało bez petentów. Patrycja pracowała tam ze dwa lata, a jeszcze żaden się nie pojawił. Być może wiązało się to ze znakomitym zakonspir owaniem siedziby, mieszczącej się w nieoznakowanym budynku na peryferiach miasta, a może z oryginalnymi godzinami urzędowania — od szóstej rano do czternastej.

— Jest w łazience — doniosła Monika, która siedząc przy wyjściu na taras, miała świetny ogląd sytuacji.

Minęły jeszcze ze dwa kwadransy i w salonie pojawiła się Patrycja.

— Coś ty tam tak długo robiła? — zapytała mało dyskretnie Larwa.

— Ważyłam się. — Patrycja skrzywiła się wymownie. — I co?

— Nic. Próbowałam obliczyć swój wskaźnik BMI — dodała z tragiczną miną, a Laura pokiwała głową.

Też ostatnio to liczyła i wynik nie był zadowalający — ledwo mieściła się w granicy „lekka nadwaga”. Mało budujące.

— I co ci wyszło? — zainteresowała się Karla.

— Policzyłam sobie stosunek wagi do wzrostu i okazało się, że jestem stanowczo za niska! Laurze wyszło to samo — doszła wręcz do wniosku, że powinna urosnąć przynajmniej o dwadzieścia centymetrów i wtedy wszystko będzie okej. Jej koncepcję przyjęto z wielkim uznaniem i Karla z Moniką zaczęły zastanawiać się nad ekspresowymi sposobami na podwyższenie wzrostu. Tak zwane madejowe łoża, do którego przywiązywało się w średniowieczu torturowanego delikwenta i za pomocą kołowrotu ciągnęło go za nogi, zdecydowanie wygrało. Maciuś był gotowy nie tylko zbudować podobny sprzęt, ale i pełnym poświęceniem obracać korbą.

Zabawa popłynęła jak Niagara, a Laura przestała liczyć lajtowe drinki. Dość powiedzieć, że wspominając tę imprezę po latach, była dumna z siebie, że udało jej się zamówić taksówkę i dotrzeć do domu... Następnego dnia rano obudziła ją dziwna suchość w gardle oraz walenie do drzwi. Krzyśka i Pana Dwulatka nie było. Wczesnym rankiem pojechali z wizytą, a ona miała się męczyć ze swoim kacem sama.

Postanowiła zatem nie otwierać drzwi, tylko jeszcze odrobinę się zdrzemnąć.

Nic z tego. Walenie przybrało na sile, więc obawiając się, że hałas zwabi sąsiadów, a w konsekwencji policję, która zbada ją alkomatem na obecność, a w prasie ukaże się kolejny artykuł z cyklu: Pijana matka... i tak dalej, który natychmiast zostałby skontestowany przez jednego z wykładowców Laury z kursu grafiki (pana Czesia zresztą), otworzyła.

Za drzwiami stała Larwa. W ogóle nie było po niej widać ciężkiej nocy. Jak zwykle odstawiona i w swych luksusowych ciuchach. Zza jej ramienia nieśmiało wychylała

głowę Aneta, fryzjerka Larwy, która robiła jej bałajże i wymyślne fryzury.

— Tak jak myślałam. Rozmemłana — rzuciła do fryzjerki i odepchnąwszy siostrę, wkroczyła do środka. — Oczywiście nie pamiętasz, jak ci wczoraj mówiłam, że rano przyjdziemy?

— Przyjdziecie? Po co? — zapiszczała Laura, jak nie przymierzając posłanka Senyszyn, której wreszcie udało się wydać ze spieczonego gardła jakiś dźwięk.

Sięgnęła po butelkę i duszkiem wychyliła zawartość półlitrowki z mineralną.

— Upadek — stwierdziła Ilona, mierząc ją wrogim wzrokiem. — Aleś się urządziła, nie ma co... Laura w mglistym przeblysku przypomniała sobie obrazek z wczoraj z bosonogą Larwą, tańczącą na stole w roli głównej, ale wolała nic nie mówić.

— Przyszłyśmy ci robić włosy — wyjaśniła przystępnie Ilona, siadając przy kuchennym stole i odsuwając ze wstrętem dziecinne książeczki, stertę klocków i kredki świecowe.

— Już? — Zdziwiła się niepomrotnie Laura. — Ślub chyba za tydzień, nie?

Uważasz, że mi tydzień fryzura wytrzyma? Zamierzasz ją powlec lakierem do podłóg?

Larwa westchnęła ciężko i pokazała na cichutką Anetę, która nie odzywając się, układała swój fryzjerski kramik na blacie.

— Będziemy ci przedłużać włosy...

Laura wytrzeszczyła oczy. Ciągle jeszcze odczuwała skutki wczorajszego nadużycia wyciągu z żyta, ale bez przesady!

— A po co niby?

— Wymyśliłam — Larwa zmierzyła ją wzrokiem nieznoszącym sprzeciwu — że będziesz miała taki kok!

Tu sięgnęła do torby i podsunęła siostrze stronę z katalogu mody ślubnej.

Widniała na niej modelka uczesana w kok złożony z przynajmniej czterech skręconych pasm włosów, przybranych jakimiś, tfu, kretyńskimi perełkami.

— Stara, do takiego koka to ja bym musiała mieć z pięćdziesiąt centymetrów włosów więcej...

— I będziesz miała — wyjaśniła Larwa, a Aneta wyciągnęła ze swej walizki długie pasma jasnobrązowych włosów...

— Nie!!! Trzymajcie mnie!!! Ja się chcę obudzić!!! To jest jakaś powieść Philipa K. Dicka, a nie rzeczywistość!!! Chcesz mi przyczepić jakieś martwe kudły?!!!

— Wszystkie włosy są martwe — wyjaśniła Aneta, rozkładając pieczołowicie pasma na blacie. — Te akurat są syntetyczne, ale w doskonałym gatunku.

Laura patrzyła na Ilonę z obłędem w oczach. Tak. Kiedyś czytała taką powieść, Białe zęby się nazywała. Bohaterka była Mulatką, chciała sobie wyprostować włosy, żeby podobać się chłopakowi. W jakimś pokątnym salonie spalili jej owłosienie, zamiast

wyprostować, i żeby uratować sprawę, doczepili jej długie włosy jakiejś Hinduski. Ona dostała od nich uczulenia i wszystko jej wylazło z głowy. Nieeeee!!!

— Nie zgadzam się — zaprotestowała więc, udając spokój.

— Nie masz nic do gadania. To mój ślub i musi być po mojemu. Laura sięgnęła po argument ostateczny.

— Ja za to nie zapłacę.

— Już zapłaciłam... Przestań się rzucać i siadaj, bo to zajmie z pięć godzin, i tak jesteśmy spóźnione... Laura nie chciała się jednak poddać bez walki.

— Dobra, ale pod warunkiem, że po ślubie mi to wyjmiecie...

— Tego nie da się wyjąć — tłumaczyła Aneta. — Pani włosy zostaną zgrzane z tymi pasmami na stałe.

— A co będzie, jak mi zaczną moje włosy odrastać? — przeraziła się Laura. — Jak to rozczesze? Będę kołtuna nosiła jak dzieci w średniowiecznej Polsce?

— Żadnego kołtuna — obruszyła się Aneta. — Zupełnie normalnie się to zachowuje i normalnie czesze... Ale kolor idealnie dobrałam — zwróciła się z dumą do Larwy, która z aprobatą pokiwała głową.

— Ilona.. — odezwała się słabym głosem Laura.

— Co? — warknęła upiorna siostrzyczka.

— Może ja bym po prostu założyła perukę? Za własne ją sobie kupię, może być nawet zielona...

— Żadnej zielonej peruki!!! — obruszyła się Larwa. — Będiesz miała kok z własnych włosów... Znaczą się z syntetycznych...

— Ratunku! — jęknęła, ale Aneta już wzięła ją w obroty.

Po pięciu godzinach fryzjerskiej operacji Laura wyglądała... dziwnie. Miała na głowie dwa razy więcej włosów niż przedtem i czuła się jak Violetta Villas. Albo zapomniana już przez wszystkich Shazza. Popularna ponad dekadę wcześniej gwiazda disco polo, zapytana w jednym z wywiadów o niesamowicie szybki przyrost włosów (z wyraźną insynuacją dziennikarza, że sprawiła sobie perukę), odpowiedziała, że to ani peruka, ani implant, bo to było właśnie to: ekspresowe przedłużenie włosów.

— Jezus Maria! — jęknęła, patrząc do lustra. — Jak ja wyglądam! — Włosy sięgały jej do połowy pleców i z trudem ruszała głową. — Da się to jakoś spiąć?

— Po co spinać? — Nie rozumiała Larwa. — Masz włosy jak Catherine Zeta-Jones i jeszcze ci źle...

— Chyba jak Tina Turner — zauważyła zgnębiona Laura, która zupełnie się nie odnajdywała z długimi splotami.

Pół dnia spędziła na manipulacjach w łazience. Wypróbowała gumkę do włosów (pękła z powodu obfitości owłosienia), plastikową opaskę oraz wreszcie chustkę w kwiatki, która nadała jej czarujący wygląd rozkudlonej hipiski.

— O rany! — wykrzyknął Krzysiek, wprowadzając Pana Dwulatka w progi domu. Młody na widok odmienionej matki rozryczał się boleściwie. — To od tego alkoholu ci się tak zrobiło? Co ona tam podawała na tej imprezie? Proszek na porost włosów?

— To są włosy przedłużone — wyjaśniła ponuro, wtajemniczając go powoli w pomysł Larwy, dla której świadek nie byłby świadkiem, gdyby nie prezentował wybujłego owłosienia.

— Ale nie wszyscy goście tak muszą? — upewnił się. — Bo wiesz, ja to bym chyba raczej nie chciałem...

A poza tym, nie łam się, do ślubu tydzień, jakoś wytrzymasz, a potem sobie to wyskubiesz...

Nie była pewna, czy da się to wyskubać, ale dzięki Dziecku zaczęła mieć niejaką nadzieję — Miłosz złapał łapką jeden z bujnych pukli, szarpnął i pasmo syntetycznych włosów zostało mu w dłoni.

— Dobra jest! — ucieszył się Krzysiek. — On ci to wyskubie, jest w tym dobry...

W poniedziałek zgnębiona Laura powlokła się do parku. Udało jej się spiąć włosy w coś w rodzaju koka, ale miała niejasne podejrzenie, że wygląda w nim jak piosenkarka pop Amy Winehouse (swoją drogą, bardzo podobna do wielbłąda).

— Ło matko! — zawołał na jej widok Rudy. — Kiedy się ciebie tak stało? W Misiu facetowi od szamponu Samson wylazły wszystkie włosy, ale u ciebie najwyraźniej poskutkowało!!

— Cicho bądź! — syknęła zniecierpliwiona.

Dziadek Weroniki nie odezwał się ani słowem, tylko ze współczuciem posunął się na ławce. Nawet mała Dolores rozdziawiła buzię i jako jedyna wpatrywała się w Laurę z prawdziwym podziwem. Aby już nikogo nie brakowało, Miłosz wgramolił się matce na kolana i wyrrywając jeden długi lok, zagaworzył z zapałem:

— Włosi, włosi, mamy włosy.

— Ło matko, Laura, zaczynasz lineć! To Samson na sto procent!

— Przestań. Ciesz się, że tobie Larwa takiej siurpryzy nie zrobiła...

— Larwa ci kazała? — Dziwował się. — To jakaś peruka jest, czy coś?

— Treska z pieska — mruknęła, cytując nieśmiertelny przebój Maleńczuka (treska z pieska, szklana plereska).

— Chłe, chłe, chłe — zachichotał, próbując złapać za jeden z jej bujnych splotów, ale zręcznie się wywinęła.

— Nie macaj. Larwa dała za to czterysta złotych, musi wystarczyć do soboty.

— No, chyba że czterysta... Już się odczepiam... Ale żeś się zgodziła? — Pokręcił ze zdumieniem głową. — Wyglądasz jak troll...

— Sam jesteś troll! I uważaj, bo zbliża się Drużyna Pierścienia — syknęła nienawistnie Laura i aby popsuć mu humor zapytała: — Te, a ty umiesz tańczyć?

Rudy stropił się nieco.

— Nie, a co? — zapytał z niepokojem.

— Bo wiesz — ciągnęła mściwie — my tam będziemy musieli zatańczyć pierwszy taniec... Kapujesz — państwo młodzi oraz świadkowie tańczą w pierwszym tańcu...

— Żartujesz — jęknął przerażony Rudy, którego na tę okazję jakby opuścił dobry humor. — A co będziemy tańczyć?

— I to jest najlepsze. — Rozkoszowała się swoim triumfem — TANGO!!!

— Znakomity wybór — wtrącił się Dziadek Weroniki. — To bardzo elegancki taniec. Niestety, wymaga pewnych umiejętności. — Tu zmierzył Rudego znaczącym wzrokiem. — I raczej nie sądzę, aby pan je posiadał...

— Nic trudnego. Jeszcze sobie zdążysz obejrzeć jakiś odcinek Tańca z rozgwiazdami albo tych na łyżwach, a w ostateczności kupisz sobie kurs na CD z Cichopem...

— Jezus Maria, z jakim znowu Cichopem!!! — jęknął Rudy, udowadniając detalicznie, że nie tylko nie ogląda najpopularniejszych polskich seriali, ale nie czytuje najmodniejszych stron w internecie. Duży minus, bardzo duży...

— Te, marksista, nie wzywaj imienia Boga nadaremno — pogroziła jeszcze Laura, by go ostatecznie dobić i potrząsnęła swym kosmicznym kokiem. — Ja może mam kiepskie włosy, ale tango umiem tańczyć, a ty co? Co ci dał ten eksport rewolucji, ja się pytam?

— Tango jest burżuazyjnym przeżytkiem — odgryzł się słabo.

— Wcale nie, chyba Mrożka w szkole nie czytałeś. Tango to taniec wyzwolenia i już!

— Obetnę ci na pensji. — Próbował jeszcze się zemścić.

— A obcinaj sobie. Zacznę strajkować albo założę ci związki zawodowe i nigdy mnie nie dasz rady zwolnić...

— No widział pan, co za źmijka. — Rudy zwrócił się do Dziadka, wyraźnie licząc na męską solidarność.

Dziadek jednak wzruszył ramionami.

— Lepiej by ją pan poprosił, żeby pana tańczyć nauczyła. Co byłoby zresztą w twoim, Lauro, interesie. Mówię to w trosce o twoje buty oraz resztę przydeptanego stroju i o moje wrażenia estetyczne, gdy będę tam stał i obserwował tę kompromitację.

— To ja już wolę, żeby pan mnie uczył — obraził się Rudy, popełniając gruby błąd. Dziadek Weroniki bowiem zerwał się ochoczo z ławki i stanął w gotowości.

— Ależ jak najchętniej, możemy zacząć od zaraz. W tej kawiarence mają taką szafę grającą, która wygrywał taką piosenkę w sam raz... Laura, skocz no i nastaw...

Zanim biedny Rudy się zorientował, z kawiarni płynął już przebój Shakiry Objections, a on sam płąsał wraz z Dziadkiem jak wuj Eugeniusz z Edkiem (nie

przymierzając) . Tańce wzbudziły aplauz zgromadzonych na placu nianiek, mam i babć, które otoczyły dansującą parę zwartym wianuszkiem.

— No, pani Lauro, dobrze? — wydyszał Dziadek, zamiatając Rudym jak w finale mistrzostw świata w tańcach latynoamerykańskich.

Laura pokręciła głową z niezadowoleniem.

— Nie, ja tańczę ocho, czyli tango argentyńskie. Nie ta noga do przodu...

— Lewa noga — dodała Gośka, matka Piotrka. — Musi pan z lewej nogi zacząć. Laura, chodź, pokazemy.

Gośka złapała ją wpół i za chwilę dały pokaz ocho.

— E, no tak to ja nie umiem — skapitulował Dziadek Weroniki.

— Ale umie pan na pewno — przekonywała jedna ze starszawych niań. — Ja w gimnazjum się uczyłam tanga przed maturą. Niech no która skoczy i nastawi tę melodię jeszcze raz...

— A ty, Rudy, popróbuj z Laurą — doradzała Gośka.

— W życiu! Nie zbliżę się do żmijki!

— No, na weselu i tak będziesz musiał, to zrób to od razu — zachęcała go, a Laura po prostu złapała Rudego za łapę i wywlekła na placyk przed kawiarnią.

— Kroki licz, głąbie. Po dwóch noga idzie w bok, melepeto!

Jak co dzień, w okolicach piętnastej, gdy wagarowicze zaczynali niszczyć sprzęt na placu zabaw, pojawiał się tu patrol straży miejskiej. Co tym razem ukazało się ich zdumionym oczom? Otóż scenka pod tytułem „Cała sala tańczy z nami”. Z głośnika w kawiarni dudnił hit Shakiry, zaś babcie, nianie, matki i garstka ojców płąsała po kawałku wybetonowanego placu, a licznie zgromadzone dzieci młodsze i niemowlęta aż powkładały paluchy do buzi z wielkiego zdziwienia.

— Widziałeś to? — spytał jeden strażnik drugiego.

— Może to wirus jakiś? Albo wiesz, jak w tej bajce o czerwonych trzewiczkach, nie mogą przestać tańczyć...

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Święte oblicze w pasażu handlowym

A: Koleżanka pokazała mi dziś w przejściu podziemnym do Galerii Krakowskiej na ścianie obrazek Matki Boskiej (lub Jezusa), a raczej mokrą plamę o takim kształcie, podobno powstała samoistnie i utrzymuje się tam już długo, czy ktoś o czymś takim słyszał?? Czy to tylko jakiś żartowniś zrobił coś takiego ??

B: Z tym, że ten obrazek przedstawia mnie, a nie Matkę Boską (lub Jezusa), a powstał z pawia po winie systemu wisienka mocna...

C: Po prostu ktoś obszczał tę ścianę...

A: Że to postać święta, to zapewniała nas koleżanka, ja też raczej myślę, że to jakiś żart, niekoniecznie twój!

B: Skoro tak, przekaz koleżance, żeby odstawiła leki...

D: Ło matko, ło jeżu, trza uciekać!!!!...

SZWAGIER KOLASKA

Dzień ślubu Larwy i Pereca od świtu upływał pod znakiem kontroli gotowości, wdrażanej co kwadrans przez Ilonę. Upiorna siostrzyczka zadzwoniła po raz pierwszy o godzinie szóstej trzydzieści, wywlekając nieprzytomną Laurę z łóżka.

Mimo iż pora była już zdecydowanie za późna do udoju, z niewiadomych powodów Larwa uważała, że jest jak najbardziej właściwa do rozpoczęcia przygotowań ślubnych. Jak wyliczyła ziewającej Laurze, która w koszulinie nocnej i boso stała przy telefonie, w planach byli fryzjer, makijażystka, ostatnia poprawka sukienki oraz ewentualne doklejki złamanych podczas wszystkich wcześniejszych operacji tipsów (ostatnie to żart — tipsy jako szczególnie passę nie mieściły się w grafiku Larwy).

— Ueeee — ziewnęła Laura do słuchawki. — Chyba wiesz, że wszystkie te przybytki urody są czynne od ósmej? Mam zdrzeć kiecę i lecieć ustawić się do kolejki?

— Głupiaś — ucięła siostrunia. — Pamiętaj, że o dziewiątej przyjeżdżasz do mnie, będą fryzjerka i kosmetyczka, i Baśka z sukienką też...

— To po cholere dzwonicz o szóstej rano?

— Żebyś, larwo rozlazła, wyszła z łóżka i poszła się kąpać! I włóż jakąś bluzkę z guzikami, w żadnym razie golf!!!

— Dlaczego niby? — sprzeciwiła się Laura.

— Bo jak ci fryzurę ułożą, to trzeba będzie rozcinać, co przytrafiło się mojej koleżance z pracy, a miała na sobie sweterek z ostatniej kolekcji Monnari...

— Czego chciała? — zapytał przez sen Krzysiek, a Laura zakipiała gniewem.

Przez debilne pomysły Larwy straciła dobre dwie godziny snu, których już nie odrobi w ciągu najbliższej doby.

Postanowiła się zemścić i uwalić w pościel. Wstanie sobie spokojniutko koło wpół do dziewiątej, umyje się na szybko i pojedzie autobusem... Nic z tego. Po kwadransie zadzwoniła komórka...

— Jesteś już w wannie?

— Ueee, tak, tak, tak...

— Wstawaj z wyra, leniu!!!! Jazda się myć!

Co było robić? Mamrocząc pod nosem niecenzuralne wyrazy, powlekła się do łazienki. Po półgodzinie kontemplacji wśród pian i ziołowych zapachów była gotowa — miała na sobie jedyną posiadaną bluzkę na guziki (biała, model kujon-licealistka) oraz — na wszelki wypadek — spódnicę, która kiedyś należała zresztą do Larwy. Egzemplarz ze sklepu o nazwie „Zakręcona Moda” i to w zasadzie wszystko na temat tej kiecki.

Po kolejnych trzydziestu minutach stanęła już pod domem Larwy. Panowała tam atmosfera bardziej niż bojowa — Barbara w piżamie i satynowym szlafrocisku prasowała lawendową sukienkę, którą miała włożyć Laura. Na sofie w salonie leżały rozłożone w szyku wojskowym elementy stroju panny młodej — brakowało jedynie onucy i obuwia zwanego trepami — zastępowały je beżowe pończochy i satynowe pantofle na wysokim obcasie. Baśka płakała.

— Co się znowu dzieje? — spytała Larwę, zajęta podtrzymywaniem swej głowy obciążonej niezliczoną ilością plastikowych podgrzewanych wałków do włosów.

— Ma chorobę afektywną dwubiegową. Z powodu hormonów ciążowych.

Przed chwilą była w euforii. Nasmażyła naleśników na śniadanie i zrobiła hektolitry kawy. Nie przejmuj się, tylko siadaj. Aneta ci fryzurę zrobi.

Robienie fryzury trwało małe dwie godziny i Laura miała szczerą nadzieję, że bujne kudły wyleżą jej zaraz po uroczystości. Kiedy popatrzyła do lustra, nie poznała sama siebie.

— Wyglądam jak Conan Barbarzyńca — wyszeptła z rozpaczą, usiłując przyklepać nieco odstający kokon na czubku głowy.

— Ani mi się waź! — warknęła Larwa. — W ogóle nie dotykaj. Wyglądasz świetnie! To jest fryzura z ostatniego numeru „Moda i Ślub”, a to czasopismo kosztuje pięćdziesiąt złotych!

— I są to pieniądze absolutnie wyrzucone w błoto — skomentowała, zastanawiając się, jak dyskretnie wyciągnąć z przepaścistej torebki gorset i gdzie go chyłkiem włożyć.

Łazienkę na trwałe zablokowała wymiotująca (dolegliwości ciążowe plus naleśniki) Barbara, w kuchni królowała Larwa, zaś w sypialni urzędowała Monika racząca się dla kurażu lajtowym drinkiem. Pozostały jej tylko taras lub garderoba o wymiarach trzy metry kwadratowe. Natychmiast wyeliminowała taras z widokiem na cmentarz — pojawieniem się w gorsecie wyszczuplającym (lub biorąc pod uwagę następstwo wydarzeń — najpierw bez niego) nie chciała zakłócić ewentualnej uroczystości pogrzebowej, bo jak wiadomo, nic tak nie psuje ceremonii, jak oniemiały żałobnicy gapiący się na gołą babę na balkonie. Drugi taras dawał jednakowoż pewną nadzieję. Był to rodzaj balkonu zakręcającego za załomem muru, gdzie w naturalny sposób powstawała prawie niewidoczna wnęka.

Postanowiła zatem z tej wnęki skorzystać, zwłaszcza że to sobotnie przedpołudnie, godzina wczesna i generalnie: zero strachu. Wyszła więc defiladowym krokiem na tarasik (ubrana w satynowy szlafrok Baśki) i odwróciwszy się frontem do ściany, zaczęła wciskać się w gorset. A że była zdenerwowana sytuacją i spieszyła się, cała operacja nie szła tak szparko jak w domu. Po dobrych pięciu minutach miała gorsecik na wysokości bioder, a pot spływał jej z czoła obficie.

— Ty, co to za chomąto? — zapytała życzliwie Moni, która wyszła na balkonik zapalić kulturalnie papieroska.

Laura zamarała.

— Gorset wyszczuplający... — wychrypiała, bo od wysiłku straciła prawie głos.

— Superancki. Bardzo mi się podoba. Jak to działa? — Z uwagą przyglądała się koleżance, której właśnie udało się naciągnąć wynalazek aż pod biust i usiłowała teraz przyczepić do niego silikonowe ramiączka.

— Efekt brazylijski — wysyczała, zapinając ramiączka na plecach.

— Brzmi fantastycznie, a co oznacza? — dopytywała się dalej, zaciągając się jednocześnie papieroskiem.

— Że każda fałda tłuszczu zostaje wyprostowana.

— Rewelka, muszę taki kupić! Nie wiem zresztą, czy zauważyłaś, ale efekt brazylijski zgromadził ci całkiem pokaźną widownię, która od paru minut kontempluje twe wysiłki.

Laura odwróciła się powoli i z przerażeniem, starając się jednocześnie szczelnie owinąć szlafrocikiem Baśki. Na sąsiednich balkonach tkwili inni palacze, którzy dosłownie wychylali się przez barierki, aby nie uronić ani momentu z przedstawienia na tarasie pierwszego piętra. Jeden geniusz przyniósł sobie nawet lornetkę teatralną, w którą wgapiał się tak, jakby był na premierze w La Scali.

— Zboki! — rzuciła i czym prędzej wpadła do mieszkania. Czas najwyższy, bo sinozielona Barbara opuściła właśnie łazienkę i zbliżała się pora ubierania.

— Dobrze leży ta sukienka — stwierdziła ze zdziwieniem, wygładzając fałdy szyfonu. Laura i Monika wymieniły znaczące spojrzenia. — Tylko te silikonowe ramiączka od stanika — kontynuowała Baśka. — Mam nadzieję, że wiesz, jaki to obciach niemiłosierny nosić coś takiego.

— Ciesz się, że nie przyniosła swoich ulubionych białych kozaczków — uspokoiła ją Moni. — Ona ma w zanadru kilka jeszcze bardziej obciachowych kreacji, zapewniam cię...

— Czerwony strój z lateksu — wyjaśniła Laura. — Nabijaną gwoździami kurtkę z dzinsu oraz „futerko w kolorzeancelota”, jak głosił kiedyś opis aukcji na Allegro.

— Przestańcie — zarządziła Larwa, pojawiając się między nimi w pełnym rynsztunku bojowym, czyli swej bajeranckiej francuskiej sukni, bucikach i całej reszcie. — Wiecie, która godzina? Musimy już jechać!

Towarzystwo we frakach i tiurniurach (a właściwie w sukniach balowych) wysypało się z domu i wsiadło do podstawionych w tym celu samochodów. Laura bez trudu odnalazła swój, bo za kierownicą siedział Rudy w garniturze i na jej widok zaczął trąbić jak oszalały.

— Aleś się odstawiała! Jak indyk przed Świętem Dziękczynienia!

— Cicho bądź, bo cię sprzedam na organy — warknęła, wciskając się na tylne siedzenie obok Krzyśka i Miłosza.

— Chyba na organy Rubika — wesoło dodała Agata, potrząsając długimi kolczykami.

— Nie ma co zwlekać, trzeba uciekać — filozoficznie podsumował Rudy i we wcale dobrych nastrojach ruszyli do miasta.

Co by tu nie mówić o ślubie i weselu w ogrodach muzealnych, najważniejszym aspektem uroczystości jest pogoda — pan młody już ze trzy dni wcześniej siedział na różnych portalach meteorologicznych (a nawet osobiście zadzwonił do IMiGW-u), by przewidzieć, co też może się niespodziewanego wydarzyć. Nie wydarzyło się jednak nic, ku wielkiemu rozczarowaniu Laury, liczącej nie tylko na burzę z piorunami, ale i na opisaną już ucieczkę panny młodej. Larwa nie dość, że nie uciekła, to najwyraźniej przez cały czas ceremonii pilnowała swego wybranka, trzymając go za rękę uchwytem zapaśnika. Rudy nie zapomniał obrączek, a Laura nie zaczęła ogonem sukni o żaden z dekorujących ślubne podium wazonów z kwiatami. Pierwszy taniec wypadł znakomicie i choć Rudy nadepnął jej ze cztery razy na nogę i w dodatku syczał tuż nad jej głową jakieś obraźliwe słowa o burżuazji i drobnym mieszczaństwie, wyszli z tego bez większego szwanku. Po godzinie wypełniania obowiązków świadka padła wreszcie na krzesło obok męża i pod stołem dyskretnie zzuła buty.

— Rany, już mam dosyć, a to dopiero początek — zwierzyła się przez stół Agacie.

— Walnij sobie drinka, to od razu ci się poprawi — zaproponowała tamta, co zresztą Laura z ochotą uczyniła.

— Nie znoszę wesel — oznajmił Rudy, który właśnie dobił do stołu po obowiązkowym tańcu z panną młodą.

— Dlaczego? — zainteresował się Krzysiek. — Jest bardzo fajnie: dużo jedzenia, wszyscy robią z siebie bęcwałów, potem będzie o czym opowiadać w długie zimowe wieczory.

— No właśnie, to obgadywanie mnie mierzi — stwierdził Rudy, nalewając sobie do kieliszka czystej wódki, bo jak mówił: „Popitki są dla mięczaków”. — W ogóle nie masz pojęcia, co się działo po naszym ślubie, jak mnie ten małomiasteczkowy, tfu, establishment obrabiał!

— Bo się załeleś w godzinę i zaczęłeś wygłaszać manifesty polityczne — wyjaśniła Agata. — Zaczął od analizy Kapitału Marksa...

— O rany — powiedziała Laura ze współczuciem. — Myślałam, że jednak potrafisz się opanować, ale chyba jednak się łudziłam...

— Masz niesamowitą sukienkę — zmieniła temat Agata. — A w ogóle to widziałam cię w „kaskaderkach vitage'u” w tej sukni. Boże, duszę bym sprzedała, żeby umieścili tam moje zdjęcie! Jesteś sławna! Skąd ty znasz Angellę?

— Ze sklepu — odpowiedziała. — Poznałam ją w Warszawie, bardzo spoko dziewczyna, gadałyśmy o modzie.

— Jakie kaskaderki vintage'u? — jęknął Rudy. — Czemu ja nigdy o niczym nie wiem?

— Nie ma takiej potrzeby, żebyś wszystko wiedział — kategorycznie oświadczyła mu żona. — I, mój drogi, zrozum, że jak Laura była w „kaskaderkach vintage'u”, to już

została namaszczona jako guru od stylu i teraz powinieneś być dumny, że taka osoba pisze u ciebie...

Laura rada by kontynuować tę miłą dla jej ucha pogawędkę, ale spostrzegła, że w jej kierunku zbliża się dyrektor muzeum, docent Mogielnicki, z miną zdradzającą oburzenie. Od razu wiedziała, o co chodzi, ale postanowiła stawić czoło niebezpieczeństwu.

— Pani Lauro, jak pani mogła to przede mną ukrywać? — wypalił dyrektor bez zbędnych wstępów, tuż po zwyczajowym cmoknięciu damy w wierzch dłoni.

— Panie dyrektorze, naprawdę nie chciałam pana denerwować, widziałam, jak był pan poruszony tą sprawą z Orbitowskim... Pomyślałam sobie, że jeśli powiem panu o tym Pilipiuku, to może się zakończy tragicznie...

Docent nadstawił ucha.

— O jakim znowu Pilipiuku pani mówi? — zapytał z najwyższym niepokojem.

— No, o tym pisarzu science fiction, Pilipiuku... On napisał taką powieść o wampirzycy pod tytułem Księżniczka, no i w niej... Ale, błagam, niech się pan nie denerwuje... Ta księżniczka, bałkańska wampirzyca, jej dwie „koleżanki” i alchemik Sędziwój przybywają tu do muzeum, by wskrzesić jedną z mumii, kapłana Meref-Neczer-Tota, który ma im zdradzić sekret nieśmiertelności... Dyrektor trwał w osłupieniu, Laura nie wiedziała, czy tak poraził go sens jej opowieści, czy nieskładnie przedstawiona historia.

— Co za brednie... — jęknął docent Mogielnicki, całkowicie zgnębiony. — Osoba tego autora oczywiście zdaje sobie sprawę, że nie posiadamy takiej mumii w naszej kolekcji?

— Tego nie wiem, niestety.

— Ja chyba osobiście napiszę do Związku Literatów, że bardzo ciekawymi tematami do wykorzystania są nasze zbiory typu grób scytyjskiej księżniczki lub Światowid ze Zbrucza, a nie jacyś nieistniejący kapłani czy mordercy w podziemiach. .. To niepojęte! I mówi pani, że ktoś to kupuje?

— Ba, żeby to kupowali! To się rozchodzi jak ciepłe bułeczki — rzekła ponuro Laura, która jako niespełniona autorka bestsellera in spe zazdrościła innym popularności.

— Niewiarygodne! Chyba ja też powinien zacząć pisać. Myślę, że potrafiłbym opowiadać równie dziwne historyjki...

— Nie wątpię — ucieszyła się Laura, ale od razu zmarkotniała. Skoro docent nie przyszedł tu z wyrzutami na temat zatajonych informacji o Pilipiuku, to o co mu chodziło?

Dyrektor zauważył jej spojrzenie.

— No właśnie! Przyszedłem spytać, czemu mnie pani nie poinformowała, że nasze sprostowanie ukazało się w tym magazynie! Dopiero doktor Tumanek mi przyniósł gazetę!

Laura rzuciła okiem na aktualny numer. Świeżak, nówka-sztuka, zatem nie miała jeszcze do niego dostępu. Próbowwała to wyjaśnić dyrektorowi, ale machnął ręką, bo odwoływał go doktor Tumanek, który z daleka czuwał nad uroczystością, jak to niegdyś obiecał.

— Nieważne — uciął tłumaczenia dyrektor. — Pani Lauro, ja panią błagam, powiem więcej, zobowiązuję panią, że gdy trafi pani na kolejnego Pilipiuka, od razu mi pani doniesie... Zrozumiano? W imię naszej przyjaźni i mojej — tu zrobił znaczący gest ręką w kierunku wesela — dobrej woli...

A ponieważ docent w dalszym ciągu wpatrywał się badawczo w dal, Laura podążyła za jego wzrokiem. Dyrektor obserwował stół, przy którym zasiadała plemienna rada starszych, czyli Dziadek Weroniki, hrabianka i Pan Karol razem z tą częścią redakcji „Głosu Che Gevary”, która akurat nie płażała na specjalnym podeście i nie raczyła się napojami w barze.

— Czy tam siedzi pan Karol Lisiecki, ten kolekcjoner? — zapytał docent Mogielnicki, jeszcze raz wyteżając wzrok (jak w tej zabawie w starym „Przekroju”: Wyteż wzrok i znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się oba rysunki).

— Tak jest — potwierdziła.

— Nadzwyczajne! On się strasznie rzadko gdziekolwiek pokazuje, po prostu nie sposób do niego dotrzeć! Zaraz dzwonię do dyrektor Gołubiew, oni w Narodowym urządzają na jesieni wystawę o Zofii Stryjeńskiej, a pan Lisiecki ma ogromny zbiór jej rysunków...

Tu docent Mogielnicki porzucił ją, by przepchnąć się do stolika rady starszych.

Do Laury dożeglowała roztańczona Larwa.

— Kto to był? — zapytała, a Laura rzuciła tylko:

— Twój dobroczyńca, dyrektor muzeum...

— O, jak fajnie! Dobrze się bawisz?

— Rewelacyjnie, a ty?

— Świetnie! Wszystkie żony moich byłych szlag trafia, bo Agata opowiada im, jaka to jesteś sławna, że jesteś ikoną vintage'u. Założą się, że większość z nich nie ma pojęcia, o czym mowa, ale na pewno w domu się doszkoła w internecie.

Zarąbista impreza...

— O, moja siostra! — odezwał się Perec, który przeczesywał ogród w poszukiwaniu żony. — Siostrzo moja, zatańcz ze mną.

— Nie jestem twoją siostrą — jęknęła Laura. — I nigdy nie będę, jestem twoją szwagierką, i tyle.

— Co tam! Ja cię kocham jak siostrę, jak matkę nawet.

— Chyba się trochę zagalopowałeś — powiedziała z obrzydzeniem Laura, która nie miała najmniejszych ambicji zostać matką Pereca.

— Laura, Laurynka — wyśpiewywał tymczasem żonkoś, bezlitośnie depcząc jej po nogach.

— Z byka spadłeś — osadziła go. — Tak mówił komunista Lulek do Cezarego Baryki o jego kochance Laurze Kościenieckiej w Przedwiośniu. Wypraszam sobie, ja nie jestem jakaś przygłupia Laurynka...

— Ależ skąd, siostrzyczko, ty jesteś nawet nazbyt inteligentna, powalająco inteligentna...

— Boże, co ta Larwa z tobą zrobiła! — Przepełniało ją obrzydzenie. Perc uśmiechnął się tylko bezradnie.

— A wiesz co? Ona o tobie też mówi larwa...

— Mogłam się tego domyślać! — ponuro stwierdziła Laura. Taniec na szczęście się skończył i dotarła szczęśliwie do stołu Dziadka Weroniki i hrabianki; pana Karola nie było, najwyraźniej porwał go do siebie dyrektor Mogiełnicki.

— Piękna sukienka — skomplementował ją Dziadek Weroniki. — Nie odmówi pani staremu dziadkowi tańca?

— Jakże bym mogła. Pan jest jedyną moją nadzieją na uratowanie podeptanych nóg i pantofli.

— Aż tak źle? — Zdumiał się Dziadek. — Wie pani co? Spróbuję załatwić Percowi pracę w firmie mojej córki, oni co chwila poszukują młodych, zdolnych architektów...

— Będzie wniebowzięty — mruknęła Laura, doskonale znająca zapatrywania szwagra na etatową pracę (= wyzysk).

— No, teraz to on ma już rodzinę, czas się ustatkować...

— A czemu uważa pan, że on jest zdolny? Młody też już nie jest za bardzo...

— Widziałem jego projekt przebudowy tego waszego, pozał się Boże, domku, zrobił z tego cacuszko!

Tak, Perc nie spał trzy noce, palił papierosa za papierosem na tarasie Larwy i po trzech dniach przedstawił im projekt. Obie zaniemówiły, bo przerobił starą i co prawda malowniczą, ale jednak ruderę w wygodny domek letniskowy, z kominkiem, sauną i innymi udogodnieniami (że były tam dwie łazienki nie warto nawet wspominać). Dzięki uprzejmości Antoniego dostały materiały budowlane z dużą zniżką i na kredyt, a Perc postanowił wykorzystać miesiąc miodowy na nadzorowanie ekipy budowlanej zmontowanej ze swoich braci i kuzynów. (Spora ich część bawiła się na weselu, Laura tańczyła już z kilkoma, którzy zapewniali ją solennie, że cieszą się niepomierne z takiej „siostrzyczki”).

— Laura... — usłyszała niespodziewanie koło siebie jakiś proszalny głosik.

Krzysiek z kimającym w wózku Miłozsem. — Kiedy pójdziemy?

Westchnęła ciężko — choć siostrę wydaje się za mąż raz (bądźmy optymistami), to jednak wychodzenie z wesela tuż po północy jest praktyką ryzykowną.

— Za chwilę — odpowiedziała jednak. — Tylko się pożegnam. ..

— Już idziecie? — zapytała Agata, gdy Laurze udało się wyswobodzić z łap Rudego, który wyraźnie nadużył („Laura, Laura, ja cię po prostu kocham”), ale trzeba mu to wybaczyć, bo zabił go stres bycia świadkiem.

— Tak. Wiesz, Młody.

Agata pokiwała głową. Sama oddała Dolores pod opiekę mamy i zamierzała — jak się wyraziła — sponiewierać się w sposób absolutny (i była ku temu na najlepszej drodze).

— Aha. Słuchaj. Nie chciałam ci wcześniej tego mówić, żeby nie psuć zabawy.

W poniedziałek zadzwoni do ciebie dziewczynka...

— Jaka znowu dziewczynka? — zaniepokoiła się Laura.

— No, dziewczynka ode mnie z działu. Umówi cię na rozmowę z prezesem we czwartek. Bo wtedy on wraca z Bazylei. To będzie krótka rozprawa między Panem, Wójtem a Plebanem o pracę. Już mu napomknęłam o tej stronie z modą, na której występujesz, to go zaciekało maksymalnie, on uwielbia ludzi o szerokich zainteresowaniach...

— O Jezusie — jęknęła. — To ty z tą pracą poważnie mówiłaś?

— O pracy zawsze mówię śmiertelnie poważnie. Musiałam wyczekać odpowiedni moment, bo facet ciągle był w rozjazdach. Tak czy inaczej — szykuj się na czwartek. Duchowo i pod każdym innym względem...

Laura westchnęła ciężko. Pożegnała plemienną radę starszych oraz redakcję „Głosu Che Gevary”, na koniec wpadła w szpony państwa młodych, którzy w żaden sposób nie chcieli ich puścić. Musiała pozować do zdjęcia i wypić strzemiennego, po którym naprawdę zrobiło jej się jakoś źle. Wreszcie wyswobodziła się i dołączyła do męża i dziecka. Na schodach do wyjścia odwrócili się jeszcze, by popatrzeć z góry na imprezę.

— Ci wszyscy ludzie to przecież są twoi znajomi — powiedział Krzysiek. — Skąd ty ich bierzesz, rany boskie?

— Sami się jakoś znajdują — odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Farbowanie włosów a poczęcie dziecka

A: Czy farbowanie, a dokładniej rozjaśnianie włosów w dniu poczęcia lub kilka dni po poczęciu może zaszkodzić płodowi? Może go uszkodzić?

B: Zależy, jaki to był kolor... Bo wiesz, to odwrotnie działa: jak rozjaśniasz, to dziecko ci ciemnieje, a jak robisz się na heban, to dzidzius będzie bielutki jak staruszek...

C: Ja chciałam tylko zapytać: jakiemu płodowi? Chyba dodałaś sobie megaspeda, skoro w dniu poczęcia, czy kilka dni po masz już płód. Szkoda, że ten megasped nie działa na nieistniejące u ciebie szare komórki.

D: Tak. Płód urodzi się z pasemkami.

E: Szkodzi przede wszystkim brak rozumu.

F: Ueee stara — wszystko szkodzi! Farbowanie to mały pikuś przy serkach pleśniowych, wędzonej makreli, mleku UHT oraz cytrusach. To dopiero są truciele płodów! Najlepiej kup sobie taką kapsułę, jak ma Michael Jackson, podłącz sobie kroplówkę i tak żyj dziewięć miesięcy...

H: Chłe, chłe — i potem będziesz wyglądała całkiem jak Jackson — nos ci odleci!

I: Boski wątek! Dodaje go do folderu „Obraz kobiety polskiej w XXI wieku”.

KONIEC I BOMBA!

W następnym czwartek Laura denerwowała się w pokoju recepcyjnym Wielkiej Korporacji. Agata, w stalowym kostiumiku i szpilkach Lorenzi, przybiegała już kilka razy, by ją uspokoić, zagadać, wesprzeć duchowo — Laura poważnie się zastanawiała, czy te nieustające kontrole tak naprawdę nie mają na celu udaremnienie jej ucieczki. Po raz ostatni zlustrowała swoją kreację: czarną jedwabną sukienkę w czerwone eleganckie kwiaty, żakiet oraz szpilki. Nie było źle, choć większość tego zestawu (ciekawe, czy ktoś zgadnie która) pochodziła z wiadomego sklepu. Swoją drogą, w Korporacji zarobki musiały być niebotyczne.

Na oko nikt tu się nie ubierał w „Kop Ciuszku” ani innym tego typu markowym salonie. Zdaje się, że byłaby w tej dziedzinie prawdziwą prekursorką.

— Pan prezes panią prosi — odezwała się nagle sekretarka, która jak duch pojawiła się w pokoju. Laura wzięła głęboki oddech i wkroczyła do gabinetu. Od progu zaczęły się w nią wpatrywać trzy pary oczu — jedna, dosyć spanikowana należała do Agaty, czyli szefowej działu HR, dyrektor marketingu właśnie wycierał okulary, a prezes całego tego interesu uśmiechał się zachęcająco.

— Nazywam się van Worden — powiedział, witając się z Laurą.

— Bardzo mi przyjemnie — odrzekła i nie mogąc się powstrzymać, zapytała od razu: — Alfons van Worden?

— Nie... Albert, dlaczego pani o to pyta? — zainteresował się prezes.

— Jest taka powieść, Rękopis znaleziony w Saragossie, Jana Potockiego, której bohaterem jest Alfons van Worden — wyjaśniła, siadając wygodnie w klubowym fotelu.

— Naprawdę? — Zdziwił się niepomniernie i zwrócił z wyrzutem do dwójki swych podwładnych: — Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Przecież to może być jakiś mój przodek! Czy ta powieść jest tłumaczona na niemiecki?

— Oryginał jest po francusku — wyjaśniła Laura. — Ona jest tłumaczona na polski.

— Niezwykle. — Rozemocjonował się prezes. — Proszę mi zapisać ten tytuł!

Posłusznie wyciągnęła notatnik i zapisawszy Manuscrit trowe a Saragosse, podała mu kartkę. Ten spojrział na notatkę i zapytał:

— Mówi pani po francusku? — Skinęła głową. — Po niemiecku? — Także potwierdziła. Prezes odetchnął i natychmiast porzucił meandry polszczyzny, która najwyraźniej sprawiała mu pewną trudność. — Studiowała pani w Bazylei historię sztuki, prawda?

— Tak — odpowiedziała Laura, tym razem darując sobie uwagę o zespole piłkarskim.

— U kogo, jeżeli można wiedzieć?

— U profesora von Trotte, to specjalista od malarstwa średniowiecznego, szczególnie od Memlinga. Widać było, że na prezesie informacja ta zrobiła pewne wrażenie. Profesor Trotte z rzadka przyjmował na swe seminaria kobiety, bowiem był znanym antifeministycznym szowinistą.

— Proszę nam opowiedzieć o swojej pracy dla Instytutu Badań nad Folklorem.

— Europejskiego Instytutu Badań nad Folklorem — poprawiła, co wzbudziło wesołość całego grona. Wzięła głęboki oddech i zaczęła wykład, oszczędzając oczywiście opowieści o katuszach związanych z tekstami magistra Burzywołka.

Nie omieszkała wspomnieć o swej wielkiej zasłudze, jaką było skontaktowanie znanego kolekcjonera (pana Karola) z dyrektorem Muzeum Narodowego w sprawie wystawy Zofii Stryjeńskiej. Opowiadając to i owo, nawet we własnych oczach wychodziła na osobę niezwykle obeznaną nie tylko z rynkiem sztuki, ale i z „małym światkiem” znawców, kolekcjonerów i muzealników. Gdy wreszcie skończyła i spojrzała na elegancki zegar kominkowy stojący na gzymsie, stwierdziła z przerażeniem, że minęło pół godziny. „Rany boskie, w życiu mnie nie przyjmą”.

Myśl była rozpaczliwa i przygnębiająca — produkować się pół godziny na temat swoich zasług i zostać odrzuconą to prawdziwe nieszczęście.

— Dziękujemy bardzo — powiedział prezes, jak się jej wydało, szyderczym głosem. — Teraz zadadzą pani kilka pytań pani z działu HR i dyrektor marketingu.

„Kilka pytań” trwało następne trzy kwadransy. Laura czuła dziwną miękkość w nogach i generalne zniechęcenie. W końcu Agata powiedziała:

— Ja już dziękuję, z mojej strony to wszystko. Może pani ma jakieś pytania do nas? Miała je ułożone na kartce, ponieważ przeczytała na jednym z portali internetowych o poszukiwaniu pracy, że brak pytań świadczy o nieprzygotowaniu kandydata do rozmowy. Spis został jednak w torebce, a w głowie chwilowo objawiła się pustka.

— Czy przewidują państwo jakieś szkolenia? — wyjęczała więc, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

— A jakie szkolenie ma pani na myśli? — zainteresował się dyrektor do spraw marketingu.

— Może języki obce? — spytała cichutko, zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmi.

— Jakiego języka chciałaby się pani jeszcze nauczyć? — zainteresował się prezes, a Laura doszła do wniosku, że chyba lepiej by było, gdyby nie zadawała pytań własnych.

— Japońskiego. To jest poważny rynek sztuki, uważam, że nieznamość tego języka bardzo przeszkadza mi w pracy — brnęła niezłomnie, w duchu żegnając się z posadą, która pozwoliłaby jej na kupienie szpilek Lorenzi.

Oni poszeptali między sobą i Agata powiedziała:

— Dziękujemy bardzo, poinformujemy panią o wyniku rozmowy.

Laura wstała zgnębiona i po kolei uściśniła wszystkim ręce. Najbardziej głupio było jej w stosunku do Agaty, — nieszczęsna straci przez nią premię, a może nawet i posadę.

Perspektywa wprost tragiczna. Laura udała się do sekretariatu, zamieniła kilka zdań z sekretarką, wdziała płaszczyk i wyszła na korytarz. Cały czas zastanawiała się, czy od razu dać nogę, czy też stawić czoło problemowi i przeprosić Agatę za ruinę jej kariery zawodowej. Stała chwilę niepewna pod oknem, wpatrując się w fontannę i prawdziwe drzewko zdobiące hali, gdy z bocznych drzwi wypadła Agata i chwyciwszy ją za rękaw płaszcz, zaczęła ją gdzieś wlec.

— Boże! Ale dobrze, że cię jeszcze złapałam — wydyszała, wpychając ją do windy.

— Ja też się cieszę — bąknęła, choć daleko jej było do radości. — Chciałam z tobą porozmawiać.

— Ja też, ja też. Idziemy do mnie do biura.

Nie zwalniając stalowego uchwytu, wepchnęła ją do jakiegoś pomieszczenia.

Urzędujące tam pracownice od razu zerwały się od biurka, jak dobrze wyszkolone skautki.

— Znajdźcie mi ten tytuł! — Agata rzuciła na stół kartkę Laury. — Francuski oryginał i tłumaczenie na niemiecki. Bardzo pilne. Dla prezesa.

— Tak jest, pani dyrektor — wyprężyła się jedna z zastraszonych dziewczyn.

— A co to za książka?

— Rękopis znaleziony w Saragossie — wysyczała Agata. — Czy wy nic nie czytacie? Nic nie wiecie? Wstyd!

I wepchnęła Laurę do swego gabinetu.

— Bardzo cię przepraszam — powiedziała Laura, która chciała to już mieć za sobą. — Naprawdę się starałam...

— O czym ty pieprzysz? — Nie rozumiała Agata. — Poszło świetnie! Prezio chce cię zatrudnić, a ja dostanę podwyżkę. Nie może być lepiej... Oczywiście, oficjalnie zawiadomię cię za dwa, trzy dni, ale prywatnie mówię ci to już teraz...

Boże, w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak szybko mówił po niemiecku... No, może poza Hitlerem i Angelą Merkel...

— Agata usiadła przy biurku i pogrzebała w szufladzie. — Napijesz się drinka?

Ja muszę, bo mnie stres rozłożył... Jak wypaliłaś z tą powieścią, to aż mnie ciary przeszły, że nas wszystkich powywała!!! On ma fioła na punkcie swojej rodziny, trafiłaś go absolutnie w miękki.

— Dawaj tego drinka — orzekła niezłomnie Laura, opadając na krzesło. — Raz kozie śmierć, po takim wysiłku pewnie mnie zwali z nóg, ale co tam... Byle nie mojito, bo po tym poprzednim miałam nie tylko tupot białych mew, ale wręcz kosmiczny odlot.

Agata zaśmiała się perliście.

— Nie ciekawi cię, ile ci zaproponują pensji? — zapytała, bo właśnie po długim gmeraniu w biurku znalazła kluczyk od barku i wprawnie nalała dwa koktajle. —

Ciekawi... — Agata zapisała coś na kartce i popchnęła ją w kierunku Laury, ta długo wpatrywała się w papierek, jakby rozważając różne opcje, aż wreszcie zapytała:

— To poważnie? Agata pokiwała głową.

— Kontrakt menedżerski, co chcesz, kochaniutka. Dostaniesz biuro na piętrze zarządu, będziesz miała asystentkę, sekretariat...

— Po prostu Diabeł ubiera się u Prądy. — Uśmiechnęła się blado Laura, siorbiąc dziwnego drinka.

— No, coś w tym stylu... Wracaj do domu i szukaj niani...

Wyszła stamtąd w stanie skrajnego szoku. Powłócząc nogami, dotarła do budki ze słodyczami, gdzie zakupiła bombonierkę „Merci”, którą zaniosiła Pięknej Mariolce i Alicji (w końcu dzięki nim stała się „kaskaderką vintage'u” i pośrednio właśnie dlatego dostała pracę). Potem zadzwoniła do Krzyśka.

— No i jak ci poszło? — zapytał ten lajtowo, bo wiedział co nieco o rozmowach kwalifikacyjnych żony.

— Chyba dobrze — wezmą mnie.

— O, to super! A ile płacą? Będzie na bilet miesięczny? Powiedziała mu.

— Żartujesz?

— Nie, mówię całkowicie poważnie.

— O, to słuchaj, ja biorę urlop wychowawczy na dwa lata i zostaję w domu!

Będę laził po parku, zawierał ciekawe znajomości, a potem ktoś mi zaproponuje taką fuchę... Widzę, że matkowanie to jedyna prosta droga do kariery...

— Jasne, czas na twoje dwa lata — zgodziła się, kończąc rozmowę, bo znalazła się właśnie pod drzwiami kamienicy numer 36, by odebrać Pana Dwulatka od pana Lisieckiego (a właściwie od pilnującej go z zapalem Marianny).

— No i jak się udało? — Przywitała ją hrabianka, która najwyraźniej czatowała na schodach.

— Przyjęli mnie, tak przynajmniej dowiedziałam się nieoficjalnie — mruknęła.

Jakoś ciągle nie mogła się otrząsnąć ze zmiany swego stanu skupienia — z bezrobotnej matki w menedżera w korporacji.

— Cudownie! Musimy to oblać! Zaraz przyjdę do Karola z moim koniaczkiem.

— Tylko co ja teraz z Młodym zrobię? — Zafrasowała się, gdy już wszyscy zasiedli nad pełnymi kieliszkami przy stoliku kawowym. — Wszystkie rozmowy zawsze kończyły się upokorzeniem i łzami, toteż nie mam żadnego planu awaryjnego. Nie mam przepatrzonego rynku opiekunek, nie wiem, gdzie szukać, jak sprawdzać...

Pani Podkorecka i pan Karol wymienili znaczące spojrzenia.

— No, my jakoś tak zakładaliśmy pozytywny wynik rozmowy i przemyśleliśmy problem. Na razie możemy się zająć Miłoszem, a ty, drogie dziecko, poszukasz sobie na spokojnie opiekunki.

— Wykwalifikowanej — dorzucił pan Karol. — I niech to trwa miesiąc, dwa...

— Nawet pół roku — dodał niezłomnie pan Lisiecki. Popatrzyła na nich z rozczeniem. Wychyliła kieliszek jednym haustem (Pijana matka i tak dalej) i pomyślała, zgodnie z sugestią z pewnej komedii: Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba.

I NA KONIEC PRAWDZIWA PERŁA

Landrynki dla dziewczynki, czyli „forum uczy, forum radzi, forum nigdy cię nie zdradzi” Wątek: Cięża pozamaciczna

A: Ostatnio współżyłam z moim chłopakiem bez odpowiedniego zabezpieczenia. Teraz (po 4 miesiącach od tego zdarzenia) zauważyłam małego guza pod kolanem. Czy może to być cięża pozamaciczna??!! Proszę, pomóżcie!!!

B: Obawiam się, że tak, medycyna zna takie przypadki, udaj się do lekarza, niech skierują cię na amputację nogi, wtedy będziesz mieć pewność, że to nie jest cięża pozamaciczna.

C: Mózg ci po prostu opadł.

D: A jak dzidzius dojrzeje, to ci wyjdzie nosem. Życzę zdrowego malucha.

E: Pewnie siedziałaś pod drzewem i kleszcz cię zapłodnił.

F: Słuchaj... ty sprawdź teraz pod drugim kolanem, bo jak tam też jest guz, to jak nic bliźniaki będą... Jarek i Lech albo Marcin i Rafał!

(Wyjaśnienia autorki: tak, razem z Laurą uważamy, że ten wątek na forum był prowokacją, ale i tak nam się podoba!)